

# Kane Stacia

## Demon w sercu

**Osobiste demony pani psycholog z San Francisco po raz drugi przysparzają jej problemów... zwłaszcza pewien bardzo osobisty i bardzo seksowny demon.**

**Jak pogodzić pracę terapeuty z życiem osobistym... z osobistym demonem?**

**Minęły trzy miesiące, odkąd doktor Megan Chase dowiedziała się, że świat zamieszkują demony. Teraz ma własne osobiste demony, które nagle zaczynają ginąć w podejrzanych okolicznościach. Co więcej, Dante, jej demoniczny kochanek, zachowuje się dziwnie i tajemniczo. Jeśli do tego dodać prawdę o przeszłości Megan, prawdę, której nie zna nawet ona sama...**

**Czy wsparcie trzech demonicznych ochroniarzy i aroganckiej czarownicy wystarczą, by Megan uporała się z przeszłością, przeżyła teraźniejszość i miała szanse na przyszłość w ramionach Dantego?**

## Rozdział 1

Megan zahamowała tak ostro, że małe zielone ciało Rocturnusa wylądowało na przedniej szybie.

Ledwie to zauważyła. Demony są twarde. Nic mu nie będzie.

W przeciwieństwie do demona w nijakim domu przed nią, gdyby nie zdążyła na czas. Nie potrzebowała paranormalnych zdolności, by to wiedzieć.

Złapała Roca za chude ramię i ściągnęła go z deski rozdzielczej, cały czas wpatrzona w budynek. Spanikowany mózg podsuwał jej obrazy naznaczone koszmarną pustką śmierci. Jej buty ślizgały się na ubitym śniegu pokrywającym trawnik, gdy biegła jak najszybciej do drzwi, cały czas ciągnąc Roca za rękę. Zresztą i tak tylko ona była w stanie go zobaczyć.

- Halo! Halo! - Stara farba na drzwiach wejściowych łuszczyła się pod ciosami jej pięści. Z trudem słyszała własny głos, zagłuszał go szum krwi tętniącej w żyłach, i jękliwe zawodzenie w głębi duszy.

- Otwierać! Błagam!

Opuściła tarcze obronne na tyle, na ile było to możliwe. Na jazie odbierała niewyraźne wizje z sąsiednich domów, ale z budynku, przed którym się znajdowała -nic. Żadnych dźwięków, żadnych obrazów, nie widziała mieszkańców śpiących w łóżku czy śpiewających pod prysznicem. Nic a nic.

- O Boże... - Odsunęła się od drzwi i zerknęła w okna, białe, szerokie i puste. Kotary przypominały obraz kontrolny na ekranie telewizora - brak sygnału.

Na białej zimowej ulicy nie poruszało się nic poza Megan, jej krzyki niosły się echem w rześkim powietrzu, gdy po raz ostatni nacisnęła klamkę. Ma w bagażniku łyżkę do opon... Ale nie, zaalarmuje sąsiadów, jeśli rozbije szybę w oknie.

Z Rocturnusem pod pachą, zbiegła z ganku, poślizgnęła się i upadła jak długa. W jej ustach rozkwitł ból, gdy zęby wbiły się w język. Przez chwilę nic nie widziała, oczy piekły od łez i lodowatego wiatru. Nie może się teraz rozkleić. Z trudem się dźwignęła i znów ruszyła, tym razem obeszyła dom dokoła. Zaśnieżona czerwona huśtawka stanowiła jedyną zagubioną plamkę koloru w zimowym pejzażu na podwórzu z tyłu domu.

Drzwi kuchenne też nie uległy jej kopniakom i pchnięciom. Od tej strony okna były mniejsze niż od frontu - nawet gdyby wybiła szybę w którymś, nie zmieści się w nim.

Ale Rocturnus - owszem.

Opuściła głowę i napotkała jego gniewny wzrok.

- Nie, nic mi nie jest, dzięki za troskę - warknął i wyrwał rękę z jej uścisku. - Puść mnie, otworzę ci drzwi.

- Jak... No tak. - Przynajmniej rumieniec rozgrzał jej twarz, choć i tak miała wrażenie, że nos już jej odpadł. Z trudem oparła się pokusie, by to sprawdzić. To zbyt poniżające, nawet gdy nikt nie patrzy. Rocturnus zniknął. Po krótkiej chwili drzwi szczęknęły. Megan przekręciła klamkę, wiedząc, że dopuszcza się przestępstwa - wchodzi do cudzego domu bez pozwolenia.

Przeszył ją dreszcz. Coś tu było nie tak. W powietrzu unosił się mdły, dławiący zapach zapleśniałych resztek.

Sięgnęła po gaz pieprzowy, który nosiła przy breloczku z kluczami, ale kluczyki zostały w stacyjce. Dostrzegła drewniany stojak na noże na blacie kuchennym.-Wzięła największy. W domu nikogo nie było, wiedziała o tym, a jednak ostrze sprawiało, że czuła się bardziej bezpiecznie, pewnie.

Zasłaniając się rzeźnickim nożem, pokonała kuchnię ostrożnymi krokami i znalazła się w beżowym saloniku. Wbiła wzrok w podłogę, chcąc jak najbardziej odwlec chwilę, gdy zobaczy, co się stało. Podniosła głowę. Gorzej niż myślała.

Na podłodze, u jej stóp, leżał długi zielony palec w kałuży czerwonej krwi; intensywne kolory zdawały się drwić z gwiazdkowych dekoracji na ścianach i stole. Spod kanapy wystawała stopa, a sterta czerwono-zielonych... Nie chciała na to patrzeć, nie chciała tego widzieć, ale nie mogła zamknąć oczu. Krew pokrywała meble i ściany, poplamiała nawet choinkę przy oknie. I wszędzie kolejne... strzępy: przyklejone do ramy obrazu, ciśnięte pod drzewko, zwisające z gałęzi jak ozdoba wykonana przez seryjnego zabójcę.

- Spóźniłam się - stwierdziła. Jej głos niķł w oskar-życielskiej ciszy. - Znowu.

- To nie twoja wina, dotarłaś najszybciej, jak mogłaś. Megan skinęła głową, ale świadomość, że zrobiła, co

mogła, nie poprawiała jej nastroju. Tak jak wspomnienie, że zostawiła pacjenta w trakcie sesji. A co będzie, kiedy dowiedzą się o tym współnicy... Woląła o tym nie myśleć. Ból w języku i łokciach, pamiątka po upadku, tylko przelewał czarę goryczy.

- Prawdopodobnie nie zdążyłabyś, nawet gdybyś nie pracowała. Jego też nie uprzedzono. - Rocturnus wskazał krwawe szczątki.

- Tak jak pozostałych. Demon skinął głową.

Anielskie włosy kołysały się na choince w lekkim powiewie od centralnego ogrzewania, jak miniaturowe miecze przecinające powietrze. Inny człowiek widziałby jedynie czysty, przyjazny dom, gotów na wizytę Świętego Mikołaja za jedenaście dni. Ludzkie oczy nie dostrzegą masakry, ludzkie ciało nie wyczuje demonicznej krwi wsiąkającej w ich ubrania, gdy siadają na kanapie, nie usłyszą, jak chlupocze im pod stopami. Ludzki nos nie wyczuje tego okropnego zapachu.

Megan wolałaby także nie widzieć, nie czuć. Jednak trzy miesiące wcześniej stanęła na czele miejscowych Yezer Ha-Ra - demonów osobistych, kusicieli i prześladowców ludzi - i jej zadaniem było dbać o nie, jak potrafi najlepiej.

W ciągu trzech tygodni trzy z jej demonów wybuchły jak ten tutaj. Bez ostrzeżenia, bez wyjaśnienia. Po prostu... Znikały, kończyły jako krwawe strzępy, a ona nie miała pojęcia, dlaczego ani w jaki sposób.

- Może chciał was wezwać i coś mu nie wyszło -zastanowiła się głośno, jakby nie przeanalizowali już z Rocturnusem każdej możliwości na tysiąc sposobów.

- Nie sądzę. Myślę... Zresztą wiesz dobrze, co myślę.

Megan zadrżała.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

Poszła do kuchni po coś do sprzątnięcia. Ciało demona jako takie wróci do jego świata na płaszczyźnie astralnej, ale ten dom, ta krew...

Po prostu nie mogła tego tak zostawić, nawet jeżeli mieszkańcy nigdy nie dowiedzą się, co tu się stało. Na myśl o tym, że mieliby rozpakowywać prezenty w takim otoczeniu, zrobiło jej się słabo.

- Megan, musisz podjąć decyzję - stwierdził Roctur-nus. - Wiesz, że według mnie to nie twoja wina, ale...

- Powiedziałam, że nie chcę o tym rozmawiać. -Rzeźnicki nóż z brzękiem upadł na blat kuchenny. Nie miała siły, by starannie odłożyć go na miejsce. Po chwili buszowania w szafkach znalazła to, czego szukała - w jej drżących rękach zaszeleściły worki na śmieci.

- To prosta ceremonia.

- Która zrobi ze mnie hybrydę, pół człowieka, pół demona, Roc. Nie chcę tego. Nie chcę tego wszystkiego!

Kurczowo przyciskając torby do klatki piersiowej, odwróciła się tyłem do makabrycznej sceny i małego demona patrzącego na nią. Nie chciała widzieć, jak jego świdrujące oczka czernieją, gdy rozkoszował się jej cierpieniem.

Każdy człowiek ma własnego demona. Jeszcze zanim ludzie nauczyli się budować zdania złożone i odkryli myślenie abstrakcyjne, demony istniały wśród nich, nakłaniały do grzechów i podłości i żywiły się nieszczęściami, które powodowały.

Wszyscy ludzie - poza Megan. Pokonała swojego demona w szesnastym roku życia, jakimś cudem złączyła go z Oskarżycielem z niższego Legionu Piekła, któremu jednak i tak niemal udało się ją zabić, i to dwukrotnie. Teraz należał już do przeszłości, ale jego drobna cząstka wciąż żyła w Megan, koszmarna pamiątka czasów, gdy ją opętał.

Właśnie ta demoniczna cząstka połączyła ją z Yezer Ha-Ra. I właśnie ta cząstka kazała jej tu dzisiaj być.

Nadal jednak definiowało ją jej człowieczeństwo, a towarzyszące mu ból i cierpienie stanowiły pożywienie Rocturnusa. Rocturnusa, który stał się jej nieoficjalnym osobistym demonem. Nie kusił jej, nie namawiał do grzechu, ale też nie mógł zmienić swojej natury i dlatego jej negatywne emocje stanowiły jego pożywienie.

- Przynajmniej udało mu się nas ostrzec - mruknął Rocturnus. - I jego człowiek już ma nowego demona.

- No tak. - Megan wytarta oczy i się odwróciła. -1 to ma być ta jasna strona sytuacji?
- To jest jasna strona, Megan, robimy to, co musimy, by przeżyć. Jeśli sprawa się skomplikuje...
- Wiem! - Rzuciła w niego torbę. - Pomóż mi tu posprzątać.

Nie chcąc zabrudzić sobie płaszcza, zdjęła go, położyła na blacie kuchennym i porwała garść papierowych ręczników. Demony przydzielone mieszkańcom domu zatrzymają ich z dala tak długo, jak to będzie możliwe, a potem uprzedzą Megan i Roca. Miała trochę czasu. Oby to wystarczyło.

- Musimy działać szybko - powiedziała. - Czy mógłbyś... czy mógłbyś zająć się większymi kawałkami...? - Jej żołądek drgnął ostrzegawczo.

Rocturnus zaczął zbierać drobnymi dłońmi szczątki demona i transportować je do domu Yezer. Megan wycierała krew, krzywiąc się od zapachu i wrzucając zużyte ręczniki do worka na śmieci najszybciej, jak mogła. Może jeśli będzie sobie wyobrażała, że to rozlana lemoniada albo plamy po winie...

Ale ani lemoniada, ani czerwone wino nie pachną w ten sposób ani się tak nie ścinają. Zacisnęła zęby i sprzątała dalej.

Trzy trupy przez trzy tygodnie. Rocturnus opowiadał, że w dawnych czasach Yezer Ha-Ra zabijano w ten sposób za karę, a po tym, co sama widziała, bez trudu uwierzyła w demoniczny system kar. Skoro nie ona je karała, choć przecież nimi rządzi, to kto to robi? I dlaczego?

Kto ma tak wielki wpływ na demony, które powinny być zależne tylko od niej? Jak wielka jest tak naprawdę jej władza nad nimi?

Udało jej się uprzątnąć największą kałużę krwi, ale to nie koniec. Pozostały jeszcze mniejsze plamy i zabru-

dzenia, którymi się zajmie, jeśli wystarczy im czasu. Na razie na klęczkach zabrała się do usuwania kolejnego krwistego śladu.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Pięć potężnych postaci wpadło do pokoju. Pięciu umundurowanych policjantów z pistoletami w dłoniach.

- Na ziemię! Na ziemię!

Megan usłuchała, upuściła worek ze śmieciami przed kanapą. Plama z krwi, której nie zauważyła, przesiąkała przez nogawkę jej spodni, ale zignorowała to. Celowano do niej z prawdziwej broni palnej, z wielkich pistoletów, a silna ręka ścisnęła ją za kark.

- Bardzo proszę - zaczęła. - To jakieś nieporozumienie. - Jej umysł pracował gorączkowo. W jaki sposób wytłumaczy, że weszła do domu nieznajomych i zaczęła sprzątać?

Nawet nie wiedziała, czyj to dom.

Szorstkie ręce trzymały ją za kark, a tymczasem wokół jej nadgarstków zatrzasnęły się zimne obręcze kajdanek. Była aresztowana, naprawdę, na poważnie aresztowana i cała kariera stanęła jej przed oczami, zanim te silne ręce zaczęły ją obszukiwać. Jest psychologiem, te-rapeutką, powinna być zdrowa psychicznie i normalnie funkcjonować w społeczeństwie, a nie włamywać się do obcych domów jak Grinch.

- Nie jest uzbrojona - powiedział jeden z policjantów. Megan usiłowała spojrzeć na niego, ale widziała jedynie stopy. Uzbrojona?

- Podnieście ją.

Wstała z pomocą dwóch policjantów, którzy podtrzymywali ją za ręce. Czy to normalne, żeby do zwykłej kradzieży z włamaniem przyjeżdżało aż pięciu gliniarzy? Bo o to chodzi, prawda? Skąd się dowiedzieli? Może uruchomiła cichy alarm... A może widział ją któryś z sąsiadów i zadzwonił pod 911?



Przecież nawet nie wybiła szyby. Rocturnus otworzył drzwi i weszła.

- Panowie, proszę, to jedno wielkie... Ignorowali ją. Jeden z nich otworzył worek na śmieci i wyjął garść mokrych ręczników.

- Co to jest? - zapytał. - Kradnie pani ręczniki papierowe?

- Niczego nie kradnę, ja tylko...

- Tylko wdarła się pani na cudze podwórko, zostawiła na nim samochód, włamała się do cudzego domu i wsadziła papierowe ręczniki do worka - dokończył policjant. - Po co? Miały chronić to, co chciała pani ukraść?

- Co? Nie, ja nie...

- Ej, to ta... Pogromczyni Demonów! Megan Chase! -zauważył inny policjant. - Widziałem panią w gazecie.

- Babka z radia?

- Tak. Złapała tego faceta, wiesz, satanistę ze szpitala.

- A, tak.

Wpatrzona w nią oczy były teraz nieco przyjaźniej-sze, ale tylko odrobinę.

- Co pani tu robi?

- Ja... chyba pomyliłam domy, chciałam zrobić niespodziankę przyjacielowi i...

- Poinformowano nas, że są tu zwłoki. Megan zamrugła.

- Co?

Dwóch policjantów nadeszło od strony przedpokoju. Schowali pistolety do kabur. Megan odetchnęła z ulgą.

- Nic tu nie ma, Jim - powiedział jeden z nich. -Dom jest czysty.

- Dlaczego pani się tu włamała? - Pierwszy policjant, Jim, uniósł worek. - I co to ma być?

- Myślałam, że to dom moich przyjaciół - powtórzyła Megan. - Chciałam posprzątać, żeby sprawić im przyjemność. I zabić czas, czekając na nich.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy żałowała, że prosiła demony, by się jej nie ukazywały. Oddałaby wiele za widok uśmiechniętej twarzy, choćby takiej z nadmiarem zębów. Ale nad ramionami policjantów nie było nawet cienia koloru.

- Sami panowie widzicie, że to pomyłka - kontynuowała, zdając sobie sprawę, że głos jej drży ze zdenerwowania. - To zwykłe nieporozumienie, nie ma tu żadnego ciała, po prostu pomyliłam adres. Nie moglibyśmy...

Jim pokręcił głową.

- I tak musimy skontaktować się z właścicielami domu, zapytać, czy chcą wnieść oskarżenie. Musimy panią zatrzymać, doktor Chase. - Odwrócił się do policjanta, który rozpoznał Megan. - Macie jej płaszcz?

- Panowie, bardzo proszę, to tylko pomyłka. Nawet się nie włamałam, drzwi nie były zamknięte na klucz. Nie mogę sobie po prostu pójść?

Ich miny mówiły same za siebie. Megan westchnęła.

- Okay. Ale chcę zadzwonić do mojego prawnika.

Kończyła nie wiadomo które okrążenie niewielkiej celi, gdy policjantka w końcu przyszła i otworzyła drzwi.

- Megan Chase! - Rozejrzała się po salce, dostrzegła ją. - Jest pani wolna.

Próbując nie uśmiechać się do innych aresztantek, które miały mniej szczęścia, Megan szybko przeszła obok policjantki, do drzwi. Każda cząsteczka jej ciała chciała znaleźć się na zewnątrz. Choć przebywała w areszcie zaledwie dwie godziny, wydawało jej się, że minęły całe wieki. Obawiała się więzienia, martwiła o pracę, o demony,

a w miarę upływu czasu także o to, że Greyson Dante ciągle się nie pojawiał.

Niepokój pogłębił się, gdy podchodząc do dyżurki, zobaczyła, kto tam na nią czekał, z aktówką i uśmiechem: Hunter Kyle. Owszem, prawnik, ale nie ten, do którego zadzwoniła. Spotkali się kilka miesięcy temu na balu charytatywnym i od tej pory widziała go raz czy dwa. Ale dlaczego to on przyszedł?

Policjant za biurkiem podał Megan kopertę z jej rzeczami.

- Proszę sprawdzić, czy niczego nie brakuje, i tu podpisać.

Zrobiła to.

- Co się stało? Wpłacono za mnie kaucję czy co?

- Właściciele domu nie wniosą oskarżenia. - Uśmiechnął się cierpko, wrogo. - Ma pani szczęście.

- Tak. Dziękuję bardzo. - O co chodzi, czy policja aż tak bardzo nie lubi nikogo wypuszczać? Przez chwilę rozważała, czy go nie przeczytać, ale dała sobie spokój. Co ją obchodzi, o czym myśli? Jest wolna. Musiała opanować chęć, by w podskokach minąć kuloodporne drzwi. Niewinni psychologowie nie podskakują.

- Wszystko w porządku, Megan? - zapytał Hunter i troskliwie wziął ją pod rękę. - Natychmiast zacząłem działać, ale trochę trwało, zanim właściciele domu zgodzili się nie wnosić oskarżenia.

- Tak, dziękuję. - Minęli dwuskrzydłowe drzwi i znaleźli się w lodowatej ciemności, rozjaśnianej jedynie bladymi latarniami ulicznymi. Temperatura przez wiele tygodni oscylowała w okolicach zera, ale przed dwoma dniami znacznie się obniżyła. Twarz jej zdrętwiała pod wpływem lodowatych podmuchów wiatru. - Gdzie mój samochód?

- Jeden z chłopców zabrał go do mnie. - Greyson Dante wyszedł z cieni poza kręgi światła, jak czarny

charakter w filmach o Jamesie Bondzie. Megan nie widziała go od czterech dni. Speszyła się trochę, gdy jej serce podskoczyło na jego widok; jego ciemne włosy lśniły, a na twarzy - o wyrazistych rysach błąkał się lekki uśmiezek, jakby wiedział, jak na nią działa.

Co pewnie nie mijalo się z prawdą.

Wyciągnął rękę do Huntera.

- Dzięki. Jestem twoim dłużnikiem.

Hunter się uśmiechnął. Megan podejrzewała, że nie ma pojęcia, co oznaczają te słowa; nie był demonem, nie znał zatem skomplikowanego systemu przysług i obietnic obowiązującego w ich świecie. Greyson był potężny, teraz jeszcze bardziej niż wtedy, gdy go poznała. Jest komuś winny przysługę? Wiele demonów zabiłoby, by usłyszeć te słowa. Może już zabijają.

A może powiedział to, ponieważ wiedział, że Hunter nie zdaje sobie sprawy z mocy tych słów.

Greyson nigdy niczego nie mówił i nie robił, jeśli nie miał co najmniej kilku powodów, by postąpić tak, a nie inaczej.

Jej podejrzania potwierdziły się, gdy Hunter odparł:

- Nie ma sprawy, cieszę się, że mogłem pomóc.

Megan stała na zimnie i zagryzała usta, gdy mężczyźni rozmawiali jeszcze przez chwilę, aż Greyson objął ją w talii i pożegnał się z Hunterem.

Czarny jaguar Greysona czekał niedaleko. Była zadowolona, gdy do niego doszli. Zdrętwiały jej palce u nóg.

Ale nie na tyle, by Greyson nie zdołał wprawić ich w drzenie. Jego wargi, podobnie jak całe ciało, były rozkosznie ciepłe, a pocałunek sprawił, że poczuła na plecach język, ognia taki sam, jak płomień, które Greyson mógł rozpalić zawsze i wszędzie, z niczego.

- W porządku? - Pieścił kciukiem jej policzek. Oczy rozblęły mu czerwienią.

Skinęła głową.

- Wystraszyłam się trochę.
- Więzieniem czy tym, co spotkało twojego demona w tamtym domu?
- Ja... - Cholera. Nie powiedziała mu, co się zdarzyło, tylko że aresztowano ją przez pomyłkę. Nie mówiła mu też o innych demonach. - Jedno i drugie.

Otworzył jej drzwi, zatrzasnął, gdy wsiadła, a potem obszedł jaguara, zajął miejsce za kierownicą i odpalił silnik.

- Kiedy chciałaś mi powiedzieć?
- Nie chciałam. Skąd...?
- Proszę cię, Meg. Jak myślisz, gdzie byłam?
- Jak to?

Parking zniknął za nimi, mknęli ulicą obok biurowców z białymi sznurami światełek świątecznych upiętych w oknach. Nie było jeszcze ósmej, ale w tej części śródmieścia nie widziało się żywej duszy. Nawet bezdomni opuścili ulice i schronili się przed zimnem.

- Pojechałam przekonać tych ludzi, żeby nie wnosili oskarżenia. To była pieprzona rzeźnia.
- Ja... usiłowałam posprzątać.
- Jakie to rozsądne. Dlaczego mi nie powiedziałaś, co się dzieje? Podobno to już trzeci.
- Dlaczego jesteś taki wściekły? Mówiłeś, że to, jak prowadzę moją Meegra, to moja sprawa.
- Tak, i nie wtrącam się do tego, jak ją prowadzisz. Ale gdy twoje demony zaczynają ginąć, podobnie jak demony w innych Meegra, sprawa nie dotyczy już wyłącznie ciebie.
- Ale... jak to: w innych Meegra?
- Ty straciłaś trzy, ja jednego, dwa dni temu. Con-cumbia cztery, Caedes Fuiltean dwa, wszyscy stracili co najmniej jednego. Dopiero dzisiaj się o tym dowiedziałem.

- Inni też ci o tym nie mówili, więc czemu...
- Nie śpiam z innymi, Megan. Gdybym... Cholera! Coś uderzyło w bagażnik, jakby spory kamyk odbity z ziemi. Greyson gwałtownie skręcił i Megan upadła na niego, mimo pasa bezpieczeństwa. Zimne powietrze zalało samochód, gdy wcisnął gaz do dechy. Szarpnął kierownicą w prawo, skręcając w boczną drogę.
- Co...
- Pochylił się, do cholery! To był strzał!

## Rozdział 2

**Co?** - Megan wyprostowała się gwałtownie, odruchowo chciała obejrzeć się za siebie, ale ręka Greysona pchnęła jej głowę w dół. Przywarła uchem do deski rozdzielczej.

Kolejny strzał. Tym razem słyszała to, słyszała, jak pęka tylna szyba. Krzyknęła, ostry dźwięk wyrwał się jej z gardła, gdy Greyson po raz kolejny przeklął i zakręcił kierownicą. Szarpała się z pasem bezpieczeństwa, chcąc znaleźć się na podłodze i ukryć jak małe dziecko pod kołdrą.

Samochód wypełniło pomarańczowe światło, pulsowało, zanikało i powracało, gdy Greyson bombardował wóz za nimi kulami ognia.

Zaklął, Uniosła się, nie mogła się powstrzymać, spojrzała i zobaczyła, że płomienie zgasły, a czarny samochód jedzie za nimi jak gdyby nigdy nic.

Co to za stworzenia, odporne na ogień? Czyżby to demony ognia, *vregonis*, takie jak Greyson?

Jakby w odpowiedzi na jej pytania wewnątrz jaguara wypełnił czarny i obrzydliwy dym, który dusił i przywierał do skóry.

- Zostań na dole, do cholery! I schowaj twarz! Schyliła się, gdy buchnął ogień, który pochłonał dym. Nagły wzrost temperatury sprawił, że jej ciało pokryło się potem.

- Co to...

- Otwórz schowek i wyjmij pistolet.

Samochód podskoczył na czymś, nie wiedziała, na wyboju czy progu zwalniającym. Ramiona Megan przecinały powietrze. Usiłowała dosięgnąć deski rozdzielczej, ale siła odśrodkowa pchnęła ją w drugą stronę.

Greyson ostro skręcił w lewo. Opony jaguara skarżyły się głośno na tak brutalne traktowanie. Megan chwyciła się konsoli, żeby nie uderzyć w drzwi.

- Otwórz schowek, Meg!

- Staram się!

Silnik ryknął. Wnętrze rozjaśniała biel reflektorów samochodu jadącego za nimi. Greyson sięgnął do schowka w drzwiach kierowcy i wyjął okulary przeciwsłoneczne. Włożył je, żeby chronić oczy przed białym światłem.

Samochód podskoczył kolejny raz. Następny wystrzał przeciął powietrze, i kolejny. Na karoserii zabębnił deszcz pocisków; prześladowcy strzelali w bagażnik i dach, a Greyson nerwowo manewrował, chcąc uniknąć kul.

- Cholera! Mój samochód! - Dopiero teraz poczuła jego gniew, zimniejszy niż powietrze na zewnątrz muskające jej skórę. Niezgrabnymi palcami złapała wreszcie uchwyt schowka i otworzyła go jednym szarpnięciem, a tam już czekała skórzana kabura pistoletu Greysona.

Za ich plecami rozbłysło światło. Megan odwróciła się i zobaczyła, że spod maski ścigającego ich samocho-

du buchnęły płomienie - to Greyson spróbował doprowadzić do eksplozji silnika. Już miała odetchnąć z ulgą, gdy płomienie zniknęły i samochód wyrwał do przodu, na nich. Niemal widziała postacie w środku, dwie osoby, dwie plamy jasności w ciemnym wnętrzu. Może gdyby opuściła barierę ochronną...

- Megan!

- Usiłuję ich czytać.

- Niczego się nie dowiesz. To nie są ludzie. Otwórz kaburę.

Dopiero za trzecim razem udało jej się uporać z zatraskiem, a potem mijaly kolejne chwile, zanim zebrała się na odwagę i zajrzała do środka. Wiedziała, że Greyson nosi broń, widziała ją kilka razy. Ale nigdy nie zastanawiała się poważnie nad tym, po co mu pistolet i co z nim robi.

- Wyjmij broń. Ostrożnie, jest naładowana. Odepnij pas bezpieczeństwa.

- Nie mogę.

- A chcesz umrzeć?

- Nie!

Greyson gwałtownie skręcił jeszcze raz, wjechał na krawężnik. Skręcili w bardziej ruchliwą ulicę; dokoła nich wyły klaksony.

- Wyjmij ten cholerny pistolet, i to już!

Zaschło jej w ustach do tego stopnia, że wątpiła, by cała woda na świecie ugasiła jej pragnienie, ale łzy płynęły radośnie i obficie. Pistolet był ciężki i zimny, sprawiał, że jej dłoń wydawała się jeszcze mniejsza. Nie lubiła broni palnej, i to od zawsze. Gryeson kiedyś powiedział, że podziela jej awersję. Odwróciła się, aż oparła się klatką piersiową o zagłówek.

Oni albo my, oni albo my...



- Dobrze. Oprzyj ręce o zagłówek i wyceluj. Zamknij słabsze oko, celuj lepszym.

Skinęła głową.

- Tak jest.

- Okay. Widzisz te nacięcia na końcu lufy? Ustaw je na celu i naciśnij spust. Nie szarp go, tylko naciśnij. Uważaj, siła odrzutu da ci się we znaki, więc nie zaciskaj dłoni.

To wszystko zdawało się nierzeczywiste. Da radę, na pewno, w końcu kiedyś załatwiła dwa zombie końcówką prysznicą i lakierem do włosów. Bez problemu strzeli do dupków, którzy chcą ich zabić. Odetchnęła głęboko i strzeliła.

Jaguar jechał zbyt szybko, żeby siła odrzutu pchnęła ją dalej. Siedziała wbita w fotel, przyciśnięta jakby olbrzymią ręką, ale ramię zadrżało. Wystrzał ciągle brzmiał w jej uszach, niósł się echem przez całe ciało. Nie widziała, czy trafiła.

Samochód znowu wypełnił się czarnym dymem. Tym razem zareagowała instynktownie, skuliła się, gdy za jej plecami buchnął płomień.

Wóz za nimi gwałtownie skręcił i przyspieszył, jego maska znajdowała się zaledwie kilka centymetrów od tylnego zderzaka jaguara. Greyson szarpnął kierownicą w lewo. Uderzyła o drzwi, włosy rozsypały się jej wokół twarzy, zasłaniając oczy. Jaguar wyrwał do przodu, skręcił w najbliższą przecznicę, zmienił pas, skręcił w kolejną wąską drogę. Za ich plecami metal uderzył w metal.

- Weź moją komórkę i wybierz jedynekę - powiedział. Nie pojmowała, jak może mówić tak spokojnym głosem, jak w tym wszystkim nawet na nią nie krzyknął, choć wyczuwała buzujący w nim gniew.

Nawet teraz jego profil nie zdradzał żadnych emocji; wyglądał normalnie, nie licząc lekkiego grymasu ust i małego marsa na czole.

A gdyby to ona spojrzała w lustro, pewnie nie poznałaby samej siebie.

Usłuchała go. Nowoczesny mały telefon leżał w dłoni o wiele cieplej niż pistolet, teraz spoczywający na jej kolanach. Po dwóch sygnałach usłyszała znajomy głos z londyńskim akcentem.

- Malleus! Malleus, ścigają nas, strzelają...

- Powiedz mu, gdzie jesteśmy i że jedziemy nad zbiornik - wpadł jej w słowo Greyson. - Ma na nas czekać przy zjeździe dwadzieścia dwa.

Ledwie skończyła to powtarzać, Malleus się rozłączył.

- Odczepili się?

W odpowiedzi padł kolejny strzał. Na desce rozdzielczej rozprysły się aluminiowe elementy. Pękły z głośnym trzaskiem. Odruchowo ukryła twarz w dłoniach. Greyson coś mówił, ale go nie zrozumiała.

- Strzelaj jeszcze raz. - W jego głosie pojawiły się szorstkie nuty.

- Co się stało?

- Strzelaj i już!

Wbiła pięty w tapicerkę poniżej deski rozdzielczej, ponownie uniosła broń, wycelowała, drżąc od adrenaliny i ze strachu.

- Strzelaj w chłodnicę!

Zrobiła to, celowała, jak umiała najlepiej, ale kiedy tylko nacisnęła spust, samochód prześladowców wyrwał do przodu. Greyson szarpnął kierownicą w prawo. Megan wpadła na niego. Słyszała jego jęk nawet poprzez warkot silnika i huk krwi w żyłach.

Świat zawirował szaleńczo wokół ich samochodu; kręcili się, zostawiając na jezdni czarne smugi opon. Zanim Megan zdążyła się pochylić, w poślizgu minęli czarny samochód i popędzili w stronę, z której przed chwilą

nadjechali. Za nimi buchnęły płomienie i zasłoniły całą drogę.

Skręcili w prawo, zatoczyli łuk, mało brakowało, a wpadliby na ciężarówkę na skrzyżowaniu.

Klakson dołączył do kakofonii otaczających ich dźwięków.

- Czy udało nam się ich...

Czarny samochód wyprysnął zza rogu. Jego opony nadal płonęły. Nie czekała na polecenie, uniosła pistolet. Jej dłonie żyły własnym życiem, gdy naciskała spust. Długi prosty odcinek to ich szansa.

Tym razem trafiła. Czarny samochód przechylił się na bok, niewyraźne postacie w środku się poruszyły. Nie wiadomo skąd zjawiała się kula biało-niebieskiego ognia, uderzyła w chłodnicę, wdarła się pod maskę, płomienie lizały karoserię. Samochód spowijał czarny dym, aż nagle, na oczach Megan, przybrał kształt czarnej strzały i skierował się w stronę jaguara, by po chwili zniknąć zupełnie. Oczy ją piekły, ze strachu i od ognia. Strzeliła jeszcze raz, nie wiedząc, ile kul zostało w magazynku. Samochód za nimi znowu spowijał dym, tym razem biały. W jej sercu rozkwitła nadzieja.

- Trzymaj się - mruknął Greyson i szarpnął kierownicą. Jaguar wskoczył na rampę prowadzącą na autostradę. Czarny wóz nadal jechał za nimi, ale już wolniej. Nagle jego opony eksplodowały. Samochód podskoczył uniesiony siłą wybuchu i upadł na bok. Megan obserwowała go, aż włączyli się do ruchu ulicznego. Nikt ich już nie śledził.

- Boże, kto to był? I dlaczego chcieli...? Jasnoszare światło latarni ulicznych przenikało do samochodu, zjawiało się i znikało jak dyskotekowy stroboskop, podświetlając plamę krwi na desce rozdzielczej i czerwoną smugę na rękawie Greysona.

- Nic mi nie jest - powtórzył kolejny raz, jak robił to od godziny. Jeździli po mieście, by się upewnić, że nikt ich nie śledzi. Megan zatrzymała się przy słabo oświetlonym wejściu do Iureanlier Sorithell, rezydencji na obrzeżach miasta należącej do Gretneg, czyli zwierzchnika Meegra Greysona.

Obecnie, przynajmniej teoretycznie, był to Greyson. Ponieważ objęcie przez niego tej funkcji wiązało się z wydaniem poprzednika, Templetona Blacka, swego rodzaju nadprzyrodzonym organom ścigania, znanym jako Ver-gadering, niektórzy członkowie Meegra kwestionowali jego uczciwość. Pozostali Gretneg nadal rozważali, czy można powierzyć mu taką władzę i odpowiedzialność.

Wiedziała, że ta walka jeszcze się nie skończyła, ale nie rozmawiali na ten temat. Nigdy o to nie pytała, wątpiła zresztą, by uzyskała jednoznaczną odpowiedź, gdyby to zrobiła. To jego sprawa, podobnie jak zmiany, które wprowadzała w swoim Meegra, to jej problem. Choć wiedziała, że Greyson ich nie pochwała, nigdy jej tego nie powiedział. Nie usiłował też przekonać jej, by zmieniła zdanie, gdy już raz podjęła decyzję.

- Twoja krew kapie na podłogę - poinformowała go, idąc za nim przez niewielką grupkę *rubenda*, członków jego Meegra, którzy czekali w holu. Najwyraźniej jego rana nie była poważna, ale i tak denerwował ją ten widok.

Szczególnie że w jej duszy odzywało się coś, do czego nie chciała się nawet przyznać. Podobał jej się kontrast - ciemnoczerwona krew na białej marmurowej podłodze. Chciała jej dotknąć, unieść unurzane w niej palce do ust, poczuć na języku cierpki, ostry, zaprawiony dymem smak.

Przerażona, odwróciła oczy, przełykając ślinę. Pochwyciła wzrok jednego z *rubenda* i zobaczyła w nim to samo pragnienie.

Jej obcasy zastukały na podłodze, gdy przyspieszyła, by dogonić Greysona, wpatrując się uparcie w jego wyrazisty profil. Malleus szedł przy nim, niósł podręczną torbę z jej rzeczami, po które pojechał do niej do domu. Przez otwarte drzwi do kuchni widziała, jak Malefica-rum i Spud otwierają dużą torbę i układają srebrzyste instrumenty na białym płótnie.

Malleus, Maleficarum i Spud, demony ochronne, byli braćmi. Mieli imponujące mięśnie i należeli do wyjątkowych twardzieli, a ich rany goiły się jeszcze szybciej niż u pozostałych demonów; na własne oczy widziała, jak stracili tyle krwi, że zwykły człowiek już dawno by nie żył, a oni trzy godziny później tańczyli polkę. W ciągu minionych trzech miesięcy uczyli się także udzielania pierwszej pomocy. Należeli do nielicznych, którym Greyson naprawdę ufał, więc za jego rządów zakres ich obowiązków się poszerzył i nie ograniczał się do zwykłej ochrony; stali się raczej jego osobistymi asystentami.

- Panie Dante?

Megan i Greyson się zatrzymali. Megan odwróciła się i zobaczyła *rubenda*, który już wcześniej pochwycił jej wzrok. Ostrożnie podszedł bliżej i wskazał krople krwi na posadzce.

- Panie Dante, czy mogę prosić o twoją krew?

W małej grupce demonów rozległy się gniewne pomruki. Megan otworzyła usta z wrażenia, ale gdy zerknęła na Greysona, przekonała się, że jest tak spokojny, jakby tamten zapytał go o pogodę.

- Nie - odparł i nie oglądając się za siebie, poszedł do kuchni.

Jej stopy tonęły w miękkim szarym dywanie, gdy nerwowo przechadzała się tam i z powrotem, usiłując jakoś

się uspokoić i wyciszyć. Whisky trochę pomogła, ale nadal miała gonitwę myśli.

Ze sposobu, w jaki oczy Greysona śledziły jej ruchy, wywnioskowała, że był na najlepszej drodze, by się upić. Rozparł się w masywnym fotelu pod ścianą. Siedział bez koszuli, zabandażowane ramię spoczywało na poduszce. W drugiej dłoni trzymał szklanekę z kolejnym drinkiem.

- Greyson, naprawdę nie uważam, że środki przeciwbólowe i alkohol to dobre połączenie, dlaczego nie...

- Dlaczego nie dasz mi spokoju? - warknął. I to, bardziej niż wszystko inne, uświadomiło jej, jak bardzo poruszyła go ich wcześniejsza przygoda. Greyson prawie nigdy nie tracił panowania nad sobą. Zatrzymała się i wpatrywała w niego przez chwilę, a potem znowu zaczęła krążyć po pokoju. Napięcie między nimi unosiło się w powietrzu, przytłaczając Megan jeszcze bardziej. Kolejny z jej demonów wybuchł, aresztowano ją i trafiła do więzienia, omal nie została zabita, a na dodatek miała dziwną i niestety nienową ochotę polizać krew swojego chłopaka. Ochotę, którą podzielał co najmniej jeden demon w tym domu, jeśli nie więcej.

- Siadaj, *bryaela* - powiedział Greyson łagodnie. - Przyprawiasz mnie o zawrót głowy.

- Nie mogę. Jestem zbyt zdenerwowana.

- Moglibyśmy się położyć.

Jej śmiech zabrzmiał lekko histerycznie nawet dla niej samej.

- Naprawdę uważasz, że to odpowiedni moment?

- Równie dobry, jak każdy inny, nie sądzisz? - Wstał, podszedł\* do niej i uwięził ją między swoim ciepłym, twardym ciałem a toaletką za jej plecami. - Jesteśmy tu razem... Chyba znasz moje łóżko...

- Dziś wieczorem ktoś próbował nas zabić. A wcześniej zamknęli mnie w więzieniu!

- Mmm, to takie podniecające. - Jego wargi drażniły jej ucho, odnalazły drogę w dół jej szyi, zatrzymywały się, by mógł lekko drasnąć ją zębami. - Niegrzeczna dziewczynka. Nie chciała zareagować, naprawdę, a jednak odwzajemniła pocałunek z pasją, która zaskoczyła ją samą. Wsunęła ręce pod jego ramiona, żeby dosięgnąć drobnych wypustek - *sgaegas* - wzdłuż kręgosłupa Greysona. Pod jej dotykiem jego ciało pokryło się gęsią skórą. Prawą ręką objął ją w pasie, przyciągnął do siebie, lewa znikła w jej włosach. Wspięła się na palce, chciała, żeby całował ją mocniej, chciała o wszystkim zapomnieć i zatracić się w nim. Jej ciało stanęło w ogniu. Pojawił się w klatce piersiowej, brzuchu, wędrował coraz niżej. Szarpnęła pasek spodni Greysona. Wszystkie uczucia - wstyd, strach, obawy o demony osobiste - rozmyły się w pragnieniu tak silnym, jak chyba jeszcze nigdy dotąd. Zsunęła mu spodnie, zamknęła go w rękę - był gorący i ciężki w jej dłoni. Oddech Greysona drażnił jej usta. Odsunął się tylko po to, by szybkim ruchem zdjąć z niej koszulę. Kolejny gest i rozpiął jej stanik. Przywarł do niej, aż wbiła się biodrami w toaletkę. Pieściła jego plecy, rozkoszowała się siłą jego mięśni, dotykała najbardziej wrażliwych na pieszczoty miejsc. A jednocześnie jej serce biło ogniem, strachem i potrzebą zapomnienia. Uniósł ją, jego potężne ręce zamknęły się poniżej jej ud, posadził ją na skraju toaletki.

- Twoje ramie - wysapała. - Uważaj...

- Cicho. - Zamknął jej usta pocałunkiem i zdjął z niej spodnie. Jej bieliznę stanowił maleńki skrawek czarnego jedwabiu, który kupił dla niej podczas ostat-

niej podróży do Paryża. Greyson lubił jej dawać prezenty, szczególnie takie, które później sam z niej zdejmował.

Chciała zeskoczyć z toaletki, ale zatrzymał ją, nie pozwalając jej zejść, drugą ręką zsunął jej majtki i rzucił na podłogę.

- Myślałam, że chcesz do łóżka - szepnęła.

- Zmieniłem zdanie.

Głowa opadła jej do tyłu, gdy wszedł w nią, oburącz ściskając jej biodra. Kurczowo wplotła palce w krótkie, miękkie włosy na jego karku, bawiła się nimi, przyciągała go bliżej. Jego twarz zatrzymała się w odległości kilku centymetrów od jej twarzy, jego oczy płonęły czerwienią, wpatrzone w nią. I przez nią.

- Meg...

Pochylił się i wypełnił jej usta swoim językiem. Płomienie w ciele Megan skoczyły wyżej. Poruszał się miarowo, ale poczuła, jak jego ramiona napinają się, a pocałunki stają się coraz bardziej natarczywe i wiedziała, że wkrótce będzie po wszystkim, że strach i ból, które sprawiały, że chciała uciec, na niego działały jak afrodyzjak.

Jej biodra oderwały się od toaletki. Oparła się dłońmi o chłodny blat i oplotła Greysona nogami w pasie. Trzymał ją, zataczając miednicą powolne kręgi, tak że docierał do wszystkich właściwych miejsc w jej ciele. Zesztywniała, zacisnęła uda, prosząc o więcej.

Zmienił pozycję, wsunął dłoń między ich ciała,

i to wystarczyło. Wygięła się w łuk, wypchnęła biodra w przód i krzyknęła z rozkoszy.

Chwilę później dołączył do niej. Boleśnie wbił palce w skórę Megan, zadrżał i wykrzyczał jej imię.

Zastygli tak i trwali, wtuleni w siebie, oddychając jednym rytmem, aż poczuła, że drętwieją jej ramiona i zsunęła się na ziemię.

Pogłaskał ją po policzku, schylił się i podał jej majtki. Podciągnął spodnie.



- Jak ręka?

Wzruszył ramionami, ale jego przelotny uśmiech rozpałił jej serce tak samo, jak przed chwilą jego pieszczoty rozpałiły jej ciało.

- Boli jak cholera, ale do rana się zagoi. I dobrze. W poniedziałek lecę do Nowego Jorku i mam przed tym mnóstwo roboty.

- Ale... Jak to, nie martwisz się?

Wziął ze stolika szklanę i opróżnił ją do dna.

- Niby dlaczego? Harrel to dobry pilot, a...

- Ktoś próbował nas zabić, Greyson. Nie martwi cię to? - Wyjęła jego koszulkę z szafy i włożyła przez głowę. Padała ze zmęczenia, nigdy jeszcze łóżko nie wydawało się równie kuszące - no, prawie nigdy. Ale choć wspomnienie pościgu i związanej z nim paniki przyblakło, myślenie o tym bynajmniej nie koło jej nerwów.

- Nie próbowali nas zabić, kochanie. Nie dramatyzuj.

- Nieźle to udawali.

- Nie. - Nalał sobie kolejnego drinka. Spochmur-niał. - To było tylko ostrzeżenie.

- Skąd wiesz?

- Ponieważ to były czarownice. Gdyby chciały naszej śmierci, już byśmy nie żyli.

### Rozdział 3

Nie rozumiem.

- Niemożliwe, żebym z taką łatwością pokonał czarownice, gdyby naprawdę chciały nas zabić - wyjaśnił. -

Chyba że to dzieciaki, dla zabawy polujące na demona, a wiemy, że tak nie było.

- Niby skąd... Och. Areszt. Wiedzieli, że tam będę. Skinął głową.

- I że po ciebie przyjdę. A nastolatki nie byłyby tak silne.

- Policjant powiedział, że ktoś zadzwonił do nich z informacją, że w tym domu są zwłoki. Myślisz, że to sprawka czarownic? I że to one zabijają demony?

- Nie, nie sędzę. Myślę, że po prostu wykorzystały okazję. - Ponownie opróżnił swoją szklanę.

Megan poczuła dreszcz niepokoju. Wyglądał, jakby usiłował o czymś zapomnieć. Nawet z metabolizmem demona, który, jak wiedziała, jest bardzo dobry, cztery piwa i pół butelki whisky nie pomogą mu myśleć szybciej.

Co martwiło go tak bardzo, że...

- Dlaczego pojechały za nami? Dlaczego czarownice chciały nas za... ostrzec?

- Mnie, nie nas, jeśli mam rację, a na pewno mam. Zajmę się tym, bez obaw.

Gdyby naciskała bardziej, powiedziała by jej, ale teraz miała wrażenie, że byłoby to naruszenie jego prywatności. I pewnie właśnie o to mu chodziło.

- Więc kto to robi? To znaczy, kto zabija demony? Pokręcił głową.

- Nie wiem. Nikt nie wie.

Zimne powietrze wokół nóg powoli budziło dyskomfort. Greyson utrzymywał w sypialni lodowato niską temperaturę i zazwyczaj nie miała nic przeciwko temu, przecież on zawsze był gorący. Ale nie ma sensu dygotać z zimna. Wślizgnęła się między ciężkie jedwabne prześcieradła i dopiero wtedy dotarło do niej, że z trudem utrzymuje otwarte oczy.

- Rocturnus powiedział, że dawniej tak ich karano. Przez eksplozję.

- Tak? - Dolał sobie drinka. - Tak. A co?
- Więc dla Yezer to normalne? - Niemal widziała, jak kręcą się trybiki w jego głowie.
- Nie powiedziałabym - normalne, ale domyślałam się, że nie jest to niespotykane. U ciebie także?
- Mówił, kto karał je w ten sposób? Oskarżyciel czy...
- Odpowiesz na moje pytanie czy nie?
- Jeśli odpowiesz na moje. Kto w ten sposób karał twoje demony?
- Tego Roc nie powiedział. Wszyscy wybuchacie? Czy... mam się spodziewać, że ty także eksplodujesz któregoś dnia?
- Tylko jeśli nie będziesz mi posłuszna, zawsze i wszędzie.

Złapała poduszkę. Jego odruchy wydawały się odrobinę spowolnione z powodu rany i alkoholu. Jeśli będzie dość szybka, może uda jej się go trafić...

Oczy Greysona rozbłysły. Niech to szlag.

- Gdzie właściwie jest Roc?
- Sprawdza pozostałych. Chciałam być sama, gdy...
- Gniłam w więzieniu. Uśmiechnęła się wbrew sobie.
- Pięknie to ująłeś. Uniósł brew, ale nie połknął przynęty.
- Pamiętasz, czy coś jeszcze powiedział?
- Nie. Dlaczego?

Rzucił okiem na budzik przy łóżku.

- Już po pierwszej. Powinnaś się przespać.
- A ty nie?
- Później. Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

Myślała, że wstanie i pójdzie do gabinetu, ale nie, siedział w fotelu, sączył drinka i obserwował ją, gdy odpływała w sen.

Jej powieki opadały ze znużeniem, gdy trzy godziny później weszli do kasyna. Bolało ją całe ciało. Najchętniej wróciłaby do łóżka.

Niestety; z powodów, których wciąż nie pojmowała zaspanym umysłem, znalazła się tutaj i szła w blasku ostrych świateł, pod czujnym wzrokiem co najmniej tuzina demonów.

Do tej pory była w kasynie tylko raz, gdy Greyson pracował i zaprosił ją na lunch. Wtedy, za dnia, wydawało się ciemne i puste, czekało na gości.

Teraz widziała tłumy. Podłoga dygotała od śmiechów, krzyków, dzwonek, odgłosu upadających żetonów. Tyle hałasu w małej przestrzeni przyprawiało ją o zawroty głowy. Nie miała pojęcia, skąd ci wszyscy ludzie wiedzieli o tym miejscu. Demony, tak. Ale przynajmniej na połowie ramion schylonych nad stołami do blackjacka i ruletki siedziały osobiste demony. To ją martwiło. Niewiele wiedziała o legalnych przedsięwzięciach Greysona, a co dopiero o nielegalnych, ale zakładała, że to nielegalne kasyno obsługuje wyłącznie demony.

Zatrzymał się razem z nią i śledził jej wzrok.

- Nie ty jedna wśród ludzi miałaś kontakt z demonami - powiedział cicho. - Ale ty jedna wiesz, czym jesteśmy.

Uśmiechnęła się sztucznie.

- Wiedziałam, że jestem wyjątkowa. Gdzie Gerald? Skinął głową w stronę drzwi.

- Udało im się zaprowadzić go do schowka. Chodź. Jego dotyk uspokajał. Prowadził Megan przez pokój,

minęli stoły do ruletki i długi, dobrze oświetlony bar, za którym kilka ładnych młodych dziewczyn serwowało drinki. Uśmiechnęły się, gdy Greyson przechodził, ich duże oczy odprowadzały go tęsknie. Megan ledwie skinęły głową, ale nie śmiały zignorować jej całkowicie.

Dwóch strażników stało przy małych drzwiach.

- Panie Dante - powiedział pierwszy. - Mamy go w środku.

- To jest doktor Chase - przedstawił ją Greyson. - Prosił o nią?

- Tak, chyba tak, sam nie wiem, strasznie mu odbiło - odezwał się drugi. Obaj, jak zauważyła, wbijali wzrok w podłogę i nerwowo przebierali nogami. - Wydawało się, że mówi po naszemu, ale...

- To brzmiało jak dziwny dialekt - dodał pierwszy. - A potem znowu jak angielski.

Greyson i Megan wymienili szybkie spojrzenia. Jeden z jej pacjentów mówiący językiem demonów? Nawet ona nie poznała więcej niż kilka słów. *Bryaela*, oczywiście, choć nie miała pojęcia, dlaczego tylko Greyson i John Wayne mogli się zwracać do innych „pielgrzymie”. Mówił, że nazywa ją tak, bo podróżuje po świecie demonów, jednak nie było to do końca zadowalające wyjaśnienie. *Sheshissma* - ale tego słowa używał wyłącznie, gdy był bardzo roznamietniony, więc nie miała odwagi powtórzyć go publicznie.

Tak naprawdę, uświadomiła sobie teraz, jedyne słowa, jakie zna, nadają się do użytku wyłącznie w sypialni. Może Greyson zechce ją trochę poduczyć, a jeśli nie, poprosi Rocturnusa.

A skoro o nim mowa, gdzie się podziewa?

- Mówił coś jeszcze? - zapytał Greyson. Drugi strażnik pokręcił głową.

- Nie, po prostu zaczął płakać i prosić o doktor Chase. Najpierw nie chciał tam wejść, ale... - spojrzał na Megan - przekonaliśmy go. A jaki był silny!

- Wpuście mnie - powiedziała, wściekła, że poczekali, aż Greyson twierdząco skinie głową, zanim to zrobili. Wystarczająco złe było to, że wplątała się w ten

demoniczny świat, a teraz trafiają tu niewinni ludzie, ludzie, który prosili ją o pomoc i wylądowali w zamkniętym składziku.

Składziku w kasynie. Zupełnie bez sensu. Gerald nie był hazardzistą. Nigdy nie wyczuła w nim nawet najdrobniejszego zainteresowania hazardem, jeśli nie liczyć okazjonalnych zakładów sportowych z kolegami z pracy, a i to tylko dlatego, że chciał się wśród nich odnaleźć. I bardzo dobrze, bo za każdym razem przegrywał.

Był miłym człowiekiem i zasługiwał na coś lepszego. Miły, łagodny... Chwileczkę.

- Mówicie, że był silny? Że musieliście z nim walczyć, żeby go tu zamknąć?

Strażnik skinął głową. Był bardzo umięśniony, wyglądał jak demoniczna wersja Conana z węższą szczęką. Gerald, ten Gerald, którego znała, byłby dla niego jak mucha.

Otworzyła drzwi i weszła do małego, obskurnego magazynu, ciągle mając nadzieję, że zobaczy kogoś obcego podszywającego się pod Geralda.

Ale nie, to był Gerald. Kulił się w kącie, miał zadrapania na bosych stopach i sińce na wąskiej twarzy.

- Megan! Megan! - Brnął ku niej przez pomieszczenie jak krab na połamanych odnóżach. Dygotał.

Odskoczyła do tyłu. Nienaturalny ruch przyprawił ją o dreszcz.

Gerald zatrzymał się i spojrzał na nią. Na jego twarzy malowały się niewinność i strach, ale w oczach było coś... Megan opuściła bariery, żeby go przeczytać. Może to narkotyki, może coś zażył...

Nic. Nie przyszły żadne obrazy, żadne oderwane myśli, żadne przyпіływy uczuć. Strach rozpędził resztki senności. Coś było nie tak. Zawsze bez trudu czytała Geralda, silnie nadawał. Nie wychwytywała żadnych emocji, gdy usiłowała czytać nie ludzi, lecz demony...

Oczy Geralda zaświeciły. Załedwie na ułamek sekundy, ale wystarczyło, by to zobaczyła. Niewiele myśląc, zamieniła energię, której używała, by go przeczytać, w broń, i wycelowała w niego. Echo ataku rozlało się w jej całym ciele, ale Gerald tylko się zachwiał. Starając się nie ulec panice, Megan zebrała siły, przekonana, że zaraz nastąpi kontratak, i znowu uderzyła. Mocno. Miejsce w głębi jej duszy, które wyobrażała sobie jako drzwi, zdawało się jaśnieć i pulsować, chciało, żeby je uchyliła i zajrzała w głąb, do świata osobistych demonów. A choć jak dotąd znalazła się za nimi tylko jeden jedyny raz, wiedziała, że poprzez to miejsce łączy się z nimi i będzie mogła posłużyć się ich mocą. Tak łatwo byłoby je otworzyć i pozwolić, by demon w niej...

Ale to byłoby złe. Przeróżające. Na samą myśl o tym zadygotała. Zamiast tego wzniosła barierę ochronną i rzuciła się na ziemię, uderzając kolanami o zakurzoną cementową posadzkę.

Pokój wypełniły krzyki, wysokie jęki rozkoszy, które przyprawiały ją o dreszcze. Osiągnęły przenikliwe crescendo, raniąc jej słuch, aż zwinęła się w kłębek. Jej serce biło jak oszalone, całe ciało przygotowało się na ból, którego się spodziewała lada chwila... ale jakaś jej część także chciała wyć, skakać, tańczyć. Ta chęć pulsowała w piersi tak silna, gwałtowna, że oplotła się ramionami i krzyknęła. Nie mogła tego wytrzymać, zaraz stanie w krwawym płomieniu i...

Cisza.

Minęły ją potężne ciała, pchnęły na ścianę. Była zbyt wystraszona, by unieść powieki. Gdzie Greyson? Zazwyczaj nie zostawiał jej w takim stanie, nie kazał walczyć samotnie, zwłaszcza gdy, jak teraz, nawet postronny obserwator mógł dostrzec, że coś jest z nią bardzo, bardzo nie w porządku.

- On nie żyje. - Głos drugiego strażnika, nie-Conana, zabrzmiał jakoś cicho. Wyczuwała w nim dezorientację. - Panie Dante, ten człowiek nie żyje!

Między stopami mężczyzny dostrzegła na posadzce rękę. Rękę Geralda o palcach zakrzywionych w górę jak zdechły pajak, blady i nieruchomy. Ten obraz wypełnił jej umysł. Miała go pod powiekami, nawet gdy zamknęła oczy, trwał jak fotograficzny negatyw, świecił w ciemności powiek. Jej pacjent nie żyje. Jej miły, słodki, łagodny pacjent umarł na podłodze magazynu w kasynie demonów, z blaskiem w oczach i niesamowitym krzykiem na ustach. Ten krzyk brzmiał niemal jak śmiech, pomyślała teraz. To wszystko było bez sensu. Czowała, że zaraz zemdleje.

- Zabierzcie stąd doktor Chase. - Usłyszała głos Greysona. - Odprowadźcie ją do samochodu. - Chciała zaprotestować, ale wargi i język odmówiły jej posłuszeństwa. Gerald nie żyje i wiedziała, że to jej wina. Była tego równie pewna, jak tego, że ma na imię Megan i że Greyson każe ją zabrać nie dlatego, żeby nie patrzyła na tę rękę na podłodze, ale ponieważ musi usunąć ciało ze swojego kasyna, zanim ktoś je zauważy i wezwie policję.

Obudziło ją denerwujące brzęczenie. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, gdzie jest, a wtedy wszystkie wspomnienia wróciły jednocześnie: gorzki smak leku, który w samochodzie podał jej Maleficarum, ona i Greyson śpiący na tylnym siedzeniu, Malleus niosący ją do łóżka.

Gdy uniosła powieki, zobaczyła ciemny pokój. W oknach, wisiały grube zasłony. Mimo półmroku udało jej się dostrzec telefon komórkowy na stoliku obok łóżka - to on dzwonił.

Podniosła go i usiłowała otworzyć cholerną klapkę. Greyson kupił jej aparat, ale nadal nie opanowała nawet



połowy funkcji, w które był wyposażony, nie mówiąc już o umiejętności otwarcia go jednym zamaszystym ruchem, jak robili to Greyson i bracia.

- Halo? - Mówienie sprawiało ból.

- Hej! Jestem trochę spóźniona, możemy się spotkać o czwartej, a nie o trzeciej?

Tera Green brzmiała radośnie i energicznie, jak zawsze, w przeciwieństwie do Megan, która w tej chwili prawdopodobnie mówiła, jakby miała potężnego kaca i tak też się czuła.

Odsunęła aparat i spojrzała na zegar. Za dwadzieścia trzecia. Umówiły się z Terą na obiad i zakupy. Na śmierć zapomniała.

Nie przyznała się jednak, energicznie skinęła głową, aż przypomniała sobie, że Tera jej nie widzi.

- Oczywiście - mruknęła, starając się wzbudzić w sobie entuzjazm. - Właśnie się... wybierałam.

- Świetnie. Więc do zobaczenia o czwartej. Odpowiedziała tymi samymi słowami, choć wcale nie czuła się świetnie. Usiadła ciężko.

- Tera?

Wydawał się zmęczony, ale nie tak jak ona. Spojrzała na niego, na jego włosy zmierzwiłone od snu, półprzy-mknięte powieki. Skinęła głową.

- Idziemy na zakupy.

- Ale bomba. - Ziewnął i przyciągnął ją do siebie, tak że oparł jej głowę na kolanach. - Zostań tutaj.

Mam parę spraw do załatwienia, ale za kilka godzin będę wolny.

- I co, mam siedzieć sama w twoim pokoju przez cały dzień? Nie, dziękuję. - Ale nie ruszyła się z miejsca. Znowu wróciły wspomnienia poprzedniej nocy: Gerald na podłodze, krzyk, dudnienie w jej piersi. Zadrzała.

Ramiona Greysona zacisnęły się wokół niej.

- To nie była twoja wina.

- Ależ owszem i dobrze o tym wiesz. Choć doceniam, że nie mówisz: a nie mówiłem. - Nie bardzo udał jej się dowcip.

Zawahał się.

- Obawiałem się, że dojdzie do czegoś takiego, jednak nie dlatego chcę, żebyś zrezygnowała z praktyki terapeutycznej. Nie w tym rzecz. - Usiadł, objął ją i pociągnął, tak że głowa Megan znalazła się na jego piersi. Pod dymnym zapachem jego skóry nadal wyczuwała wczorajszą whisky i to, czym Spud posmarował jego ranę. Spojrzała na jego bark. Bandaż już zniknął, ale została niewielka wypukła blizna.

- Meg, ludzie umierają cały czas. Czułabyś się winna, gdyby miły Gerald się załamał i popełnił samobójstwo? Albo gdyby wpadł pod samochód, bo nie rozejrzał się na pasach, pogrążony w myślach o czymś, co mu powiedziałaś?

- Geralda opętał demon, a potem uśmiercił go w kasynie. To chyba pewna róż...

- Nie, to żadna różnica, to dokładnie to samo. Szkoda, że nie żyje, jeśli to cię martwi, ale wszyscy twoi pacjenci mogą umrzeć, a mnie wcale to nie obejdzie. Zależy mi jedynie na twoim życiu. I moim oczywiście.

- Oczywiście. - Nie wiedziała, czy mu uwierzyła, nie wiedziała, czy naprawdę poczuła się mniej odpowiedzialna, ale czarna chmura nad jej głową chyba jednak odrobinę pojaśniała.

- I dlatego chcę, żebyś dzisiaj zabrała ze sobą Mal-leusa.

Odsuijęła się.

- Nie mogę.

- Owszem, możesz. Tera musi się z tym pogodzić i tyle. Tylko nie mów jej dlaczego...

- Domyśli się, że coś się dzieje, kiedy go zobaczy.

- Niech sobie myśli, co chce. Co przed chwilą powiedziałem? Zależy mi na twoim bezpieczeństwie. A Malleus ci je zapewni.

- Wydawało mi się, że czarownice polują tylko na ciebie.

- Powiedzmy, że mam paranoję.

Siedząc na łóżku zasłanym czarnym atłasem, wyglądał jak średniowieczny król rozdający zaszczyty, ale jego oczy były zmęczone i poważne.

- Gdybym nie знаła cię lepiej, uwierzyłabym, że ci zależy - skomentowała. Był to jeden z ich żarcików, gdy starannie omijali temat swoich uczuć, ale teraz zabrzmiał bardzo poważnie.

Zaczerwieniła się.

Zamrugął.

- No cóż, kupiłem ci coś ładnego na Gwiazdkę, wolałbym, żeby się nie zmarnowało. - Atłas zaszeleścił miękko, gdy odrzucił przykrycie i wstał. - Malleus będzie czekał. Szykuj się. Wczoraj wieczorem przyprowadził twój samochód.

- Greyson... - Ale nie wiedziała, co powiedzieć. Zapiął spodnie i podszedł do niej. Pocałował ją w czoło.

- Postaram się wpaść jutro wieczorem. Ale w poniedziałek rano wyjeżdżam, więc nie czekaj do późna, gdybym się jednak nie pojawił.

Odruchowo wyciągnęła do niego ramiona, objęła go, i pogłaskała twarde silne plecy. Wystarczył jego dotyk, by się rozgrzała.

Pocałował ją jeszcze raz, tym razem w usta, mocniej, dłużej.

- Chyba że odwołasz Terę? - Jego dłonie dotknęły jej talii i znieruchomiały.

Pokręciła głową. Mimo że chciała zostać, nie mogła się doczekać powrotu do normalnego świata. O ile

można mówić o normalności, jeśli umawia się na zakupy z czarownicą i zabiera ze sobą ochroniarza demona.

- Będzie jej przykro, jeśli odwołam spotkanie.

- Pamiętaj, zabierz telefon. I uważaj na siebie. Odchodził już, ale go przytrzymała.

- Co z nim zrobiłaś?

- Z Geraldem? Skinęła głową.

- Zabrałem go do jego mieszkania i ułożyłem na łóżku. Ktoś go znajdzie.

Powrócił chłód. Mówił tak nonszalancko, jakby przenosił zwłoki - albo zarządzał ich transport - dzień w dzień. Co w sumie nie jest wykluczone.

- Kto mu to zrobił. Czy to był ktoś z innej Meegra?

- Rozwiążemy tę zagadkę. - Uniósł jej podbródek tak, że musiała na niego spojrzeć. - A tymczasem...

- Wiem. Mam uważać, nie mówić niczego Terze i pozwolić, by towarzyszył mi Malleus.

- Widzisz? O wiele lepiej, kiedy mnie słuchasz. Zrobił unik, zanim zdążyła go klepnąć.

## Rozdział 4

Ledwie Megan zobaczyła Terę, opuściła wzrok, by sprawdzić, czy nie wylała sobie czegoś na bluzkę.

Oczywiście nie zrobiła nic takiego, jedyna plama na jej ubraniu była ponurym cieniem Malleusa.

Złoty sygnet na jego małym palcu rzucał świetlne refleksy w zimowym słońcu sącącym się przez świetliki.

Tera, jak zawsze, wyglądała doskonale - chłodna i nieskazitelna w dżinsach i czarnym swetrze. Poły płaszcza rozchyliły się, platynowe włosy spływały na plecy jasną falą. Była stworzona do tego, by wprawiać inne kobiety w zakłopotanie. Megan dziwiłaby się, dlaczego się przyjaźnią, gdyby odpowiedź nie była dziecinnie prosta - żadna z nich nie miała innych przyjaciółek.

A poza tym naprawdę lubiła Terę, mimo że czarownica wykazywała się taktem neandertalczyka. Uściskały się i ruszyły przez sobotni tłum przedświątecznych zakupowiczów. Może centrum handlowe nie było najlepszym pomysłem. Megan liczyła, że się odpręży, że wśród ludzi znowu poczuje się normalnie. Tymczasem kusiło ją, by wszystkich czytać, zgłębić sekrety wszystkich w budynku, upewnić się, że w kącie nie czai się nikt niepożądany.

Gdzieniegdzie małe demony puszczały do niej oko, machały z ludzkich ramion. Usiłowała odwzajemniać te gesty i nie sprawiać przy tym wrażenia, że wita się z każdym, kogo mija. Gdzie Rocturnus? Nie liczyła, że zobaczy go rano, po przebudzeniu - jeden krępujący incydent wystarczył, by zabroniła mu wstępu do sypialni, zresztą i tak nie mógłby sam przeniknąć do domu Greysona - ale myślała, że przynajmniej tutaj się pokaże, da jej znać, że nic mu nie jest.

- A więc. - Tera obejrzała się przez ramię, jej niebieskie oczy musnęły Malleusa, który dzielnie wpatrywał się przed siebie. - Widzę, że przyszedłeś dzisiaj z ochroną. Grey myśli, że znowu coś ci się może stać?

Serce podeszło Megan do gardła. Więc Tera - czyli także Vergadering - wiedziała o jej aresztowaniu.

- Znasz mnie, wiecznie w tarapatach.

- Co zrobiłaś? Czemu włamałaś się do tamtego domu?

**37**

- Myślałam, że tam mieszkają moi znajomi.

- A jakiś miłosierny samarytanin zatelefonował na policję i powiedział, że mordujesz niewinnych ludzi.

- Jezu, Tera, moje zdjęcie z posterunku też trafiło do Vergadering?

Tera machnęła ręką.

- Nie zrobili ci zdjęcia. A ja mam zawsze oczy i uszy otwarte.

- To chyba trochę męczące. Tera się uśmiechnęła.

- Nawet nie masz pojęcia jak bardzo. Ale cieszę się, że wszystko w porządku. - Znów zerknęła na Malleusa. - Witaj, Malleus.

Ledwie skinął głową.

- Dzień dobry, Tero.

Megan zagryzła dolną wargę. Minęły trzy miesiące, a Malleus i jego bracia nadal nie zwracali się do niej po imieniu, uważali, że oznaczałoby to brak szacunku.

Jeśli Tera wiedziała, że właśnie ją obraził, albo jej to nie obchodziło, albo nie dała po sobie niczego poznać.

- Co myślisz o tej bluzce?

Megan spojrzała posłusznie. Przyjaciółka wskazywała bluzkę koszulową w różowo-białe pionowe pasy. - Przymierz.

Tera przymierzyła. Tera kupiła. Proces powtarzał się wielokrotnie, a Megan denerwowała się coraz bardziej. Centrum handlowe, pełne kiczowatych dekoracji z wszystkich religii świata i radosnej muzyczki, nigdy nie należało do jej ulubionych miejsc, i poczuła narastającą klaustrofobię.

Przeciskanie się wśród tłumów nie sprawiało jej szczególnej przyjemności, a nieustanne popychanie i poszturchiwanie zmusiły ją do wzniesienia barier ochronnych, tak że straciła wątek rozmowy.

- Przepraszam, co mówiłaś? - zapytała jeszcze raz.

Tera westchnęła.

- Nieważne. Zjedzmy coś, usiądźmy. Tu niedaleko jest jeszcze jeden nowy sklep. Zajrzemy tam, a potem pójdziemy na obiad.

- Mamy coś zjeść przed obiadem?

- Niektóre z nas lubią jeść.

- Ja lubię jeść.

- Gdy o tym pamiętasz. - Tera zmierzyła ją wzrokiem. - Kariera zbrodniarki pochłania cię do tego stopnia, że zapominasz o posiłkach?

Megan czekała, a Tera zamówiła słodką drożdżówkę z cynamonem.

- To było nieporozumienie. Nikt nie wniósł oskarżenia. Jak wiesz.

- Nadal uważam, że to dziwne.

- Znasz mnie, dziwna Megan, szalona kobieta demon.

- Nie jesteś demonem. - Tera wsunęła do ust kawałek ciastka. - Mimo że tkwisz w tym wszystkim po uszy. Albo odwrotnie, że tak powiem.

Megan się zarumieniła.

- Nie mogę tak po prostu odłączyć się od moich demonów.

- To nie to samo. Twoje demony robią swoje i trzymają się z daleka. Możesz być z nimi i pozostać sobą. Możesz nadal przyjmować pacjentów. Mieć dawne życie.

Megan nie mówiła jej o swoich dyskusjach z Greysonem na temat gabinetu. Niebezpiecznie zahaczały o kłótnie.

- Nadal mam własne życie.

- Jasne. I dlatego aresztowano cię za kradzież z włamaniem.

- To nie była kradzież z włamaniem, tylko wejście na teren prywatny. Nie włamałam się.

Czy Tera naprawdę nie wiedziała, dlaczego Megan była w tamtym domu? Naprawdę nie wiedziała o innych martwych demonach? O... Megan przełknęła... o Geral-dzie? <sup>f</sup>

W centrum handlowym jakoś udało jej się o nim zapomnieć. Teraz wspomnienie wróciło, tak żywe i bolesne, że Megan ciężko oparła się o plastikowy stolik, chcąc opanować odruch, by skulić się w kłębek. Jej związki z demonami już zabiły jedną niewinną osobę, jeśli wierzyć temu, co sądziła o wydarzeniach ostatniej nocy. Nieważne, co Greyson mówił o nieuchronności śmierci czy możliwości wypadku, coś potwornego opętało Geralda. I to coś miało związek z nią.

- Więc wkroczyłaś na teren prywatny. Powiesz mi dlaczego?

Megan zamrugwała.

- To pytanie oficjalne?

- Nie. Normalna policja kupiła twoją historyjkę, więc Vergadering niczego nie bada. Ale chciałabym wiedzieć. Martwię się o ciebie, Megan. Jestem twoją przyjaciółką, prawda?

- Oczywiście. - Megan lekko wzruszyła ramionami. -Chciałam zrobić niespodziankę znajomemu. Z radia. Pomyliłam domy i tyle.

Oczy Tery się zwięziły. Megan zmusiła się, by w nie patrzeć i myśleć o miłych rzeczach. Nie chciała jej okłamywać. Tera wiedziała dużo o wielu rzeczach. Pracowała dla Vergadering od dwunastu lat i Megan najchętniej opowiedziałaby jej wszystko o wybuchających demonach, pościgu samochodowym i Geraldzie. Ciekawe, czy czarownica dostrzegłaby w tym jakiś sens.

Taka dyskusja sama w sobie byłaby bardzo przyjemna; móc myśleć na głos i słyszeć komentarze drugiej osoby. Nie znała nikogo bardziej skrytego niż Greyson,



i choć do tego przywykła - a nawet polubiła, bo była taka sama - czasami żałowała, że nie jest bardziej otwarty.

Jeśli jednak Greyson miał rację, to czarownice usiłowały ich zabić w szalonym pościgu samochodowym, nie chciała rozmawiać o tym z Terą. Nie mogła o tym z nią rozmawiać, mimo że chętnie wybadałaby, co przyjaciółka o tym sądzi. Jeśli nic nie wie, sytuacja zrobi się niezręczna, a jeśli wie... tym bardziej. Niezręczna i niebezpieczna.

- Myślałam, że mi ufasz - powiedziała Tera.

- I ufam. Tera, co jest? Zazwyczaj nie wypytyjesz mnie o te sprawy. Nie opowiesz mi niczego o Rogerze, Toddzie czy z kim tam się obecnie spotykasz, a kto tak naprawdę wcale ci się nie podoba? Albo nie zauważysz, że mam bluzkę w złym kolorze czy coś w tym stylu?

- Masz bluzkę w złym kolorze, wydajesz się w niej za blada. - Ale uśmiechnęła się. - Przepraszam. W okolicy świąt trochę mi odbija, do tego doszły różne dziwne plotki... Cóż, po prostu nie chcę, żebyś wpakowała się przez demony w coś, co sprawi, że zapomnisz, kim i czym jesteś.

- Nie zapomnę. - Spojrzała w górę. - Co to za dziwne plotki?

- Nic takiego. Mówi się o niepokoju w świecie demonów. - Tera świetnie kłamała, ale nawet nie mogąc jej czytać, Megan wiedziała. Posmutniała trochę; poczuła się tak, jak zapewne jej skrytość działała na Terę. Przyjaźniły się od trzech miesięcy i jeszcze nigdy nie doszło do sytuacji, w której nie mogły o czymś szczerze porozmawiać.

- Chodźmy - powiedziała, wstając. Malłeus także się poderwał. Skrzyżował muskularne ramiona z poważną miną. Pogardę dla czarownic miał we krwi, była w nim, odkąd przyszedł na świat. - Chciałaś jeszcze zajrzeć do sklepu z sukniami, prawda?

Atmosfera między nimi poprawiła się, gdy Tera wyrzuciła resztki drożdżówki i ruszyły przez tłum. Czy raczej Malleus się przepychał, a one szły za nim.

- Zaczynam uważać, że pomyliłam się co do niego - mruknęła Tera. - W tłumie okazuje się bardzo przydatny.

Ramiona Malleusa zadrżały, ale nic nie powiedział. Megan podchwyciła okazję i skłamała:

- Dlatego tu jest.

- Przysługa?

- Tak jakby.

- I jak będziesz spłacać tę przysługę, hm?

Megan się zarumieniła. Tera roześmiała się i poklepała ją po ramieniu.

- Ej, lepsze to niż...

- Panie Brown! - Pseudonim, którym Malleus posługiwał się w miejscach publicznych. Kto...

Niski, elegancki facecik rzucił się do drzwi, ledwie przekroczyli próg. Megan chciała uskoczyć w bok, ale promienny uśmiech na jego twarzy i szeroko rozpostarte ramiona kazały jej się zatrzymać. Drgnęła tylko niezgrabnie. Tera uniosła brwi na ten widok.

- Panie Brown, jak mi miło, co za zaszczyt! Czy pan Dante... och! - Błyszczące oczka spoczęły na Megan. - Doktor Chase, czyż nie?

Megan skinęła głową i poczerwieniała. Nie musiała patrzeć na Terę, by wyobrazić sobie minę przyjaciółki.

Mężczyzna wyciągał do niej rękę, ale zmienił zdanie i skłonił się.

- Doktor Chase, tak się cieszę, że... tak się cieszę! Proszę wejść, spocząć. Co panią interesuje? Suknia? Buty? A może torebka?

- Tylko się rozglądam - wykrztusiła, gdy niski facecik wprowadził ją do sklepu i nie dotykając jej, zaprowadził

do sofy obitej skórą. Tera usiadła obok niej i uśmiechała się ironicznie.

- Nonsens! Nie musi się pani rozglądać, my zrobimy to za panią, a pani tu poczeka.

- Zgódź się, pani. - Malleus zajął miejsce po jej drugiej stronie. - Niech sam wszystko pokaże.

Było to zarazem upomnienie i szczerza troska o jej dobro, wiedziała o tym. Malleus nigdy nie zapominał, komu służy i czego się od niego oczekuje. Najwyraźniej ona także wchodziła w zakres jego obowiązków. Mężczyzna, który ochoczo pokazywał jej różne ubrania, nie był demonem, ale i tak nikt nie musiał jej tłumaczyć, co się dzieje.

Uraziłaby go, gdyby z uśmiechem nie dotykała kolejnych bluzek i spódnic. Uraziłaby go, gdyby w końcu nie zdecydowała się na coś i nie pozwoliła, by zapakował to w pudełko z takim przejęciem, jakby pakował klejnoty królewskie. Uraziłaby go, gdyby próbowała zapłacić, zwłaszcza że w kółko się uśmiechał i prosił, żeby wspomniała o nim panu Dantemu, żeby powiedziała, jak wielkim dla niego zaszczytem była jej wizyta w jego sklepie, i że gdyby pan Dante czegoś potrzebował, wystarczy tylko dać mu znać.

Megan w końcu wyszła ze sklepu z najmodniejszą suknią, wizytówką właściciela i twarzą tak czerwoną, że mogłaby służyć za znak drogowy.

Tera się uśmiechnęła.

- Nie, skądże - powiedziała. - Wcale się nie zaangażowałaś w tę całą sprawę z demonami. Wcale a wcale.

Torba z suknią trącała ją w nogi jak dziecko spragnione uwagi, gdy wchodziła do domu. Mimo wszystko spędziła miłe popołudnie, zwłaszcza gdy rozmowa zeszła na temat licznych randek Tery.

- Cześć, Megan.

Krzyk zamarł w jej gardle, gdy zobaczyła Rocturnusa leżącego na kanapie.

- Cholera, prosiłam, żebyś...

- ProsiFaś, żebym nie wyskakiwał nie wiadomo skąd. Nie wyskakuję. Spokojnie czekam. - Przyjął pozycję siedzącą.

- Wystraszyłeś mnie.

- Przykro mi. - Nie było tego widać po jego minie, ale u demonów nigdy nie widać.

Postawiła torbę i zapaliła lampę przy kanapie.

- Gdzie byłeś?

- Sprawdzalem wszystkich. - Uciekł wzrokiem. Zły znak.

- No i?

- Wszyscy żyją. Nie było kolejnych wybuchów. Wypuściła z płuc powietrze; nawet nie zdawała sobie sprawy, że je wstrzymywała.

- To dobrze.

- Ale... może powinnaś usiąść.

Megan wiedziała, że ludzie często kaza innym usiąść, gdy mają dla nich zarówno dobre, jak i złe wieści. Po prostu jej jeszcze nigdy się to nie zdarzyło. Usiadła. Nie było czasu, by się przygotować, i nie było sensu silić się na uśmiech. Rocturnus i tak wyczuje wszelkie negatywne emocje.

- No cóż... Niektórzy z nas nie są zbyt... szczęśliwi. Nie podobają im się zmiany. To, co się dzieje. No wiesz, te zgony.

- Nie sądziłam, że świadomość, że wasi kumple pękają jak balony wprawi was w świąteczny nastrój - mruknęła - ale...

- Tak naprawdę bardzo lubimy święta. Mnóstwo depresji, poczucia niższości, zazdrość... o tej porze roku mamy pełne ręce roboty.

- Tak, zupełnie jak elfy u Świętego Mikołaja - powiedziała. - Co ze zmianami? Grymas na pomarszczonej twarzy dobitnie mówił, co sądził o jej elfim żarciku.
  - To kwestia zaufania - oznajmił. - Wiem, że w naszym towarzystwie nie czujesz się najlepiej. Nie akceptujesz tego, co robimy. Ale pamiętaj, tylko dzięki temu żyjemy.
  - Wierz mi, nie próbuję nikogo uśmiercić, a tylko proszę o odrobinę umiaru.
  - Są inne rodziny.
  - Co?
  - Inne rodziny. No wiesz, niektórzy z nas zawsze mieli związki z innymi klanami. Nie wszyscy w tym mieście, w tym kraju, należeliśmy do Oskarżyciela.
- Skinęła głową. Już wcześniej o tym wspominał, ale nie zwracała na to uwagi. Wystarczała jej świadomość, że sprawuje władzę nad kilkoma tysiącami demonów. Nie obchodziło jej, co robią inni, tak jej się przynajmniej wtedy zdawało.
- Najwyraźniej była w błędzie.
- W tym mieście powstaje nowy klan. Niektóre spośród twoich demonów czują się... nieswojo. Nie podobają im się porządki, które wprowadzasz.
  - Woleliby tortury i bicie? Rocturnus skinął głową.
  - I życie takie jak dawniej.
  - Ale dlaczego nie dają mi szansy, powinny choć spróbować! - Wstała - tyle, jeśli chodzi o siadanie - i zaczęła przechadzać się nerwowo. Dopiero wtedy do niej dotarło, że nadal ma na sobie płaszcz i szal. Nic dziwnego, że było jej tak gorąco.
  - Nie wierzą, że zdołasz je ochronić - tłumaczył Roc. - Sądzą, że od początku nas nie chciałaś, a teraz

próbujesz zagłodzić i wcale nie przejmujesz się eksplozjami.

- To nieprawda, wiesz, że to nieprawda. Przejmuję się. Nie<sup>r</sup>dalej jak wczoraj wylądowałam przez was w areszcie; gdyby mi nie zależało, nie poszłabym do tamtego domu i...

- Wiem.

- Powiedziałeś im? Skinął głową.

- Ale ci nie wierzą.

- Nie wszystkie - odparł. - Nie jest ich nawet dużo... ale tyle, że mnie to niepokoi. Uważają... uważają, że nie jesteś dość silna.

Nie słuchała wewnętrznego głosiku, który podpowiadał, że może mają rację.

- Przecież chcę im pomóc!

- Oni chcą władcy, nie pomocnika. Takie już są demony. - Uniosła brew, a Roc poprawił się na kanapie. - Takie są demony Yezer Ha-Ra. Duzi mają inne potrzeby. Ale nawet oni wolą silnych przywódców.

Nigdy nie pomyślała, że dożyje dnia, w którym odrzuci ją zbieranina małych demonów, żywiących się ludzkim gniewem i nieszczęściem. Właściwie powinny do niej lgnąć jak muchy do... no, do czego tam muchy lgną. W życiu nie słyszała o wybrednej musze.

Powinna ich przyciągać, tak jak ją przyciągała butelka wódki w barku. Nalała płynu do szklanki, aż lód trzaskał i zabarwił się pięknym odcieniem różu, gdy dodała soku żurawinowego i odrobinę lemoniady. Tropikalny drink na lodowatą noc. Hej, coś musi być ciepłe i tropikalne. Jej wnętrze na pewno takie nie było.

Wychyliła połowę zawartości szklanki, zanim znowu mogła mówić.

- Kto założył ten nowy klan?

- Jak to?

- No, kto go założył? Kto nim kieruje? Jeden z was czy wszyscy przechodzą do innych Meegra, czy jak to tam jest?

Sądząc po tym, jak się skrzywił, niemal spodziewała się usłyszeć, że jej demony przechodzą do Meegra Grey-sona. Ale to niemożliwe, na pewno. Nie zrobiłby jej tego.

Tak przynajmniej sądziła.

Odepchnęła tę niepokojącą myśl od siebie i powtórzyła pytanie:

- Kto stoi na czele, Roc? Słuchaj, jeżeli mam konkurencję, chciałabym wiedzieć, kto to jest.

- Nie wiem - odezwał się w końcu. - Nie powiedzieli mi.

- Nie możesz... Zaraz, jak to: nie powiedzieli ci? Którzy? Ci, co odeszli, czy ci, którzy nadal są mi wierni?

Patrzył na swoje ręce.

- No dobrze: więc moje demony - te, które nadal są ze mną - nie chcą ci powiedzieć, dokąd poszły te, które odeszły?

- W wielkim skrócie, tak.

- Cholera. - Wstała, wyciągając do niego rękę. - No dobrze. Chodźmy się z nimi zobaczyć.

- Teraz? Nie ma ich.

- Więc je wezwę. - Sama nie wiedziała, czemu nagle okazało się to takie ważne. Przecież przez pół dnia marzyła, żeby uciec od demonów i znowu być sobą. W gruncie rzeczy na tym upłynęła jej większa część ostatnich trzech miesięcy - na marzeniach, że tego wszystkiego, całej tej sprawy z przywództwem nad klanem demonów w ogóle nie było. Choć bardzo lubiła Roca, czuła się rozdarta. Ale teraz była wściekła jak wszyscy diabli. Nawet nie dlatego, że odchodzą; gorsze było to, że nie mówią, do kogo. Ten gniew płonął w jej piersi, buzował w całym cie-

le. Chcą odejść - droga wolna. Ale jeśli nie powiedzą jej, dokąd idą, jeśli nie okażą jej szacunku...  
Dopiero kiedy zamknęła oczy i poszukała w umyśle przestronnej sali z wysokim sufitem, gdzie  
mieszkały, zdała sobie sprawę, że myśli dokładnie tak, jak Greyson powtarzał, że powinna.

## Rozdział 5

Nie miała pojęcia, co powiedzieć.

Stojąc naprzeciwko morza drobnych łysych głów we wszystkich możliwych kolorach, patrząc w małe  
bezzęse oczka, pożałowała, że dała się porwać impulsowi. Powinna była odpuścić. Powinna była  
pozwolić odejść tym, którym się u niej nie podoba. Skoro nie chcieli nawet dać jej szansy, nie chcieli  
spróbować bardziej humanitarnego podejścia, niech idą.

Ale ludzie...

No właśnie. Nie mogła tak po prostu pozwolić im odejść. Nie teraz, gdy poświęciła tyle czasu, by  
opracować plan. Nie teraz, gdy spała spokojniej, wiedząc, że ludzie, których dręczą jej demony, też  
zażywają odpoczynku. Jej pierwszą zasadą było: koniec z samobójstwami i wykorzystywaniem.  
Demony mogą komplikować ludziom życie, ale nie powinny go łamać. Już i z tego powodu gryzło ją  
sumienie, ale nie mogła zagłodzić Yezer.

- Wezwałam was tutaj, bo wiem, że część z was odchodzi - odezwała się w końcu. - Do innego domu.  
Tłum poruszył się niespokojnie. Rzuciła okiem na Roca, ale z jego twarzy nie mogła niczego  
wyczytać.



Drażniło ją, że jej dar nie działa na demony. Przez pół życia wychwytywała emocje, jakim ulegali ludzie, a przez kolejne pół - otwierała ich, by dowiedzieć się, o czym każdy z nich myśli i jakimi motywami się kieruje. Teraz miała wrażenie, że wytracono jej broń z ręki. Była naga, i to nie naga przyjemnie, jak w łóżku z demonem, ale naga i bezbronna, jak człowiek, który przyszedł do pracy bez ubrania.

- Zapewniam was, że robię, co w mojej mocy, by powstrzymać te... ataki. Dowiem się, kto jest za nie odpowiedzialny, i zapewniam, że winowajca poniesie karę.

Tłum zaszemrał z zaciekawieniem. Poczuli się odrobinę lepiej.

- Do takich zgonów doszło też w innych Meegra. Nie tylko u nas.

- Więc jeśli inni nie mogą chronić swoich *rubenda*, jak ty ochronisz nas? Nie jesteś nawet demonem.

- Tak, kiedy poddasz się rytuałowi?

Słowa rozbrzmiewały echem w przepastnej sali, odbijały się od małych drzwiczek ich pokoi i wysokiego sufitu. Zazwyczaj ten dom wypełniał dziwny spokój i błogość mimo ludzkiej rozpacz, którą jego mieszkańcy się żywili. Ale teraz... demony były złe. Na nią. Na Oskarżyciela, że ich połączył. Na niewidzialnego zabójcę, który na nie polował.

- Nie będziemy o tym teraz dyskutować - powiedziała, a potem, przypomniawszy sobie słowa Roca, dodała: - I nie przyszedłem się tłumaczyć. Wydaję rozkazy i macie być mi posłuszne.

Kilka demonów uspokoiło się, nie wiedziała, czy pod wpływem jej słów, czy tonu, ale w powietrzu nadal wyczuwała niepokój.

- Wątpicie, że zdołam was ochronić? Dlatego odchodzicie?

Szmery. Pomruki. Ale żaden nie mówił głośniej. - Jestem połączona z wami, a wy - ze mną. - Zaczerwieniła się. Czuła się jak kiepska aktorka w melodramacie. Ale Rocturnus skinął nieznacznie głową, a niezliczone małe oczka lśniące w białym świetle obserwowały ją bacznie. Kiepski melodramat to coś dla nich, lubili to jak słodczyce i kicz. Pod tym względem byli tacy sami jak zdewociałe staruszki. - Jeśli odejdą kolejni, zostaniecie ukarani. Wszyscy. Surowo.

Tłum westchnął i się poruszył. Cholera, Roc miał rację. Tego chcieli. Czy wiedzą, że to bzdura? Że chyba nie jest zdolna ukarać ich tak, jak to robią demony? Tylko raz widziała coś takiego i na samo wspomnienie zakrwawionych pleców Greysona i świstu bata jej żołądek gwałtownie się skurczył. Ale mogła zrobić coś innego - zaatakować ich swoją mocą. Telekineza, której nauczyła ją Tera, nie zawsze działała. Szczerze mówiąc, ostatnio w ogóle przestała. Tera wyjaśniła jej prawdopodobną przyczynę - choć umiejętności Megan przypominały dar czarownic, nie była jedną z nich. Nie miała odpowiednich genów.

Megan podejrzewała, że to coś więcej, ale nie chciała o tym myśleć. Radziła sobie świetnie, zanim Yezer Ha-Ra połączyły się z nią.

Demony nie były telekinetyczne. Ale nie musiała przenosić żadnych przedmiotów, wystarczy, że im pokaże, jaka jest silna, co potrafi. A ponieważ łączy ich więź, pójdzie jej jak z płatka.

W głębi jej serca były drzwi, a za nimi kryła się moc. To tam schroniła się cząstka demona. To tam mieszkały strach i gniew. Jej serce waliło mocno, czerwony żar rozlewał się po całym ciele. Odrzwia jej umysłu drżały, pragnęły, czekały, aż... Otworzyła je.

Po raz pierwszy, odkąd połączyły ją więzi z demonami osobistymi, otworzyła tajemne drzwi i moc, czysta, skondensowana, lodowata i gorąca, eksplodowała w niej, ku niej, przez nią, wypełniając całe pomieszczenie.

Małe demony krzyczały jednym głosem. Megan zawtórowała im, ale sama nie wiedziała, czy jej krzyk wyrażał triumf czy strach. Wiedziała tylko, że gardło ją boli, głowa opadła jej do tyłu i zanim zdołała to powstrzymać, wchłaniała energię z powrotem, odbierała swoją siłę, wymieszaną z ich mocą, a jej ciało kierowało się własnym rozumem, jak w ostatnich sekundach tuż przed orgazmem.

Wypełniały ją wszystkie nieszczęścia, które demony powodowały, wszystkie żale i smutki, którymi się żywiły. Przemykały przez jej umysł jak film wyświetlany pod jej powiekami w zawrotnym tempie. To było okropne, złe, bo sprawiało jej przyjemność, nic nie było równie wspaniałe, była w tym moc, ryzyko, seks, jedzenie i wszystko, czego kiedykolwiek pragnęła. Wypełniało ją, aż myślała, że eksploduje.

- Nie! - Upadła, zwinęła się w kłębek, chciała walczyć. Musi zamknąć te drzwi, musi zgasić w sobie ten płomień, bo jeśli to będzie trwało dłużej, może dojść do wniosku, że nie chce przestawać, może podjąć decyzję i... - Dość!

Ostatkiem sił zatrzasnęła drzwi w umyśle, zamknęła je na klucz, a zanim zdała sobie sprawę, że umknęła z domu Yezer i wróciła do siebie, coś pojawiło się w jej głowie, słowa, które wprawiły ją w niekontrolowane drżenie przerażenia, chociaż nie wiedziała, co znaczą.

Ktana Leyak.

- Megan, lepiej usiądź.

Tak bardzo przypominało to słowa Roca z poprzedniej nocy, że zadygotała i zacisnęła dłoń na słuchawce.

- Słucham.

- Gerald Carroll nie żyje.

Megan zagryzła wargi. Mało brakowało, a powiedziałyby: wierne ale przypomniała sobie, że przecież nie mogła wiedzieć.

- Gerald?

- Tak, twój pacjent Gerald. - Głos Althei Sprite, pełen współczucia, sprawiał, że Megan chciało się płakać. Althea była obecnie jedyną osobą z grona wspólników -poza Neilem Fawkesem, ale on się nie liczył, bo na żaden temat nie miał zdania - która jeszcze się do niej odzywała na cotygodniowych spotkaniach. Program radiowy Megan bynajmniej nie przyczynił się do poprawy ich stosunków. Megan zdawała sobie sprawę, że jej przynależność do zespołu wisi na włosku i że wcześniej czy później ta nić pęknie.

Więc dlaczego po prostu nie odejdziesz? - zapytał głos w jej głowie. Brzmiał zupełnie tak, jakby należał do pewnego znajomego demona.

Bo wcale nie chcę odchodzić, bo ciężko pracowałam, żeby otworzyć ten gabinet, bo to coś, w czym jestem dobra.

- Megan, w porządku?

- Tak, ja tylko... Jak? Skąd wiesz?

- Ktoś z policji zadzwonił do nas; znaleźli w jego kalendarzu wpis, ale bez twojego nazwiska. Trafili do mnie. Powiedziałam, że cię zawiadomię.

- Czy powiedzieli, jak... co się stało?

- Atak serca, prawdopodobnie. - Usłyszała. - Oczywiście nig mają pewności, póki nie dostaną wyników sekcji zwłok. Chcą z tobą porozmawiać, jutro w gabinecie, chcą mieć wgląd w jego akta.

- Wiedzą chyba, że nie mogę nikomu ich pokazać, to...

- Przeprowadzą jego krewną, więc technicznie rzecz biorąc...  
- W porządku. - Głos zadrżał jej lekko. Krewną. Przypomniało jej się, że Gerald miał siostrę.  
- Poradzisz sobie? Może potrzebujesz towarzystwa? Choć Althea była osobą, z którą Megan utrzymywała najbliższy kontakt, zanim w jej życiu zjawiała się Tera, jeszcze nigdy nie proponowała, że do niej wpadnie.

Z drugiej strony, do tej pory nie umarł żaden jej pacjent.

- Myślę, że nic mi nie będzie. Ja tylko... - Głęboko zaczerpnęła tchu. - Czuję się winna.  
- To nie było twoja wina, skarbie. Po prostu przyszedł jego czas. Czasami to się dzieje szybko, czasami trwa całe wieki, ale gdy nadejdzie czyjś czas, nic nie możemy zrobić.

Megan usiłowała czerpać otuchę z tych słów, ale jakoś nie przemawiało do niej założenie, że koniec, jaki spotkał Geralda - opętanie przez demona, co spowodowało atak serca albo zabiło go w inny, bardziej wyrafinowany sposób - był zapisany w gwiazdach.

- Tak. No dobrze. Dzięki, że zadzwoniłaś, Altheo. Policjanci mówili, kiedy przyjdą? - Znając jej pecha, trafi na tych samych, którzy zatrzymali ją w piątek.

- Pytali, czy dziewiąta to odpowiednia godzina. Powiedziałam, że lepiej byłoby koło ósmej, zanim przyjdą pacjenci. Skarbie, jest jeszcze jedna sprawa... Okropnie się czuję, mówiąc ci to w takiej chwili, ale...

- Wal śmiało, Altheo. Nie martw się.

- Wspólnicy... To znaczy, niektórzy spośród nas...

- Czyli wszyscy poza tobą, tak? Althea odchrząknęła.

- Chcieliby z tobą porozmawiać. O tym, co wydarzyło się w piątek.

- Masz na myśli to, że przerwałam sesję? - Althea nie odpowiadała; czy to oznacza, że tym razem i ona zgadza się z pozostałymi? Kiedy trzy miesiące wcześniej Megan zawieszono<sup>f</sup> w prawach członka, Althea była przeciwna. Jako jedyna trzymała stronę Megan. Co się zmieniło?

- No cóż, tak. I... no... aresztowanie.

- Jezu, czy w tym mieście wszyscy wszystko wiedzą?

- Ktoś do nas zadzwonił.

- Ktoś?

- Kobieta, nie przedstawiła się. Powiedziała tylko, że siedzisz w więzieniu. Ale kiedy tam dotarłam, już cię zwolniono.

- Nikt nie wniósł oskarżenia - odparła Megan. - To była pomyłka. - Kto, do cholery, zadzwonił do niej do pracy z tą informacją? Przecież nikt nie wiedział o aresztowaniu. Tylko policjanci, Greyson, Hunter Kyle i...

I ktoś, kto już przedtem zawiadomił policję, że w tym domu jakoby znajdują się zwłoki.

Nie wspominając, że o sprawie na pewno wiedział cały Vergadering, ale szanse, że zaangażowałiby się w coś tak przyziemnego, były bliskie zera. Tera mówiła, że nie prowadzą dochodzenia, więc pornyśł, że ktoś od nich zadzwonił, żeby wpakować Megan w tarapaty, był naprawdę naciągany.

- Skarbie, chciałam cię ostrzec. Jestem przekonana, że cała ta sprawa z policją to jedno wielkie nieporozumienie. Ale wiesz, że nasze gabinety są wyjątkowe ze względu na to, jak wszystko organizujemy. A ty, odkąd zaczęłaś prowadzić ten program radiowy, nie jesteś zbyt zorganizowana. Najpierw na tydzień zawiesiliśmy cię w prawach, potem wzięłaś dwa tygodnie urlopu i co miesiąc urządzasz sobie długie weekendy. Mamy wrażenie, że już nie angażujesz się całym sercem w sprawy gabinetu...

- Czy... - Zaschło jej w gardle, jakby potraktowano je klejem. - Czy chcecie, żebym odeszła?  
Chwila milczenia.

- Chcemy tylko, żebyś się zastanowiła, czy naprawdę chcesz zostać. Czy chcesz się bardziej zaangażować w pracę.

Zabawne. Wszyscy chcą od niej jakiegoś zaangażowania. Wszyscy, poza, ma się rozumieć, Greysonem Dantem.

Dwie drobne awantury rodzinne, jeden zbuntowany nastolatek, jeden zde gustowany pracownik i kobieta, która nie wiedziała, czy powinna przyjąć oświadczenia faceta z wyrokiem - program dobiegał końca. Megan miała zaraz przyjąć ostatnią rozmowę tego wieczoru, gdy to się wydarzyło. Znowu. Kobieta Cześć-Jestem-Pat zaczęła opowiadać o konflikcie z matką, a Megan opuściła bariery i zaczęła ją czytać. Ostatnio wolała robić to przez telefon niż osobiście, między innymi dlatego, że wiele demonów ukazywało się jej w czasie sesji i gdy pacjenci opisywali, jak fatalnie się czują, demony uśmiechały się i machały do Megan, jakby liczyły, że udzieli im pochwały.

Tak przynajmniej sądziła. Teraz zastanawiała się, czy po prostu z niej nie kpiły. Choć biorąc pod uwagę to, co wczoraj wydarzyło się w ich domu, chyba na długo przeszła im ochota do żartów.

Tak więc, spokojna, że nie obserwują jej małe buzie demonów, Megan opuściła swoje bariery, tak samo, jak przy poprzednich dzwoniących, i nasłuchiwała.

I nic.

Bez sensu. Cześć-Jestem-Pat, która na pewno miała na imię zupełnie inaczej, mówiła drżącym, niepewnym głosem, a takich ludzi, co Megan wiedziała z doświad-

czenia, czytała z łatwością. Zdenerwowanie tylko to ułatwiało. Tak jak strach czy adrenalina. Im więcej mieli w sobie z ofiary, tym łatwiej mogła przeniknąć ich myśli.

- A onrnie docenia żadnej z tych rzeczy, które dla niej robię - ciągnęła Cześć-Jestem-Pat. - Cały czas mnie krytykuje. I mówi moim dzieciom, że jej na nich nie zależy.

Megan pochyliła się do przodu z krzesłem, jakby tym sposobem mogła znaleźć się bliżej kobiety.

Dlaczego nic nie wyczuwa? Była w stanie przeczytać każdego kto... kto jest człowiekiem. Nie mogła czytać demonów.

Ale Cześć-Jestem-Pat nie mówiła jak demon. Zresztą Megan nie pojmowała, czemu demon miałby dzwonić do programu i udawać człowieka z problemami. Nic innego jednak nie przychodziło jej do głowy. Albo Cześć-Jestem--Pat to demon, albo...

Albo osoba przez niego opętana.

- Pat, to chyba dla ciebie zbyt stresujące - zaczęła. -Jak sypiasz?

Poszukiwania po omacku nie należały do jej ulubionych metod, a cała wiedza Megan o opętaniach przez demony pochodziła z kiepskich horrorów. Ale wyobraziła sobie, że człowiek opętany zachowuje się jak pacjent chory na schizofrenię, więc wybrała takie podejście.

- Zasypiam zawsze i wszędzie - jęknęła Cześć--Jestem-Pat. - Czy to ma jakieś znaczenie?

- Myślisz, że śpisz za długo?

- Nie wiedziałam, że można spać za długo. To choroba?

Po prostu odpowiadaj na pytania, do cholery!

- Więc jak? Zdarza ci się zasypiać w nietypowych miejscach o nietypowej porze?

- No, czasami sobie gdzieś przysiadę, a kiedy się budzę, okazuje się, że minęło kilka godzin. -

Nerwowy



śmiech. - Chyba się starzeję. Podobno z wiekiem śpi się coraz więcej.

Megan przewróciła oczami - jej rozmówczyni miała prawdopodobnie koło czterdziestki. Ale mimo wszystko... Poruszyła się na krześle. Kobieta marnowała jej czas, nie dawało się jej przeczytać. Coś tu jest nie tak, i to coś więcej niż gderliwa matka. Cholera, Megan nie rozmawiała ze swoją matką od dziesięciu lat, jeśli nie liczyć słodziutkich kartek świątecznych z wydrukowanymi życzeniami i podpisem: „Wesołych Świąt życzą Diane i Dave”.

- Byłaś u lekarza? Ze spaniem? - Co ma powiedzieć Cześć-Jestem-Pat? Prawdopodobnie opętał cię demon? Nie wiadomo dlaczego, nie wydawało jej się, by były to właściwe słowa. Nie wspominając nawet o takim drobiazgu, że nie miała pojęcia, co robić w takiej sytuacji. Greyson powiedział kiedyś, że konflikt między Bogiem a Szatanem stracił znaczenie już dawno temu, że nawet piekło już nie istnieje.

Wybrała rozwiązanie mało oryginalne, ale jedyne możliwe. Poprosiła Cześć-Jestem-Pat, żeby była dla matki wyrozumiała, żeby miała na względzie ciężkie życie starszej kobiety. Przypomniała, że trzeba zażywać witaminy i uprawiać jakiś sport, i poradziła, żeby spędzała ze staruszką mniej czasu, jeśli tak bardzo działa jej na nerwy. To samo powiedziałyby każdej innej osobie w podobnej sytuacji i miała nadzieję - ze względu na nieznajomą - że to wszystko nie ma nic wspólnego z czerwonym kształtem w oczach Geralda, zanim rzucił się na nią w piątek.

Jej telefon komórkowy rozdzwonił się, gdy dojeżdżała do swojego zjazdu z autostrady. Na szczęście stała akurat na światłach, bo cholerny aparat wpadł na samo dno torebki i gdyby szukała go w trakcie jazdy, zjechałaby na pobocze.

- Cześć.
- Nie mogłaś go znaleźć w torebce, prawda? - Głos Greysona był zmysłowy i uwodzicielski nawet przez telefon. Megan zastanawiała się, jak on to robił. Roześmiała się.
- Może.
- Kupiłbym ci duży, ciężki łańcuch na szyję, żebyś na nim nosiła telefon, ale obawiam się, że mogłabyś się nim udusić.
- Prawdopodobnie.
- Co robisz?
- Jadę do domu. A ty?
- Nie wpadniesz do mnie?
- Dokąd, do domu czy do apartamentu? - Szczerze mówiąc, wolała apartament. Bardziej anonimowy, mniej zaludniony, z o niebo lepszym widokiem. Ale ostatnio Greyson spędzał mnóstwo czasu w Ieureanlier, co zresztą po aresztowaniu Temple-ona Blacka wydawało się całkiem rozsądne. - Właściwie jestem u Mitchella.
- Mitchell jak kumpel czy...
- Restauracja, tak. Wpadnij. Postawię ci obiad.
- A ty już jadłeś?
- Wcześniej. Chciałbym się z tobą zobaczyć, zanim wyjadę, a przy okazji zjesz coś dobrego. Gdyby poczekała, prawdopodobnie wymusiłaby na nim słowo „proszę”. Uwielbiała, gdy ją prosił. Ale i tak chciała z nim porozmawiać. Po wszystkim, co się wydarzyło, po jej wizycie w domu Yezer, rozmowie z Altheą i Cześć-Jeątem-Pat...
- W gruncie rzeczy wolałaby nie mówić mu o rozmowie z Altheą, stwierdziła po chwili. Ale o wszystkim innym - tak. Co więcej, uważała, że powinien wiedzieć o tych sprawach. O ile odpowiedzi już teraz nie czają

się w mrocznych zakamarkach jego umysłu, będzie wiedział, gdzie ich szukać.

- W porządku - odezwała się. - Ale muszę wpaść do siebie i się przebrać. Mój strój nie nadaje się do Mitchella.
- Jestem przekonany, że wyglądasz zabójczo.
- Mam na sobie džinsy i za dużą koszulkę.
- Och. W takim razie włóż tę suknię, którą wczoraj dał ci pan Santo.
- Ja... skąd wiedziałeś... No tak, Malleus, prawda? Jego śmiech pieścił jej uszy.
- Ja wiem wszystko, *bryaela*. Do zobaczenia.

## Rozdział 6

Załowała, że zgodziła się przebrać w sukienkę, bo temperatura chyba znowu spadła, choć to wydawało się już niemożliwe. Wystarczył krótki odcinek z parkingu do restauracji, by zdrętwiały jej nogi.

Delikatnie oświetlone wnętrze restauracji U Mitchella otulało ją ciepłem, kusiło delikatnymi płomykami świec na stołach. Nigdy dotąd tu nie była, ale wiedziała, że to ulubiony lokal Greysona. I nic dziwnego. W powietrzu unosił zapach kuchni z dziecięcych wspomnień i od razu zrobiło jej się cieplej.

Przez chwilę stała przy drzwiach, chłonąc atmosferę tego miejsca i czując, jak napięcie powoli opuszcza jej mięśnie. Ruch w kącie kazał jej odwrócić głowę i dostrzegła, jak znikają małe demony. Dobrze. Dzisiaj niech się lepiej schowają. Zdjęła płaszcz i przełożyła go przez ramię.

- Tak piękna kobieta chyba nie będzie jadła w samotności?

Megan odwróciła się, chcąc wytłumaczyć, kim jest i po co tu pfzysła, ale słowa zamaryły jej na ustach. Rzecz nie tylko w tym, że był przystojny, chociaż bez wątpienia był. Proste ciemne włosy opadały nonszalancko na czoło, świece ocieplały sńiadą skórę.

Rzecz w tym, jak zapłoneły jego oczy, najpierw delikatnie, a potem, gdy ujął jej dłoń i pochylił się, by ją pocałować, coraz intensywniej.

Początkowo myślała, że to odruch, reakcja psa Pawłowa. Do tego stopnia przywykła, że męskie oczy płoną czerwienią... no cóż, w sypialni albo w innym miejscu, które ją może zastąpić, że wystarczył ten widok, by przeszył ją rozkoszny dreszcz.

Ale nie, teraz czuła się inaczej. Błyszczące oczy tego mężczyzny porwały ją, uwięziły tak, jak jego ręka nadal więziła jej dłoń, i ani się obejrzała, a jej piersi nabrzmiały, napierały na materiał, cała płoneła pożądaniem, pragnęła go, i to tak bardzo, że mogłaby osunąć się na ziemię, tu, w restauracji, nie przejmowała się Greysonem ani...

Coś zazgrzytało, jakaś bariera, i dq ich złączonych dłoni dołączyła trzecia.

- Nick, daj spokój mojej dziewczynie.

Ton Greysona był lekki, jego uśmiech przyjazny, ale mocno zaciśnięte szczęki i chłód w oczach zdradzały i jej, i nieznanomemu, jak daleki był od wesołości. Brunet natychmiast puścił jej dłoń.

Mojej dziewczynie?

Nieznajpmy - Nick - wodził wzrokiem od niej do Greysona i z powrotem.

- Więc to jest Megan? O cholera, przepraszam. Megan, wybacz. Nie wiedziałem... Nie powiedział, że przyjdiesz, myślałem, że...

Co miała powiedzieć? W porządku? I za co właściwie ją przeproszał? Co tu się stało?

Speszony uśmiech Nicka chyba ułagodził Greysona. Wzruszył ramionami.

- Nie ma sprawy. - Ale zazwyczaj nie ściskał jej ramienia tak mocno, nie obejmował tak ciasno. - Meg, to Nick Xao-teng. Nick, Megan Chase.

- Bardzo mi miło. - Nick skinął głową i uśmiechnął się, ale nie dotknął jej ponownie.

- Mnie również - wykrztusiła, przerażona, że głos nadal jej drży.

- Przed twoim przyjściem graliśmy w karty; pozwolisz, że dokończymy? - Greyson podążył za Nickiem do rogu sali, ale gdy Nick zniknął za drzwiami, odciągnął Megan na bok.

- Nic ci nie jest? - Jego ciemne oczy patrzyły badawczo. Zaciskał dłonie na jej ramionach.

- Nie, ale co się właściwie... stało? - Moja dziewczyna?

- Nick jest półlinkubem.

- No i? - Jej rumieniec, który już zniknął, powrócił z nową intensywnością. - Och. Przepraszam.

- Nie musisz.

- Ale ja...

- To nie była twoja wina. - A jednak nadal zaciskał zęby. Odwrócił wzrok.

- Cieszę się, że zjawiliś się w odpowiednim momencie - powiedziała. Nie szkodzi, że Greyson mówi, że to nie jej wina, może nawet sam w to wierzy, to jednak nie znaczyło, że nie czuła się winna na wspomnienie swoich pragnień z tej oszłamiającej chwili. Nie wiedziała, czy Nick się z kimś spotyka i czy miało dla niego znaczenie, że ona jest w związku; ale ochota, by przespać się z nieznajomym to dziwny stan, nieważne, że twój związek

jest trudny do zdefiniowania, a rzeczony nieznajomy to demon seksu. - Skąd wiedziałeś... to znaczy...  
- Znam ten wyraz na twojej twarzy - oświadczył, a potem, oparł ją o ścianę i rozchylił jej usta językiem. Smakował cygarami, szkocką i pożądaniem. Zapragnęła więcej.  
Jęknęła i otoczyła go ramionami, ogarniał ją płomień. Ogień ich namiętności zlewał się, wypełniał ją pragnieniem, kazał jej opleść go nogą, by przyciągnąć jeszcze bliżej.  
Trwało to zaledwie minutę, może dwie, ale gdy oderwali się od siebie, dyszeli oboje.  
- Taki wyraz twarzy - stwierdził z zadowoleniem, chwycił ją za rękę i poprowadził ciemnym korytarzem. Drugą ręką wygładziła sukienkę.  
Radosne mrowienie trwało, gdy weszli do ciemnej zadymionej sali, w której mężczyźni siedzieli za stolikami pełnymi banknotów. Trwało, gdy przedstawiał ją zebranym, posadził ją sobie na kolanach i podniósł swoje karty... i zniknęło, gdy je zobaczyła. Greyson miał asy i ósemki - karty śmierci.  
Kelner postawił przed nią talerz i oddalił się dyskretnie, zostawił ich samych w zacienionym kącie.  
Czekała, aż zapach steku ją uspokoi, aż świetne wino przeniknie do mięśni i je rozluźni. Na darmo.  
- Nie myślałem, że jesteś przesądna - powiedział, patrząc na nią.  
Wzruszyła ramionami. Też tego nie wiedziała.  
- Po prostu biorąc pod uwagę wszystko, co się dzieje...  
- Przestań się przejmować. Ja się nie przejmuję.  
- Jak mam się nie przejmować? Jutro przyjdzie do mnie policja. Do mnie. Chcą zobaczyć akta Geralda. Pewnie myślą, że popełnił samobójstwo.

- Nie mogą cię zmusić...
  - Przyjdzie z nimi jego siostra. Mam obowiązek wydać jej akta albo ich kopię.
  - Zadzwoń do Huntera. Powinnaś mieć prawnika u boku. Na wszelki wypadek.
  - Myślałam, że ty jesteś moim prawnikiem.
  - Zaufaj mi, kochanie, ostatnią rzeczą, której potrzebujesz, gdy masz do czynienia z policją, jestem ja u twego boku. Nie dawaj im więcej amunicji, nie teraz, gdy chcesz chronić swój wizerunek.
- Jeszcze nigdy nie znalazł się równie blisko bezpośredniej odpowiedzi na pytanie, które mu zadała podczas ich pierwszego spotkania: „Należysz do mafii?”
- Dziwne, ale od tej pory nie zawracała sobie tym głowy. Odsuwała to od siebie, traktowała jako sprawy demonów, a zatem coś, co jej nie dotyczy. Nawet incydent w centrum handlowym, nie tyle ją zmartwił, co speszył.
- Nie pomyślała jednak o wpływie tego wszystkiego na jej karierę. A Greyson - owszem.
- Czy to dlatego przysłałeś Huntera do więzienia?
  - Częściowo. Ale także dlatego, że jemu przekonanie właścicieli, by nie wnosili oskarżenia, zajęłoby więcej czasu niż mnie, a trzeba było to zrobić. Choć nie było to proste - kobieta nie dawała za wygraną. Przez chwilę myślałem, że będę musiał jej zapłacić.
  - Dobrze, że tego nie zrobiłeś.
  - Daruj sobie sarkazm. To źle wpływa na trawienie. Uniosła brwi, ale nie zdołała powstrzymać uśmiechu.
- Stek był pyszny, a jednak coś w nim było nie tak.
- Co jest?
  - Jest za bardzo wysmażony.
  - Naprawdę? Zamówiłem średnio wysmażony. Odkroiła nowy kawałek i podała mu na czubku ciężkiego srebrnego widelca.

- Meg, według mnie jest średnio wysmażony. Zazwyczaj jesz właśnie taki, więc...  
O Boże. Zazwyczaj zamawiała stek średnio wysmażony, fakt. ften na talerzu był właśnie taki.  
Więc dlaczego nagle zapragnęła, by było inaczej? By był na wpół surowy, krwisty, czerwony, taki jak stek Greysona?

- Może tylko ten kawałek. - Uniosła kolejny kęs do ust. - Tak, jest doskonały.  
- Możemy zamówić jeszcze jeden, jeśli...  
- Nie, nie, jest pyszny. Dzięki. Chyba po prostu jestem zmęczona. - Za wszelką cenę chciała zmienić temat. - Kiedy wracasz?  
- Hm... Późnym wieczorem w środę, może w czwartek, zależy. Przyjechać po ciebie w sobotę po południu? Zabiorę cię do mojej kryjówki.  
- Kryjówki?  
- Jak najbardziej. To sekretne miejsce, w którym robię różne tajemnicze rzeczy.  
Zarumieniła się.  
- Czy twój samochód będzie już naprawiony do tego czasu?  
- I tak pojedziemy pikapem. Na wypadek gdyby padał śnieg.  
Mieli spędzić cały tydzień Bożego Narodzenia w chacie jego Meegra w lesie za miastem. Greyson oczywiście nie obchodził Bożego Narodzenia, ale większość demonów traktowała święta jak zimowe wakacje.  
Kiedy po raz pierwszy ją tam zabrał, nie wiedziała nawet, że jest tam jakaś chata, ale była i Megan ją pokochała. Prawie tak bardzo jak fakt, że po raz pierwszy od lat miała plany na Boże Narodzenie, prawdziwe plany, które nie sprowadzały się do przesiadywania w roli niechcianego gościa w domu Althei czy samotnego oglądania telewizji.



Althea. Nie chciała teraz o tym myśleć.

- Co jest?

- Ja... Wczoraj wieczorem odwiedziłam moje demony.

- I?

Pokręciła głową.

- I coś słyszałam. Brzmiało jak imię, ale nie wiem, czy tak jest naprawdę, czy to tylko słowa.

- Co to było?

- KtanaLeyak.

Gdyby nie patrzyła z tak bliska, nie zauważyłaby maleńkiej pauzy, gdy unosił kieliszek z winem do ust.

- Ciekawe. W jaki sposób to usłyszałaś?

- Czy kiedykolwiek powiesz mi otwarcie, co myślisz?

- A jeśli tak zrobię?

- Nie będę na ciebie wściekła, co ty na to? Uśmiechnął się.

- Skoro tak stawiasz sprawę... Te słowa brzmią znajomo. Ktana oznacza królową.

- A leyak?

- To rodzaj demona. Zazwyczaj są bardzo niebezpieczne i wojownicze. I zagrażają ludziom o wiele bardziej niż pozostałe demony.

- Przecież jestem człowiekiem.

- Hm. - Wydawało jej się, że widziała, jak jego wzrok pomknął w stronę jej talerza, na którym leżał niedoje-dzony stek. - W jakich okolicznościach to usłyszałaś? Od Roca?

- Nie. - Opowiedziała mu w skrócie, co się wydarzyło; pominęła fragment o tym, jak sięgnęła po pełnię swojej mocy, ale wspomniała, w jaki sposób te słowa znalazły się w jej głowie, gdy wróciła do domu. - Miałam poszukać w Internecie, ale zapomniałam.

Zaskakujące, ile informacji można znaleźć w sieci, ilu ludzi na świecie zna prawdę albo jest od niej o krok, a ilu innych im nie wierzy. Megan zastanawiała się czasami, czy naprawdę jest taka wyjątkowa. Wzruszył ramionami.

- Nie przejmuj się. Zobaczymy, co mi się uda znaleźć. Skończyłaś?

Dopiero po chwili dotarło do niej, że miał na myśli jedzenie, i skinęła głową. Nie zjadła nawet połowy, ale nie miała już ochoty ani na mięso, ani na ziemniaki i szparagi. Rozmowa o steku przypomniła jej nową nietypową cechę, a także to, co prawdopodobnie oznaczała, i nie chciała o tym myśleć.

Obsługa u Mitchella była bez zarzutu. Błyskawicznie uprzątnięto stół i załatwiono sprawę rachunku - podejrzewała, że zjedli na koszt firmy - pożegnali się z przyjaciółmi Greysona i oto stali na progu jej domu.

- Wejdiesz?

- Nie mogę. - Pocałował ją w czoło. - Już prawie północ. Muszę wstać o piątej.

Jedną z najlepszych rzeczy w romansie z demonem ognia był fakt, że Greyson był zawsze ciepły, choć przypuszczała, że w lecie może to się okazać pewną przeszkodą. O ile oczywiście jeszcze wtedy będą się spotykać. Jego uwaga o jej wizerunku... Wolą o tym nie myśleć.

Kolejna świetna sprawa... choć może nie wszystkie demony tak dobrze całują. Stali na jej ganku jeszcze przez kilka minut, mówiąc sobie dobranoc, powoli, bez pośpiechu i przeważnie bez słów. W końcu oderwała się od niego.

- Szczęśliwej podróży - powiedziała.

- Zadzwoń do ciebie, gdy wrócę. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, dzwoń do mnie. Gdybym nie odbierał - do Maleficarum. - Urwał. - Malleus tu zostaje. Przyjdzie rano.

Już miała zaprotestować, ale zrezygnowała. Próba zamachu, pamiętasz? - upomniała się w myślach.

- Dzięki.

Jeszcze ostatni pocałunek, jak lekka bryza nad jej wargami, i cofnął się, z oddali patrzył, jak znika za drzwiami. Żałowała, że nie chciał zostać. Czasami lubiła spać sama, ale nie tej nocy.

Właśnie zdejmowała płaszcz, gdy usłyszała, jak klucz zaskrobał w zamku. Odwróciła się i zobaczyła Greysona w drzwiach.

- Pieprzyć to - obwieścił. Pokonał pokój wielkimi krokami i zamknął ją w ramionach. - Prześpię się w samolocie.

- Oto akta Geralda. - Podała kopie dokumentów Maureen Boehm, bladej siostrze Geralda o czerwonych oczach. Jej rozpacz barwiła powietrze, atakowała bariery Megan, choć wzniosła je najwyżej, jak mogła.

Zazwyczaj w ten sposób odczuwała tylko złość, i to złość demoniczną. Rozpacz wyłączała - musiała, jeśli chciała wykonywać swoją pracę.

Megan skoncentrowała się na detektywie Waltersie, który wydawał się chłodny i spokojny przy rozchwianej pani Boehm. Walters emanował poczuciem pewności siebie. Przywodziło jej ono na myśl policjantów, zwłaszcza takich, którzy spędzili na służbie już kilka lat. Ciekawe, czy policjanci także mają bariery ochronne, czy nieświadomie dystansują się od emocji ludzi, z którymi mają kontakt.

Nie zdziwiłoby jej to. Większość dobrych policjantów ma zdolności parapsychiczne, choć sami nie zdają sobie z tego sprawy. Między innymi dlatego ich nie czytała.

Nie żeby często miała okazję. Nie przebywała w pobliżu policjantów od piętnastu lat.

- Proszę dać mi znać, jeśli coś jeszcze mogę zrobić -powiedziała. - Pani Boehm, bardzo mi przykro. - Głos jej zadrżał. Pani Boehm nigdy się nie dowie, do jakiego stopnia jest jej przykro. - Gerald był uroczym, miłym człowiekiem. Lubiłam go.

- Dziękuję. - Kobieta odwróciła się, by odejść. Jej brązowe włosy podkreślały się lekko do środka, przez co z tyłu jej głowa wyglądała jak grzyb. Nagle zatrzymała się. Zanim Megan zorientowała się, co się dzieje, pani Boehm rzuciła się na nią i z taką siłą złapała Megan za rękę, że ta obawiała się, iż będzie mieć siniaki.

- Dlaczego to zrobił? Dlaczego to zrobił? Wiedziałam, że jest nieszczęśliwy, ale... - Dalsze słowa były niezrozumiałe i przeszły w szloch.

Megan ścisnęło się serce. To jej wina, tylko jej; to przez nią wybrano Geralda. Cokolwiek to było, chciało dopaść Megan i wykorzystało biedaka, a jego ciało nie wytrzymało.

- Nie sądzę, żeby to zrobił, proszę pani - odparła. -Nie wiem, czy to coś warte, ale uważam...

- Megan. - Hunter, siedzący spokojnie w kącie, poruszył się lekko. Zrozumiała, co chciał, powiedzieć: Nie mów takich rzeczy.

Ale nie mogła tego nie zrobić. Nie teraz, gdy ta kobieta była załamana, a Megan mogła ją choć trochę pocieszyć. Wiedziała, że autopsja wykaże śmierć z przyczyn naturalnych. To ją uspokoi - kiedy otrzyma wyniki, czyli za kilka tygodni. A Megan chciała, by już teraz poczuła się lepiej. Bardzo tego chciała i nagle zdała sobie sprawę, że to pragnienie bierze się z nieokreślonego niepokoju.

- Naprawdę? - Pani Boehm wyprostowała się i zwróciła duże jasnobrązowe oczy na Megan, i zanim ta zdała sobie z tego sprawę, opuściła barierę, niewiele, jakby nie mogła nad nią zapanować. Oblała ją rozpacz

kobiety, zimna i mokra, spływała po niej w głąb gardła, przez pory.

Wypełniała ją, tak samo jak dwa dni wcześniej, moc jej demonów. Zobaczyła jasność; z trudem powstrzymywała uśmiech. Pani Boehm jest taka smakowita, ta rozpacz tak gęsta, pyszna jak nektar... Tłumiąc krzyk, Megan się wycofała. Płuca ją bolały, jakby dopiero co przebiegła maraton, miała mokre dłonie i zimną skórę.

Jeśli ktoś zauważył jej reakcję, nie dał tego po sobie poznać. Zmusiła się do pokrzepiającego uśmiechu, jakby jej życie, jakie znała, nie dobiegało końca.

- Naprawdę - powiedziała. - Bardzo panią kochał. Często o pani mówił.

Pani Boehm znowu się rozplakała; Megan z trudem zrozumiała jej podziękowania, a potem kobieta i policjant wyszli z jej gabinetu. Przez chwilę stała bez ruchu, wciągała powietrze przez nos i wypuszczała przez usta, czekała, aż jej serce przestanie tak szybko bić.

- Współczuję, że musiałaś przez to przejść, Megan. - Hunter wstał i podszedł do niej, ale nie zbliżał się za blisko, jakby nie wiedział, co robić. Położył jej rękę na ramieniu. - Dobrze się czujesz?

Zawahała się.

- Poczekasz tu na mnie? I przyniesiesz jakieś pudła z magazynu obok?

- Oczywiście.

Megan zrobiła głęboki wdech, powstrzymała łzy i wyszła z gabinetu, by oznajmić współpracownikom, że rezygnuje.

## Rozdział 7

Z zewnątrz centrala Vergadering wyglądała jak każdy inny biurowiec, z ceglana fasadą z lat siedemdziesiątych i wielkimi odblaskowymi oknami. Tablica w holu informowała, że znajdują się tu siedziby wielu firm, ale Megan podejrzewała, że to wszystko fałszywki.

Sięgnęła po słuchawkę telefonu wiszącego na ścianie, poczekała na sygnał zgłoszenia i wybrała numer 8843, dokładnie tak, jak poinstruowała ją Tera, gdy dzwoniła do niej wcześniej, przygnębiona i samotna.

- Tera Green.

- Cześć, to ja, jestem na dole.

- W porządku, już schodzę.

Czekając, wyjrzała przez szklane drzwi i zobaczyła, że Malleus nadal stoi na chodniku z ponurą miną. Nie chciał nawet wejść do budynku mimo zimna. Szczerze mówiąc, wołała taki układ. Był dzisiaj bardzo miły, wraz z Hunterem pomagał jej się spakować, a nawet uraczył ją najbardziej niezdarnym uściskiem świata - był to pierwszy raz, gdy jej dotknął, poza sytuacjami, gdy ratował jej życie albo za pomocą magii utrzymywał jej makijaż.

Szkoda, że zrobił to na darmo. Jeden uścisk nie ukoji jej bólu. Sama nie wiedziała kiedy, ale stała się dla pacjentów zagrożeniem i nie mogła dłużej z nimi pracować.

Znajomość z nią mogła oznaczać ich śmierć. Demon w niej, cząstka, o której usiłowała zapomnieć, żywił się ich bólem. Tak samo, jak pragnął krwistego steku, krwi Greysona czy płomiennej energii wytwarzanej przez pary całujące się w ciemnych zakamarkach.

Pokręciła głową, starając się odepchnąć te myśli. Ciągle nad tym panuje, nie jest... I dlatego rzuciła pracę.

Gdyby kontrolę nad nią przejął demon, zostałyby, prawda? Traktowałyby pacjentów jak pieprzony szwedzki stół i z apetytem oblizywała palce po każdej sesji.

Nie. Panuje nad tym. Ona, Megan Alison Chase. Człowiek.

- Hej. - Drzwi za nią otworzyły się. Tera zmierzyła ją baczным spojrzeniem niebieskich oczu. - Fatalnie wyglądasz.

- Dzięki.

- Poważnie. Megan skinęła głową.

- Tak, Tero, dzięki. Mam wejść do środka czy... Tera się zawahała.

- Chyba...

- No tak, oczywiście. Nie mogę, tak? Przez cząstkę demona...

Tera uśmiechnęła się, jakby nie usłyszała w jej głosie sarkazmu. I prawdopodobnie tak było.

- Dzięki za wyrozumiałość.

Były już w połowie drogi do parkingu i małego focusa Megan, gdy przyjaciółka się zatrzymała.

- Cholera, zapomniałam, że... że muszę coś podpisać, i to koniecznie przed trzecią. To zajmie mi tylko chwilę, poczekasz?

Megan wzruszyła ramionami.

- Leć.

Malleus zmarszczył brwi, gdy odchodziła.

- Typowa czarownica. Za głupia, by dobrze pracować.

- Ależ, Malleus, Tera to...

- Już ja dobrze wiem, kim ona jest, pani, i ty też powinnaś. Pan Dante mówi, że to nie nasza sprawa, z kim się przyjaźnisz, ale my trzej, Spud, Maleficarum i ja, uważamy, że... pani?

Megan ledwie go słyszała. Budynek Vergadering górował nad wąską uliczką, a na jej końcu, w pojedynczym promieniu bladego zimowego słońca, które zaglądało znad dachu«sąsiedniego sklepu, stał czarny sedan.

Na pewno ma przywidzenia. To nie może być ten sam samochód. Logicznie rzecz biorąc, to niemożliwe, nieważne, czy ścigały ich czarownice, czy nie. Ale i tak ją przyciągał; szła w jego stronę, zanim zdążyła się zastanowić.

- Pani, dokąd idziesz?

Nie odpowiedziała. Tera zaraz wróci, a ona chciała obejrzeć ten samochód.

Opony nie były już nawet zakurzone. Na przedniej szybie wciąż widniała naklejka. Świeży czarny lakier lśnił. To ten sam wóz. Na pewno.

Greyson byłby wściekły, gdyby się dowiedział, że napastnicy odzyskali samochód, zanim on dostał swojego jaguara.

Wyciągnęła rękę, dotknęła wozu, chciała się przekonać, czy zdoła coś wyczuć. Nigdy dotąd jej się to nie udało... ale знаła kogoś, kto to potrafił.

Prawdopodobnie on także nie dowie się niczego. Gładka, śliska karoseria nie zdradzała żadnych tajemnic. Czarownice, tak jak demony, zazwyczaj były nieprzeniknione, choć nie w tym samym stopniu. Ale Brian Stone mógł pomóc także w inny sposób. Szukała długopisu w torebce.

- Co ty wyprawiasz, pani? Odejdź, zanim ktoś cię zobaczy. - Malleus wyciągnął rękę, ale zaraz się cofnął.

- Spisuję numer rejestracyjny tego samochodu. Zdziwił się.

- Myślę, że... - Lepiej nie. Kto wie, jak zareaguje, gdy podzieli się z nim swoimi podejrzeniami. Nie wiedziała, czy Greyson wspomniał o czarownicach w związku



z pościgiem samochodowym. Lepiej to przemilczeć. -Mniejsza o to. To potrwa tylko chwilę.

Szybko nabazgrała numer na starym paragonie i wsunęła do wewnętrznej kieszeni torebki, a potem wróciła do głównego wejścia. Malleus towarzyszył jej jak ponury cień.

Spotkali Terę na parkingu i razem poszli na lunch. W głowie Megan pojawiło się nowe niepokojące pytanie: jeśli w sprawę są zaangażowane czarownice, i to czarownice z Vergadering, co to właściwie oznacza?

- Masz adres?

- Tak. Mogę zdjąć płaszcz, zanim ci go dam?

- Nie. Chcę tam pojechać.

Brian wyszedł w ślad za nią na dwór, a za nim ruszył Malleus i, choć Brian go nie widział, Rocturnus. Roc trzymał się z tyłu, bo Brian się go obawiał. Wolał, by mu nie przypominano, kto czai się za jego plecami na co dzień. Wsiedli do samochodu Megan. Malleus wcisnął się na tylne siedzenie, burcząc pod nosem:

- Nie powinniśmy tego robić.

Jakaś część Megan przyznawała mu rację. To chyba nie jest dobry pomysł. Ale dopiero co porzuciła pracę, praktykę, o którą tak walczyła, i jeśli ma ochotę zaryzykować, zrobi to, do cholery. Czemu nie? Kogo obchodzi, co się z nią dzieje?

- Dlaczego to takie ważne? - zapytał Brian, gdy włączyli się do ruchu ulicznego.

- Mniejsza o to. - Zerknęła na kawałek papieru, który jej podał. - Jedźmy. Musisz spróbować przeczytać samochód.

- Mówisz poważnie?

- Nie, Brian, żartuję. Oczywiście, że mówię poważnie. Czy wyciągałabym cię z domu w taki ziąb, gdybym żartowała?

- Co twoim zdaniem mam wyczuć z samochodu?
- Nie wiem. Może coś wyczujesz. Przecież potrafisz czytać przedmioty martwe, prawda? Nawiazujesz z nimi więź.

Wiedziała, że tak jest. Kiedyś za pomocą zegarka porozumiewał się z Greysonem.

- Mogę się połączyć z moim przedmiotem. Musi przez jakiś czas znajdować się w pobliżu, zanim to zrobię. - Zobaczył jej gniewne spojrzenie i dodał szybko: -Ale tak, czasami czytam przedmioty martwe.

- Dobrze. Więc jedziemy pod ten adres, odczytasz samochód i wtedy zdecydujemy co dalej.

- Czy to zgodne z prawem, Megan?

- A czy dotykanie samochodu jest nielegalne?

- Nie, ale...

- Więc wszystko w porządku. Niby dlaczego miałabym robić coś nielegalnego?

- A dlaczego w zeszłym tygodniu włamałaś się do cudzego domu?

- Nie włamałam się; drzwi nie były zamknięte na klucz i... zresztą nieważne. Właściciele nie wnieśli oskarżenia. - Zerknęła na niego. - Dziwi mnie, że nie zadzwoniłeś. Przypuszczam, że dowiedziałeś się o tym w ciągu, bo ja wiem, pięciu minut?

- Mniej więcej. Chyba tu musimy skręcić. Posłuchała.

- Jak tam Julie?

Dziewczyna Briana, Julie, była policjantką. Megan zgadywała, że to ona sprawdziła numer rejestracyjny, ale wołała nic jej mówić.

Odkąd Brian otrzymał zadanie, by napisać o Megan artykuł do kolorowego pisemka, jego dziennikarska sława znacznie wzrosła. Oczywiście nie dzięki tamtemu tekstowi, o którym zapomniano, ledwie wylądował na

stercie makulatury. Stało się tak, gdy pomógł w walce z Oskarżycielem, który występował jako dobroduszny terapeuta nazwiskiem Arthur Bellingham. Megan i Brian zdecydowali się ukryć prawdę i przygotowali idiotyczną, zdaniem Megan, historyjkę o Bellinghamie - jakoby był satanistą i wykorzystywał pacjentów z grupy terapeutycznej, by odprawiać tajemnicze rytuały.

Jak na ironię losu, właśnie ta fałszywa historia dała Brianowi to, czego tak bardzo pragnął - dziennikarską wiarygodność i reputację reportera, który zawsze znajdzie ciekawy temat. Teraz pracował na pełny etat w największym dzienniku w mieście.

W pewnym sensie to niedobrze. Gdyby Brian nie był tak bardzo... powiedzmy sobie szczerze, wścibski - Megan mogłaby mu powiedzieć, co się dzieje. I może zrobiłaby to mimo wszystko, gdyby nie był tak zasadniczy. Nie ukrywał, że nie podoba mu się jej zażyłość z demonami. Tak jak Tera, rozumiał, że nie miała wyboru, jeśli chodzi o Yezer Ha-Ra. Jednak pozostałe demony...

- Dzięki, w porządku - odparł. - Chyba szykuje się awans. Pracuje w tej chwili nad większą sprawą i jeśli wszystko się uda, awansuje.

- Świetnie. Powiedz jej, że trzymam kciuki.

- Sama jej to powiedz. Urządzamy kolację wigilijną, mogłabyś wpaść.

- Niestety, nie mogę, ale dzięki za zaproszenie. Przez kilka minut gadali o Julie, jej pracy i nowym artykule Briana, gdy Megan pokonywała zimne, ciche ulice. Na większości domów migotały świąteczne lampki i dekoracje, przydawały swobodnej rozmowie świątecznego nastroju. Boże Narodzenie zawsze kojarzyło się Megan z tajemnicą i radosnym podnieceniem, choć od wielu lat w święta nie zaznała ani jednego, ani drugiego.

Ich oczom ukazał się budynek oznaczony poszukiwanym numerem - Old Barie 427. Był to potężny apartamentowiec w zapuszczonej części miasta. Niedawno podjęto próby ożywienia okolicy; gdzieś powiewały tęczowe flagi, ale ulica i tak była ponura i ciemna, pełna graffiti i części samochodowych.

Ich oddechy unosiły się białymi obłoczkami, gdy cicho wysiedli z samochodu i ostrożnie zatrzasnęli drzwi.

W pierwszej chwili Megan myślała, że sedana tam nie ma, i zaklęła cicho. Wołała nie zaczynać od Vergadering, zakładając, że ich strażę czuwają dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Wtedy go zobaczyła, stał jakieś pół przecznicy dalej przed domem o oknach zabitych deskami.

Złapała Briana za ramię, pokazała. Skinął głową. Malleus łypnął gniewnie.

Trzymając się cienia, skradali się chodnikiem, omijali butelki i odpadki. Brian zdjął rękawiczkę i położył dłoń na samochodzie.

Minęła minuta. Dwie. W końcu pokręcił głową.

- Wyczuwam sporo o ludziach, którzy go naprawiali - szepnął. - Pracowali nad silnikiem, nadwoziem, oponami, chłodnicą, lakierowali karoserię. Ale nie odbieram żadnych sygnałów o kierowcy. Przykro mi.

- W porządku, Brian. Podejrzywałam, że tak właśnie będzie. - A zatem Greyson miał rację, nie żeby mu nie wierzyła. To były czarownice.

Ale z tego co wiedziała, wszystkie czarownice surowo przestrzegały zasad Vergadering. Więc dlaczego dwie spośród nich próbowały ich zabić?

Chyba że zanoszą się na kolejną wojnę między czarownicami i demonami, ale w to akurat nie wierzyła. Zresztą Tera chyba wspomniałaby o tym?

- Możemy już iść? Obiecałaś mi grzany rum, jeśli zdobędę dla ciebie ten adres.

- Megan. - Lekkie szarpnięcie za jej rękaw. Westchnęła.

- Chyba tak. Przynajmniej...

- Megan. - Kolejne szarpnięcie, tym razem bardziej stanowcze. Opuściła wzrok.

Rocturnus stał obok niej na ulicy. Jego szeroko otwarte oczy wypełniało przerażenie. Wskazywał palcem innego demona z domu Yezer człapiącego w ich stronę środkiem jezdni.

Nawet z daleka wiedziała, że coś jest nie w porządku. Mały demon szedł dziwnym krokiem. Jego kończyny dygotały dziwnie, jakby chciał robić większe kroki, niż pozwalało mu na to małe ciało.

Ruchy jego rąk przywodziły na myśl nerwowe gesty Geralda na podłodze schowka. Jego skóra falowała, w świetle księżyca wyglądało to makabrycznie, jakby wędrowały pod nią karaluchy.

- Megan? - Głos Briana dochodził z daleka. - Co się dzieje?

Odpowiedziała z trudem.

- Demon.

- A niech to szlag! Powinienem się domyślić. W co tym razem mnie wpakujesz? Powinienem był...

- Zamknij się, Brian. - Malleus usiłował stanąć przed nią, zmusić ją do powrotu do samochodu, ale nie dawała za wygraną. Mały demon parł do przodu, był coraz bliżej, jego ślepie płonęły czerwienią, migotały jak światła drogowe na końcu ulicy.

Zrobiła krok w jego stronę. Pomyślała, że wie, co się dzieje, była pewna, że wie, i oparła się pokusie, by zwinąć się w kłębek. Lada chwila nastąpi eksplozja. Lada chwila ulicę pokryje krew i strzępy ciała, parujące w lodowatym powietrzu.

- Coś tu jest nie tak - powiedział Brian już innym tonem. - Megan, coś tu jest bardzo nie tak. Miał rację. Też to czuła, nawet mając wzniesione bariery ochronne. Wydawało się, że temperatura wokół nich spadła o dobrych dziesięć stopni. Szczelniej otuliła się płaszczem, ale zrobiła kolejny krok. Twarz drobnego demona przecinał uśmiech, zbyt szeroki na jego małą buzię, jakby ktoś wyciął go tam siłą.

- Człowiek. - Jego głos huczał echem w jej uszach. To nie był głos Yezer, był głębszy, głośniejszy, z delikatnym zaśpiewem, który jej umysł zidentyfikował jako kobiecy, chociaż sama nie wiedziała jak czy dlaczego. W głębi jej klatki piersiowej coś zatrzepotało, drgnęło, jakby drugie serce usiłowało wyrwać się na wolność.

Wiatr bawił się puszką, turlał ją po ulicy. Megan drgnęła. Usłyszała, jak Brian gwałtownie nabiera tchu. Kochany. Pewnie jest na nią wściekły, że go w to wciągnęła, a mimo to został u jej boku, czuła jego ramię przy sobie.

- Kto to, Roc? - szepnęła. - Poznajesz?

- Smealtus - odparł. - Chyba.

- Pani, musimy iść - nalegał Malleus. Megan zerknęła na niego, ale nie patrzył na drobnego demona. Patrzył ponad nim, w lewo. Podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła dwie osoby w czarnych płaszczach i kominiarkach wychodzące z budynku, który minęli.

Budynku, którego adres widniał w dokumentach czarnego sedana. Opuściła swoje tarcze i usiłowała czytać, licząc wbrew nadziei, że się myli, ale nie wyczuła niczego.

- Megan. - Brian złapał ją za ramię. - Naprawdę myślę, że powinniśmy już iść. - W jego głosie pojawiła się panika, przenikała przez jej opuszczone bariery.

Malleus krzyknął i skoczył na nią, odtrącając Briana na bok. Dziennikarz upadł na beton między dwoma zaparkowanymi samochodami i zaklął z oburzeniem. Jego

głos brzmiał nienaturalnie głośno w uszach Megan. Miała wrażenie, że czas płynie coraz wolniej. Czarownice sięgnęły do płaszczy i identycznym ruchem wydobyły pistolety, długie, czarne i groźne. Megan odskoczyła do tyłu, wydawało jej się, że biegnie w syropie, i niemal potknęła się o Roca. Smealtus rozkładał ramiona, coraz szerzej i szerzej. Odrzucił głowę do tyłu, otworzył usta w bezgłośnym krzyku.

Huknął strzał. Megan krzyknęła, schyliła się, instynktownie otuliła głowę ramionami, ledwie jej kolana boleśnie dotknęły chodnika. Odgłos strzału niósł się echem wśród budynków po obu stronach ulicy.

Wtedy rozległ się inny dźwięk, cichy, mokry, głuchy odgłos. Smealtus wybuchnął.

## Rozdział 8

Coś twardego uderzyło Megan w plecy. W tej samej chwili Rocturnus złapał ją za rękę i pociągnął.

Upadła na ziemię, wpatrzona w punkt, w którym Smealtus spędził ostatnie chwile życia.

Z chodnika unosił się duży i czarny kształt o wielu odnóżach. Wpełzał w powietrze i rósł z każdą sekundą.

Megan nie musiała czekać na dłoń Malleusa w pasie czy szarpnięcie Rocturnusa, by ruszyć z miejsca. Ciszę przeciął kolejny strzał. Malleus chrząknął, ale się nie zatrzymał.

Razem ukryli się za furgonetką. Krew Smealtusa spływała z twarzy Megan, plamiła jej płaszcz, pokrywała

kurtkę Malleusa, a Rocturnus wyglądał jak wielki noworodek.

Samochód drżał z każdym strzałem, hukowi towarzyszył cichszy odgłos, gdy kule uderzały w metal. Nadchodziły czarownice.

- Brian jest po drugiej stronie jezdni!

Jej krzyk zagłuszyły głośnie, przerażone głosy. Usiłowała wyrzeć zza furgonetki. Malleus złapał ją, chciał pchnąć na chodnik, ale udało jej się wymknąć, gdy Rocturnus zniknął.

Kolejne strzały, jeden po drugim. Megan wyrzała znad maski i zobaczyła czarownice. Nie patrzyły na nią, wpatrywały się w ulicę i strzelały bez chwili przerwy.

Brian kulił się w tym samym miejscu, w którym upadł. Otworzył usta, ale nie słyszała go. Nie wiedziała, czy ogłuszyły ją strzały, czy było to czyste, chłodne przerażenie; przenikało jej ciało, przesiąkało przez ubranie, sprawiało, że to serce-które-nie-było-jej biło i wiło się boleśnie.

Czarownice strzelały do demona. Wiedziała, że to demon, ale nigdy przedtem nie widziała czegoś takiego.

Był ogromny, wystarczająco duży, by zasłonić księżyc i odebrać wszelką nadzieję. Ramiona wyrastały z całego korpusu. Był jak makabryczny gigantyczny pajak, jak karykatura życia, z twarzą kobiety, kobiecymi piersiami i okropnym, cętkowanym ciałem, które wiło się, trzęsło i drżało.

Tam, gdzie pociski trafiły monstrualne ciało, zostawiały po sobie ziejące dziury, które jednak od razu się zablizniały z cichym dźwiękiem - dopiero po chwili Megan uświadomiła sobie, że to kule upadały na jezdnię.

Nie mogła oddychać, nie mogła myśleć. Otworzyła usta i zaczerpnęła haust zimnego powietrza, które zmroziło jej płuca.



Istota poruszała się niepewnie, ostrożnie, jakby każdy krok sprawiał jej ból. Megan dostrzegła trzy nogi - potężne, grube ciemnoczerwone nogi zakończone stopami o ostrych pazurach. I nagle, na jej oczach, stopy zaczęły się kurczyć, stały się ludzkie. Ramiona znikły w ciele - nie wiedziała, jak inaczej to określić - a na ulicy stała zwyczajna kobieta. Tylko makabryczny kolor jej skóry i fakt, że była naga, zadawały kłam temu, co widziała.

Czarownice jeszcze przez chwilę trzymały się dzielnie. Megan niemal czuła ich szok, wiedziała, że ciągle strzelają, bo ich umysły nie mogły zaakceptować myśli, że kule nie są skuteczne w przypadku tego monstrum.

Oczy istoty - kobiety - jasnozielone, czujne, zwięzły się. Przechyliła głowę na bok. Megan z trudem dostrzegała Briana skulonego po drugiej stronie ulicy. Jego usta poruszały się w, jak się domyślała, modlitwie. Rocturnus chwycił go za płaszcz, chcąc odciągnąć w bezpieczne miejsce, poza zasięgiem wzroku potwora. O ile to w ogóle możliwe.

- Musimy się wycofać - szepnął Malleus i szarpnął jej ramię tak silnie, że niemal wyrwał je ze stawu.

- Pani, musimy iść, i to już!

- Nie zostawię Briana! - Jej szept zamienił się w krzyk, krzyk, na który, jak wiedziała, nie mogła sobie pozwolić. W tej chwili kobieta demon rzuciła się do przodu, jej członki najpierw się skurczyły, by zaraz spotężnieć, i straciła głowę z barków jednej z czarownic płynnym ruchem wijącego się ramienia.

Ciało upadło. Podniosła głowę, przyjrzała się jej z namysłem i odrzuciła na ziemię. Druga czarownica krzyknęła, usiłowała uciekać, ale poślizgnęła się na krwi towarzyszki i kobieta demon dogoniła ją bez trudu, oplotła ramionami, przyciągnęła bliżej, zmusiła, by uklęknęła.

- Czarownica - powiedziała, a jej głos sprawił, że Megan zadrżała jeszcze bardziej. Kobieta demon mówiła jak kobieta. Jak zwyczajna kobieta. Lekko, nonszalancko, jakby prosiła o buty w innym rozmiarze.

Pogłaskała czarownicę po twarzy i uniosła jej kominiarkę. Tamta krzyczała ochrypłym głosem, wybałuszyła oczy ze strachu. Megan nie mogła oderwać wzroku od tej sceny, choć bardzo tego chciała.

Kobieta na klęczkach dwukrotnie usiłowała ją zabić. Strzelała do Greysona. Ale i tak nie zasłużyła na śmierć z ręki kobiety demona. Nie zasłużyła na to, by wbiła jej rękę w klatkę piersiową, wyrwała bijące jeszcze serce i uniosła w powietrze.

Nie widziała, co było dalej. Malleus przerzucił ją sobie przez ramię i puścił się biegiem na ugiętych nogach, jak najbliżej ziemi. Nie miała pojęcia, jakim cudem udawało mu się biec tak cicho po chodniku pełnym kamieni. A może to tylko ona niczego nie słyszała, bo cały czas miała w uszach wrzaski przerażenia. Wiedziała jedynie, że mijają zaparkowane samochody, że zaraz przejdą na drugą stronę ulicy. Malleus najwyraźniej liczył, że uda mu się dotrzeć do Briana - do jej samochodu - zanim kobieta demon zda sobie sprawę, co się dzieje.

Nie miała pojęcia co potem. Co prawda kobieta demon na razie nie poruszała się szybko, to jednak wcale nie znaczyło, że nie jest do tego zdolna.

Ziemia zadrżała. Demon uderzył pięścią w jezdnię. Malleus potknął się, boleśnie uderzył biodrem Megan o bagażnik samochodu, za którym się ukryli. Zanim upadli, odwrócił ją tak, że wylądowała na nim. Tylko kilka samochodów dzieliło ich od Briana i Roca.

Brian chyba odzyskał panowanie nad sobą. Skinął na nią, kuląc się jednocześnie za zdezelowanym escortem.

- Człowieku - odezwała się kobieta demon. Jej głos docierał do duszy Megan, wprawiając ją w drżenie. -Masz coś, co należy do mnie. Chcę to odzyskać.

Brian pokręcił głową.

- Nie - powiedział bezgłośnie. Ściągnął brwi. - Nie... Malleus zacieśnił uchwyt na jej ramieniu.

Całe ciało Roca drżało. Mocno zaciskał powieki.

- Wiem, że tam jesteś, istoto ludzka.

Skrzypięcie, a potem chrzęst metalu, gdy kobieta demon podniosła toyotę, za którą ukryli się Megan i Malleus, jakby to było puste pudełko. Samochód z łoskotem upadł na inny wóz po drugiej stronie ulicy. Szkło się rozprysło, lśniło na jezdni, dziwnie świąteczne w lodowato bladym świetle księżyca.

Megan, odsłonięta jak dziecko, które nie umie się dobrze ukryć podczas zabawy w chowanego, wtuliła się w Malleusa. Odepchnął ją na bok, wstał i wyprostował się, zaciskając pięści gotowe do walki.

Roc chwycił ją za rękę i w tym momencie Megan uświadomiła sobie swoją głupotę. Sama nie zdoła pokonać tego demona. Malleus też nie. Ale z Brianem i mocą Yezer - mocą, której, jak sama się przekonała kilka dni temu, może użyć - ma spore szanse.

Kobieta demon wyciągała do niej ręce, ciągle urna-zane krwią czarownic. Megan nie chciała na to patrzeć, zamknęła oczy, znalazła w sobie drzwi i je otworzyła.

Moc rozświetlała jej ciało, czuła w zakończeniach nerwowych błękitno-zielone ogniki energii. Ale w niczym nie przypominała tej siły, tej potęgi, której doświadczyła w sobotę.

Spróbowała ponownie, skoncentrowała się. Może za mało...

- Pani!

Pchnięcie. Poleciała na ogrodzenie z siatki, a potem upadła na ziemię. Brian ją złapał i pociągnął w bok. Malleus był coraz wyżej, unoszony zakrwawioną łapą demona.

Megan krzyczała. Brian trzymał ją w ramionach, ciągnął w stronę samochodu, ale opierała się, przekształciła marną energię z otwartych drzwi w broń, która pozwoliłaby się jej uwolnić od niego, i zza zasłony łez patrzyła, jak Malleus unosi się coraz wyżej i przestaje walczyć, gdy spoczęło na nim hipnotyzujące spojrzenie zielonych oczu.

Ramiona Briana zdrząły, gdy dosięgła ich swoją bronią.

- Cholera! - Poczula, że szuka czegoś w jej kieszeni, a potem usłyszała jego kroki, uciekał, ale nie przejęła się tym, myślała jedynie o Malleusie.

Potknęła się o starą butelkę po winie. Podniosła ją, cisnęła w pierś kobiety demona. Nie łudziła się, że wyrządzi jej tym jakąkolwiek krzywdę.

I rzeczywiście - nie tylko nie zraniła koszmarnego, gnijącego ciała, kobieta demon nawet nie mrugnęła.

- Ty stara suko! - wrzasnął Malleus. Światło rozbłysło w ostrzu noża. Megan nie wiedziała, że go miał, zanim wbił je w lśniące oko potwora.

Kobieta demon ryknęła z bólu i otworzyła usta na niepojętą szerokość, odsłaniając kilka rzędów zgniłych zębów.

Megan podniosła cegłę, po raz pierwszy zadowolona, że ulica wygląda jak strefa działań wojennych. Rzuciła. Cegła odbiła się od zębów demona, a Megan krzyknęła triumfalnie. Satysfakcja wypełniała ją jak wino, słodkie i czerwone niczym krew.

Opony zapisały na chodniku. Brian wykręcił samochodem Megan, włączył długie światła i wycelował prosto w kobietę demona.

Odwróciła się, patrząc wielkimi oczami na focusa, który pędził wprost na nią. Malleus wyciągnął ostrze, szykował się do kolejnego ciosu...

I upadł na ziemię, gdy wóz Megan przemknął tuż obok. Kobieta demon zniknęła. Ulica była cicha i pusta, nie licząc trupów

- Grzany rum?

- Tak, ale daruj sobie grzanie - sapnął Brian i ciężko opadł na kanapę. - Właściwie daruj sobie też szklanekę, daj mi od razu całą butelkę.

Megan zastanowiła się przez chwilę, po czym spełniła jego prośbę. Wzięła też butelkę bourbona dla siebie i whisky dla Malleusa. Roc nalał sobie likieru miętowego i sącył go powoli; zazwyczaj ją to bawiło, ale dzisiaj kabaretowe scenki nie poprawią jej humoru. A tym bardziej nawyki żywieniowe małego zielonego demona.

- Pani. - Malleus skończył przetykać. Oparł o kolano butelkę, którą jednym haustem opróżnił do połowy. - Musisz zadzwonić do pana...

- Nawet o tym nie wspominaj. Po prostu nie. Zmarszczył brwi.

- Pani, wiesz, że musisz mu powiedzieć. Musisz...

- On ma rację, Megan. - Rocturnus mówił tak cicho, że musiała się pochylić, by go usłyszeć. - Wszyscy muszą się dowiedzieć.

- Jacy: wszyscy? I dlaczego muszą się dowiedzieć?

- Bo skrzywdziła też inne demony, inne klany. - Roc dopił swojego drinka i nalał sobie nową porcję. - Bo nadal będzie to robiła.

- Wiesz, kto to jest?

- Ty także. Słyszałaś jej imię. Ktana Leyak.

Już otwierała usta, ale Roc ostrzegawczo uniósł rękę.

- Nie mów tego na głos, nawet nie myśl o tym imieniu.
- Dlaczego? Kto to jest? Co to jest? Westchnął. Zamknął oczy.
- To nasza matka. Zadzwoił telefon.

W pierwszej chwili nie pojmowała, co się dzieje. Dźwięk, tak normalny, tak codzienny, nie pasował do tej rozmowy; należał do innego życia w świecie, który przez kilka ostatnich miesięcy nie popadał w coraz większy obłąd.

- Co masz na myśli?
- To, co powiedziałem. Stworzyła nas wszystkich. Jest naszą matką.
- A więc...
- Odbierzesz czy nie? - Brian zamknął oczy i osunął się na kanapę. Jedną rękę położył sobie na sercu, w drugiej ścisnął butelkę i wyglądał jak pijany student.
- Nie. - Bourbon rozgrzewał ją powoli, łagodził nerwy, niósł złudne poczucie bezpieczeństwa.
- Pani, powinnaś...
- Jak to: jest waszą matką, Roc? Dlaczego was zabija? I inne demony?

Pokręcił głową.

- Niewierny.
- Kogo zabija? Tych, co odchodzą, czy tych, co zostają? I dlaczego atakuje też demony z innych klanów?

Włączyła się automatyczna sekretarka Megan, ale dzwoniący nie zostawił wiadomości.

- Nie wiemy - powtórzył Roc. - Wiesz, że z zasady mało rozmawiamy, nie jesteśmy jak ludzie, nie siadamy co wieczór na plotki, za czym wy zdajecie się przepadać.

W jej torebce rozdzwoił się telefon komórkowy. Cholera. Wiedziała, że to on. Oprócz Tery i Briana, tylko Greyson miał numer jej komórki.

- Przepraszam, że my ludzie usiłujemy ze sobą rozmawiać - warknęła. Tego już za wiele, po prostu za wiele. Najchętniej wpełzłaby pod kołdrę i przespała cały tydzień. Właściwie zabiła swojego pacjenta, straciła pracę, kolejnego demona i, sądząc po minie Briana, niewykluczone, że straciła też jednego z niewielu przyjaciół, a teraz jej cholerny... ktoś chce z nią rozmawiać. Będzie musiała powiedzieć mu, co się stało, a on nie będzie zadowolony. Na myśl, że tego dnia czeka ją jeszcze jeden problem, zachciało jej się wyć. I to wyć tak długo, aż umieszczą ją w przytulnym, cichym pokoju o gumowych ścianach. Kaftany bezpieczeństwa pewnie nie są tak niewygodne, jak się wydaje, co?

- Nie złość się na mnie. Usiłuję ci pomóc.

Megan wpatrywała się w niego, próbowała powstrzymać gniew, zanim zrobi coś, czego później pożałuje.

- Doceniam to, Roc - powiedziała, starannie cedząc każde słowo. - Ale prosiłam, żebyś mi wytłumaczył, co się dzieje, a ty tego nie zrobiłeś. Nie uważasz, że mam prawo się złościć?

Teraz zadzwonił telefon Malleusa. Megan zamknęła oczy. Sama mogła nie odbierać, ale nie może wymagać tego od Malleusa. Pracował nie dla niej, lecz dla Greyso-na, i nie miała wątpliwości, że zostałyby surowo ukarany, gdy nie odebrał telefonu od szefa.

Ze wzrokiem, w którym poczucie winy walczyło z wyzwaniem, Malleus gwałtownie otworzył telefon.

- Tak - odezwał się. - Tak, przepraszam, ja... Tak, jest bezpieczna, jest tu koło mnie. Mały kłopot... Pani znalazła samochód, no, tych czarownic... Chciała... powiedziała, że pojedzie beze mnie, jeśli... Panie Dante, proszę, nie... - Pochylił się i podał telefon Megan. - Chce rozmawiać z panią.

Niech to szlag... Jak on śmie! Dzwonić do niej, żeby na nią nakrzyczeć, prosić ją do telefonu, jakby była jego cholerną służącą. Wyrwała aparat Malleusowi.

- Halo?"

- Co się dzieje, Megan?

To zły znak. Nigdy nie nazwał jej Megan.

- Nic - odparła, jak miała nadzieję, lekkim tonem. Niemal czuła jego gniew przez łącze telefoniczne. - Malleus już ci powiedział, znalazłam samochód. Brian i ja...

- Brian? Głęboki wdech.

- Tak, Brian. Wyczuwa przedmioty martwe, a wiesz, że ja tego nie potrafię. Poszliśmy sprawdzić, czy da się coś odczytać z samochodu.

Milczał tak długo, że zaczęła się zastanawiać, czy nie odłożył słuchawki. W końcu powiedział:

- Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem: ktoś do nas strzelał. Zobaczyłaś samochód, którym, jak ci się wydaje, jechali napastnicy, więc złapałaś ministranta i poleciałaś to sprawdzić, i to mimo moich próśb, żebyś się w to nie mieszała, tak?

- No cóż...

- I uznałaś, że to dobry pomysł... Zazgrzytała zębami.

- Nie, do cholery, uznałam, że to kretyński pomysł, i dlatego to zrobiłam; przecież to do mnie podobne, prawda? Ciągłe robię same bzdury.

- Nieprawda! - warknął, równie gniewnie, jak ona. -I dlatego nie pojmuję, jak mogłaś postąpić tak lekkomyślnie, gdy wiesz, jakie to niebezpieczne!

- Nie wiem, bo mi nic nie mówisz!

- Jezu, nie pomyślałem, że...

- Okłamałeś mnie, Greyson.

- Co?



- Okłamałeś mnie. W restauracji. Podałam ci... Wymieniłam imię, a ty skłamałeś, udawałeś, że nie mam się czym martwić. Może nie?
  - Nie udawałem. Powiedziałem ci to, co wiedziałem.
  - I znowu kłamiesz!
  - Dlaczego przed chwilą nie wypowiedziałaś tego imienia?
  - Nie próbuj zmieniać tematu.
  - Nie próbuję. Mówię, że nie skłamałem, ty mówisz, że to zrobiłem; jesteśmy w martwym punkcie. Ale proszę, odpowiedz na moje pytanie: dlaczego nie wypowiedziałaś tego imienia? W restauracji to zrobiłaś, dlaczego teraz nie?
  - A co to za różnica?
  - Do cholery, Megan! Widziałaś ją, tak? Pojawiła się, kiedy sygnalizowałaś swoją obecność wszystkim dokoła?
  - A nawet jeśli?
  - Żartujesz, prawda?
  - Wyszliśmy z tego cali i zdrowi, nic mi nie jest, nie pojmuję, czemu się tak na mnie wściekasz! - Zerknęła w prawo. Brian udawał, że z zainteresowaniem przegląda stare czasopismo, ale Roc i Malleus niezdarnie uciekli spojrzeniem, aż nabrała pewności, że chłoną każde jej słowo. Teraz wyjdzie przed nimi na idiotkę.
  - Greyson, nie jestem twoją własnością - syknęła. - To nie twoja sprawa, co robię, a czego nie. Chwila milczenia. - Świetnie. Rób, co chcesz.
  - I tak będzie!
  - Dobrze.
  - Dobrze.
- Oto, do czego doprowadził ją gniew i wstyd. Kłóciła się jak trzynastolatka.

- Proszę, zrób coś dla mnie, odeślij Malleusa, jeśli chcesz popełnić małe apetyczne samobójstwo.  
Wiele dla mnie znaczy.

- A ja... Wiesz co? Dobrze!

Zatrzasnęła telefon i odrzuciła go Malleusowi. Drżała na całym ciele.

A więc to tak. Krzyknął na nią, odpowiedziała tym samym i rozłączyła się. Czekwała - tak jak wszyscy w pokoju - czy telefon znowu zadzwoni.

Milczał.

Brian odchrząknął.

- Późno już, Megan. Zadzwońię do Julie, zapytam, czy może po mnie wpaść. Jestem zbyt pijany, by prowadzić.

Skinęła głową.

- Pewnie, dzwoń.

Malleus, oczywiście, nie wyjdzie, chyba że mu każe, a Roc... Roc za bardzo sycił się jej cierpieniem. Cholerny mały drań. Może później uderzy się w stopę, zaserwuje mu deser.

A zatem Ktana Leyak jest ich matką? Niech ich sobie weźmie. Megan uwolni się od tego wszystkiego. Przerwie więź, o ile to możliwe, a na pewno jest możliwe, i skończy z tym całym bałaganem. Co ją obchodzi, co potem?

Otworzy nowy gabinet, w domu. Wielu terapeutów pracuje w ten sposób. Albo poszuka odpowiedniego lokalu gdzieś w okolicy, bliżej domu, bez współników. Ustali ruchome stawki, już dawno chciała to zrobić. Albo...

Brian akurat dotknął telefonu, gdy ten zadzwonił. Megan patrzyła, jak podnosi słuchawkę, zerka w jej stronę, świadom tego, co robi. Wzruszyła ramionami. Równie dobrze może mieć to już za sobą. Jeśli to naprawdę koniec. Oddzwonił: może teraz, gdy oboje ochłonęli, porozmawiają jak dwoje dorosłych, ona go przeprosi, on powie coś, co przy dużej dozie dobrej

woli można uznać za przeprosiny, i wszystko znowu będzie dobrze. Do tej pory jeszcze nigdy się nie pokłócili.

- Halo?

- Megan?

Znała ten głos. Nie wiedziała skąd, ale znała go, i na chwilę jej świat zawirował, zanim wszystko wróciło na miejsce.

- Mama?

- Megan, tu twoja matka - ciągnął głos, jakby Megan nic nie powiedziała. Tak, to naprawdę jej matka.

- Wydarzyła się... Wydarzyła... - Odchrząknęła. - Megan, musisz przyjechać do domu. Twój ojciec umarł.

## Rozdział 9

Wrogie cienie kryły się w narożnikach budynków i pod drzewami, gdy Megan przejeżdżała przez, jak to mówili mieszkańcy Grant Falls, centrum. Przynajmniej kiedyś tak mawiali. Nie była tu od dwunastu lat.

Ogrzewanie działało pełną parą, a mimo to dygotała z zimna. Pogrzeb, odczytanie testamentu i Prawnik Mówi, Że Powinnaś Przy Tym Być.

Nie było żadnego: „Skarbie, mogłabyś wrócić do domu” czy „Kochanie, może czas, żebyśmy znowu stali się rodziną”. Nie. „Prawnik mówi, że musisz być obecna przy odczytaniu testamentu. To oczywiście tylko formalność”. Co oznacza, że niczego nie odziedziczy, choć to akurat jej nie obchodziło.

Megan zostawiła walizkę w wątpliwej urody motelu na przedmieściach o nazwie Świąteczna Kryjówka

Bev - choć nie miała pojęcia, kto chciałby spędzić święta w Grant Falls. Wychyliła kawę w pobliskim McDonalddie i była gotowa pójść do domu.

Domu jej rodziców w każdym razie.

Na smaganych wiatrem ulicach nie było prawie nikogo, ale i tak czuła na sobie badawcze spojrzenia. Wyjechała z Grant Falls na studia i już nigdy nie wróciła. Teraz miała nieodparte wrażenie, że nie było jej tylko chwilę, że miasto czyha na nią z cierpliwością przyczajonego drapieżnika.

Jej ręce drgnęły na kierownicy, gdy skręcała w lewo, w ulicę, która zaprowadzi ją do jej starego domu. Wybrała dłuższą trasę, ale dzięki temu ominęła szpital, w którym spędziła wiele miesięcy jako piętnastolatka. Wolała nigdy więcej nie oglądać tamtego budynku.

Nie żeby wiele zapamiętała z tego okresu. Wtedy opętał ją Oskarżyciel i wyparła wszystkie wspomnienia do chwili, gdy musiała ponownie się z nimi zmierzyć, by go pokonać, tym razem na dobre.

Na jezdnię wybiegło dziecko. Megan zahamowała ostro. Jej kawa wylała się na dzinsy.

- Niech to szlag trafi! Au! - Postawiła kubek na fotelu pasażera i pożałowała, że nie jest taką pedantką jak Tera, która zawsze ma przy sobie chusteczki jednorazowe.

Megan spiorunowała dziecko wzrokiem. Był to mniej więcej ośmioletni chłopiec, taki sam jak wszyscy mali chłopcy w czerwonej kurtce i czapeczce. Pokazał jej język. Podły bachor.

- Mich&el! - No, świetnie. Ostatnie, czego Megan było trzeba, to matka dziecka. Nie drasnęła go ani odrobinę, nawet się na to nie zносиło, ale coś w wyrazie twarzy potężnej kobiety i w zadowolonej minie chłopca podpowiadało jej, że to nie ma znaczenia.

I rzeczywiście. Kobieta podeszła bliżej i już władczo unosiła pięść, by zapukać w szybę. Megan z ponurą satysfakcją opuściła ją, zanim kobieta zdążyła zastukać.

- Proszę uważać, jak pani jeździ! Mało brakowało, a potraciłaby pani mojego synka!

- To pani syn powinien patrzeć, gdzie idzie - powiedziała Megan miło. - A nie wyskakiwać na jezdnię.

- Jak pani śmie! Pani... O rany! Megan Chase!

O cholera. Rozpoznały się jednocześnie. Ta kobieta o pulchnej twarzy to Cassie Bryant. W ostatniej klasie miały razem wuef.

Nie było sensu przypominać Cassie, że dawniej była wobec Megan okrutna. Nie ona jedna.

- Tak. Cześć, Cassie. - Megan zmusiła się do uśmiechu. - Słuchaj, jeśli twojemu synkowi nic się nie stało... Jadę do...

- Nic mu nie jest - zapewniła Cassie lekceważąco. Nawet nie rzuciła okiem na chłopca, odkąd jej świdrujące spojrzenie rozpoznało Megan. - Co ty tu robisz? Jak miło cię widzieć! Słyszeliśmy o tobie, o programie radiowym i w ogóle...

Ach, więc to wszystko wyjaśnia.

- No. Tak. Naprawdę muszę już...

- Wiesz, musimy się spotkać! Wyjść na drinka. Pamiętam, gdzie mieszkasz, mogę po ciebie wpaść i...

- Ja... widzisz, mój ojciec zmarł i nie sądzę, żebym...

- O nie! - Dłoń Cassie, ciężka od tandetnej biżuterii, zakryła jej usta. - Och, Megan, tak ci współczuję!

Kiedy pogrzeb?

- W środę. Przykro mi, Cassie, ale naprawdę muszę już jechać.

- Oczywiście, oczywiście. Wiesz co? Zadzwoń do ciebie później, do domu twoich... do domu twojej mamy. Myślę, że babski wieczór z dziewczynami dobrze ci zro-

bi. Wiesz, nadal się przyjaźnimy, ja, Amy i Jen, nadal tu mieszkamy. Mogłybyśmy wyskoczyć gdzieś razem... co ty na to? Dobry pomysł?

Równie atrakcyjny jak operacja wyrostka bez znieczulenia.

- Pewnie, jeśli tylko będę miała czas. Brzmi nieźle. Uśmiechnęła się lekko do Michaela, który dąsał się na chodniku, i odjechała. Świetnie. Ostatnie, czego jej trzeba, to jej mizerna sława, prześladowająca ją jeszcze bardziej niż niesława, w której wyjechała z Grant Falls.

- Megan. - Matka stała w drzwiach. Jasne włosy upięła w gładki kok, czarna sukienka układała się na nadal szczupłej figurze. Diane Chase nie tyła nawet na starość. Przez chwilę wydawało się, że czas się cofnął. Megan była boleśnie świadoma zimnej plamy po kawie na dżinsach.

- Wejdz.

Żadnych uścisków, żadnych bladych uśmiechów przez łzy. Megan tak naprawdę wcale się ich nie spodziewała.

- Widzę, że jesteś sama.

- Tak. - A czego oczekiwała, że przyjedzie z tuzinem przyjaciół? Oczywiście, że była sama.

Co najmniej do jutra. Brian i Tera przyjadą wczesnym rankiem, by towarzyszyć jej podczas pogrzebu. Greyson... nie wiedział. Nie oddzwoniła do niego. Nie pozwoliła jej na to duma. Pokłócili się, może głupio, może nie. W miarę jak opadały emocje, musiała przyznać, że rozumowanie Greysona było bardziej logiczne, co nie tłumaczyło jego gniewu. Nie chciała jednak szantażować go emocjonalnie, zmuszać, żeby skrócił podróż służbową, żeby być przy niej. O ile mógłby to zrobić. Albo chciał.

Poza tym nie była pogrążona w rozpacz. Smutna -oczywiście. Ale ojciec nigdy nie znaczył dla niej wiele; nie rozmawiali, odkąd wyjechała na studia.

Poradzi sobie sama. Obejdzie się bez wsparcia. Nieważne jak bardzo go potrzebuje.

- Zdejmij buty, proszę. Dywan...

Megan zamrużyła. Jej matka wskazała głową półkę przy drzwiach.

- Zdejmij buty, Megan.

Przez chwilę rozważała ucieczkę. Odwróci się na pięcie, wybiegnie z domu, zabierze torbę i wyjedzie stąd.

A potem schyliła się, zdjęła buty i starannie ustawiła na półce.

- Zaparzyłam kawę - powiedziała Dianę. Nadal ani razu nie dotknęła Megan, nie spojrzała jej w oczy.

-W kuchni.

Minęły salonik, niemal niezmienny, odkąd Megan oglądała go, jak wówczas sądziła, ostatni raz.

Meble, tkwiące spokojnie w przegrzonym pomieszczeniu, wydawały się nowe, ale utrzymane w tym samym stylu i kolorystyce, co ich poprzednicy. Zdjęcia rodzinne wciąż wisiały na starych miejscach, choć zauważyła, że fotografie, na których była uwieczniona, przewieszono niżej, a część znikła całkowicie. Nie zdziwiło jej to.

- Dlaczego tu jestem, mamó?

- Siadaj.

Megan zerknęła na krzesła. Twarde drewniane siedzenia i proste oparcia zapowiadały dyskomfort fizyczny jako dodatek do stresu, jaki budziła sama obecność w tym miejscu. Dlaczego w ogóle tu weszły? Nigdy nie jadal w kuchni, nie pili tu nawet kawy. Kuchnia była dla nieodpowiednich gości, dla robotników albo...

Przed chwilą sama sobie odpowiedziała, prawda?

Usiadła. I czekała. Jeśli było coś, co potrafiła robić, to czekać, aż druga osoba odezwie się pierwsza. Matka postawiła przed nią filiżankę, dzbanuszek ze śmietanką, Cukiernicę. Megan przecząco pokręciła głową.

Kawa, niech to szlag, była pyszna. Dianę zawsze dobrze gotowała; była to jedna z niewielu rzeczy, poza urodą, które Megan po niej odziedziczyła.

- Najwyraźniej twój ojciec kilka tygodni temu sporządził nowy testament - odezwała się Dianę.

Poruszyła

się. - On...

- Jak umarł?

- Nie przerywaj mi, proszę. Nasz prawnik ma jego nowy testament i poinformował mnie, że wszyscy musimy być przy jego odczytaniu. Dlatego tu jesteś. Poza tym pomyślałam, że może zechcesz złożyć wyrazy szacunku człowiekowi, który wspierał cię w dzieciństwie. Zasługuje na twoją cichą i dyskretną obecność.

- A co będzie, jeśli nie przyjdę? Na odczytanie testamentu?

Matka pociągnęła nosem i upiła mały łyżeczek ze swojej filiżanki.

- Nie pytałam. Uznałam, że gdy poznasz sytuację, zachowasz się właściwie i pomożesz rodzinie uniknąć komplikacji.

Megan naprężyła się, gotowa wstać i wyjść. Nie chciała tu być, nie chciała mieć z tym wszystkim nic wspólnego.

Ale została. Gdyby wyszła, ta sprawa ciągnęłaby się za nią. Cieszyła się dobrą opinią jako terapeutka, a wieść o rozłamie w jej rodzinie podważałaby jej wiarygodność, i to teraz, gdy audycja radiowa stała się jej jedynym źródłem utrzymania.



- Dobrze - odparła. - Jak umarł?

- Na atak serca. - Matka odchyliła się do tyłu na krzesło i poprawiła spódnicę. - Miał już kilka.

Megan nie zwracała sobie głowy pytaniem, dlaczego nikt jej o tym nie zawiadomił, zresztą to i tak nie miało już żadnego znaczenia, ponieważ ostry dźwięk z salonu poinformował je, że ktoś wszedł do domu.

Twarz Diane się rozjaśniła. Zerwała się z krzesła i niemal pobiegła do saloniku.

- David!

- Mamo! Mamo, dobrze się czujesz?

Megan odwróciła się na krzesło i przez otwarte drzwi do saloniku zobaczyła starszego brata, jego jasną głowę schyloną nad teatralnie szlochającą, wtuloną w niego matką.

Gdyby się nad tym zastanowiła, wiedziałyby, że tu będzie. David zawsze był ich ulubieńcem.

Weszli do kuchni, jej matka i brat - jej... rodzina. Dave prowadził matkę do krzesła. Spojrzał na nią.

- Megan. Cześć.

- Cześć, Dave.

- Nie pomyślałem... No cóż, świetnie. Cieszę się, że cię widzę.

Twarz bolała ją od uśmiechu.

- Ja też.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, aż Megan wstała.

- Na mnie już czas. Do zobaczenia jutro.

- Nie spóźnij się. Jedenasta w naszym kościele. -Spojrzenie Diane wyraźnie sugerowało, że obawia się, iż Megan planuje zjawić się zalana w sztok w połowie uroczystości.

- W naszym kościele?

- Metodystów - wyjaśnił Dave, jakby Megan mogła to wiedzieć. - Na Oak.

- W porządku, będę. Do zobaczenia jutro.

- Odprowadzę cię do drzwi. - Dave wstał. Nie miała pojęcia, co robił obecnie, czy się ożenił, czy miał dzieci. Kiedy go ostatnio widziała, zajmował się drobną dilerką ze swojego pokoju. Wziął ją pod rękę i zaprowadził do drzwi.

- Posłuchaj - zaczął, gdy wkładała buty. - Wiesz, że jutro będzie tam mnóstwo ludzi. No wiesz, przyjaciół rodziców.

- Tak? - Po raz pierwszy, odkąd przekroczyła ten próg, miała ochotę opuścić barierę. Z czystej ciekawości, naprawdę. Ale wspomnienie rozpaczy siostry Geralda i to, co wtedy poczuła, skutecznie zdusiło ten pomysł. Dave na pewno jest załamany po śmierci ojca, ona to przeczyta i... Nie.

- Więc... - Oczy Davida, niebieskie jak jej, otworzyły się szeroko. - Więc dobrze by było, gdybyś nie wywołała żadnej awantury. Może lepiej będzie, jeśli staniesz gdzieś z boku, z dala od ludzkich oczu... Wpatrywała się w niego. Dawniej, jako dzieci, byli sobie bliscy. Dzieliły ich tylko trzy lata. Teraz wydawało się, że jest ich z pięćdziesiąt.

- Jasne, Dave. Postaram się pamiętać, żeby nie sikać przed ołtarzem.

Wyszła, zanim na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia.

Pewnego dnia nauczy się ignorować wewnętrzny głosik, który namawiał, żeby wyluzowała.

Tym razem jednak go posłuchała i tym sposobem znalazła się w barze U Kelly, przy jednym stoliku z Cas-sie, Amy i Jen, trzema kobietami, które za czasów szkolnych miały dla niej tylko gorzkie słowa, a teraz zachowywały się tak, jakby fakt, że chodziły do tego samego

liceum, łączył je co najmniej tak, jak wspólna walka w Wietnamie.

Co, według Megan, było odpowiednią analogią.

Nie mogła jednak obwiniać wyłącznie głosu w głowie. Naprawdę miała ochotę na drinka i chciała popatrzeć na cokolwiek, byle nie na ponure meble w pokoju motelowym. Do tego jeszcze Rocturnus spędzał ten wieczór w domu jej matki - jakkolwiek by było, miał tam cierpienia pod dostatkiem.

Tutaj także. Ale może to nie cierpienie, może to tylko brud. Jeszcze nigdy nie była w równie obskurnym miejscu. Warstewka brudu zdawała się pokrywać wszystko i wszystkich. Nawet muzyka płynąca z wiekowej szafy grającej jawiła się zniekształcona, niewyraźna, jakby głośniki zatykała flegma.

Poruszyła się niespokojnie i uniosła piwo do ust. Jej towarzyski dzieliły się wspomnieniami, ale Megan nie miała z nimi nic wspólnego. Kiedy ustaliły, że nie zna żadnych celebrytów, nie ma męża ani dzieci, kompletnie przestały się nią interesować.

Nic dziwnego.

Przesunęła się, ponownie uniosła butelkę. To był błąd. Przestała słuchać paplaniny kobiet przy jej stoliku i zaczęły docierać do niej urywki rozmów nie tak przyjaznych. Miejscowi szybko się zorientowali, kim jest. Fizycznie wyczuwała na skórze ich podejrzliwość i urazę. Dziewiąta. Sklepy monopolowe już zamknięte, ale niedaleko była stacja benzynowa. Kupi piwo i napije się w pokoju hotelowym. Nawet sam na sam z myślami -o Geraldzie, o Greysonie, o jej rodzinie - będzie czuła się lepiej niż tu, gdzie przyciąga gniewne spojrzenia pijaków z Grant Falls niczym piorunochron.

- Muszę iść do ubikacji - rzuciła. Cassie, Amy i Jen zignorowały ją. Tyle, jeśli chodzi o wspomnienia.

Lepka podłoga kleiła się do stóp, gdy szła w stronę łazienki na tyłach pomieszczenia. Może jest tu jakieś inne wyjście, żeby nie musiała ponownie przepychać się przez tłum

Nie było. Z lustra patrzyła na nią blada, wymęczona twarz. Migotliwa żarówka nad poplamioną rdzą umywalką nie pomagała. Pomyślała o kobietach, które przychodzą tu poprawić makijaż, uczesać włosy. Co widzą, zerkając w lustro? Brzydotę swojej egzystencji?

Głupia myśl. Widzą to, co chcą zobaczyć.

Odwróciła się i otworzyła drzwi. Prawdopodobnie uda jej się przemknąć obok dziewczyn, a one nawet jej nie zauważą. Uznały, że jest im niepotrzebna, gdy się okazało, że nie pogadają z nią o rozpuszczonych dziedziczkach albo niegrzecznych dzieciach.

Kurczowo ściskając pasek torebki, wyszła z łazienki. Prosto pod wrogie spojrzenia. Popełniła błąd, przychodząc tu. Wyjście okazało się jeszcze gorsze.

Z pochyloną głową usiłowała przecisnąć się przez tłum, ale ciała ani drgnęły.

- Przepraszam - powiedziała, i znowu, głośniej. -Przepraszam, ja...

Kilka osób mrugnęło i się ruszyło. Tylko nieliczni. Megan podniosła głowę i zobaczyła demony, Yezer Ha-Ra, na każdym ramieniu, w każdym kącie.

Nie jej. Roc był u jej matki. Te należały do kogoś innego, może do Ktany Leyak, a może do zupełnie innego demona. Innego klanu. W mieście Meegra nie dzieliły ziemi terytorialnie, ale kto wie, jakie zasady obowiązują tutaj albo jv czyjej mocy znalazły się te osobiste demony.

Ktokolwiek to był, gotowa była się założyć, że nie jest nastawiony zbyt przychylnie.

- Nie chcemy tu morderców - odezwał się męski głos, niski i groźny, z tyłu tłumu.

Megan rzuciła okiem na Cassie i jej przyjaciółki. Odwróciły wzrok, jakby nie widziały, co się dzieje. Zawrzał w niej gniew. Dlaczego nie dadzą jej spokoju? Nikogo nie zabiła. Nie zabiła Harlana Troopera te kilkanaście lat temu. Wiedziała to i ona, i sędzia. Nawet nie postawiono jej zarzutów. Gdybym chciała, mogłabym zabić was wszystkich, pomyślała i przeżyła szok, gdy ta myśl nie wstrząsnęła nią, nie wystraszyła tak, jak powinna. Patrzyła na ich twarze, ponure, zarośnięte, lśniące od pijackiego potu. Moc w jej sercu nie podzielała na Ktanę Leyak, ale podzielała na nich, na tych nieszczęśników w roboczych buciorach, z piwnymi brzuszyskami. Wyobraziła sobie, jak te brzuszyska eksplodują. Widziała ich przerażenie, gdy dotarło do nich, że zadarli z niewłaściwym demonem, że...

Demonem?

Nie jest demonem. Jest człowiekiem. Nie jest demonem, nieważne, co jej sugerowała cząstka koła serca. Jest człowiekiem.

- Pan Maldon nie chce cię tutaj - wysyczał jeden z demonów. Odnalazła go wzrokiem. Większy niż pozostałe, przycupnął na oparciu kanapy. Pewnie tutejszy Rocturnus.

- W takim razie wyjdę - powiedziała głośno i wyraźnie do ludzi i demonów. Zebrała cały gniew, niech ją wypełni i da jej siłę, i przepchnęła się przez tłum do drzwi.

Przestała drżeć, gdy wyszła ze sklepu na stacji benzynowej z sześciopakami taniego piwa i kolorowymi pisemkami. Lekkimi, niewymagającymi wysiłku, z plotkami o ludziach, których nie znała, pełnymi kolorowych obrazków, na których się skoncentruje, usiłując się od-

przeżyć. Wszystko, byle zapomnieć o tym, co się dzieje, o śmierci ojca i chłodzie w oczach matki. Zapomnieć o sobie. Zastanowiła się, co poradziłaby pacjentowi^- w czasach, gdy jeszcze miała pacjentów -w takiej sytuacji, gdy groza istnienia i niepewność własnej tożsamości dławily jak zardzewiałe metalowe pręty. Powiedziałyby, żeby poszukali sobie hobby. Żeby znaleźli przyjaciół. Co za bzdury! Jezu, czy w ogóle kiedykolwiek komuś pomogła? Czy zrobiła w życiu choć jedną wartościową rzecz?

A kto jej pomoże? Demon, z którym czasem sypiała? Czarownica, z którą chodziła na zakupy? Czy dziennikarz o paranormalnych zdolnościach, który uważał, że przydałaby jej się spora dawka religii? Skreśliła w prawo, w stronę miasta.

## Rozdział 10

Nie spodziewała się, że drzwi będą zamknięte na klucz. Czyż kościoły nie powinny być otwarte przez cały czas?

Może wandalę stanowią problem nawet w tak małej miejscowości - nawet w umierającym mieście. A może właśnie kościołowi mogli najbardziej zaszkodzić, szalejąc z puszką farby, tłukąc szyby. Chyba nikt nie chce obserwować własnego upadku, widzieć, jak zakrada się coraz bliżej, pochłania ściany, budynki, i nic nie może tego zmienić.

Obeszła kościół dokoła, usiłowała otworzyć każde drzwi, które znalazła. Nic. Nigdy wcześniej tu nie była.

Najwyraźniej jej rodzice odnaleźli się w religii, gdy wyjechała - Diane i David chwałą Pana, kolejne zdjęcie na ścianie. Nie wiadomo tylko, ile w tym było autentycznej religijności, a ile wyrachowania. Do Kościoła metodystów należeli wszyscy ważni mieszkańcy Grant Falls, o ile dobrze pamiętała. W miasteczku był tylko jeden kościół cieszący się większą estymą - kościół Wszystkich Świętych, katolicki w każdym calu, poczynając od posągów Matki Boskiej po witraże przedstawiające Serce Jezusa, ledwie widoczne w mroku.

Brian był katolikiem. Brian był bardzo gorliwym katolikiem. Kiedyś powiedział jej, że ma swojego spowiednika, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem, mieć kapłana, z którym rozmawiasz regularnie o wszystkim, począwszy od kobiet, na paranormalnych umiejętnościach skończywszy. Właściwie chciała, by ktoś z nią porozmawiał. By popatrzył na nią bez nienawiści, bez osądu w oczach. I dlatego pomyślała o Brianie, o jego uporze, żeby postępować właściwie, i dlatego przyszła tutaj i napotkała zamknięte drzwi. Świetna metafora. Zachciało jej się śmiać.

- Czym mogę służyć?

Odwróciła się, zaskoczona, i zobaczyła mężczyznę. Za jego plecami płonęła latarnia.

- Ja... Ja właśnie...

- Usiłuję wejść do środka - dokończył za nią. Przesunął się tak, że widziała go wyraźniej. Ksiądz.

Koloratka jaśniała w ciemności.

- Chciałam z kimś porozmawiać - wyjaśniła. - I pomyślałam, że może tu...

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a w niej budziła się nadzieja. Przecież to ksiądz i jego pracą, nie, jego powołaniem jest pomagać ludziom, doradzać im, wskazywać drogę, prawda? I wierzyć - w Boga, demony i anio-

ły. Może wytłumaczy jej, dlaczego w kółko musi sobie powtarzać, że nie jest demonem? I dlaczego ciągle chce zachować w sobie człowieczeństwo, skoro ludzie tylko się wzajemnie krzywdzą i ranią?

- Trochę późno, nie uważa pani? - zapytał.

- Tak, ale... Pokręcił głową.

- Musi pani zadzwonić i umówić się, jeśli chce pani z kimś porozmawiać.

Mrugnęła, oczekując, że powie coś jeszcze, że się uśmiechnie, może zmieni zdanie. Ale on tylko stał w milczeniu.

- Przepraszam, ojciec - powiedziała. - Nie chciałam przeszkadzać, ja tylko... Ojciec, czy demony istnieją? - Mówiła szybko, gorączkowo. Chciała go jakoś zainteresować, zatrzymać, zmusić, żeby jej wysłuchał.

Ponownie pokręcił głową.

- Musi się pani porządnie wyspać, to wszystko - oznajmił. - Dobranoc. - Odwrócił się i odszedł. Nawet się nie obejrzał.

Megan odprowadzała go wzrokiem, z rozpaloną twarzą, świadoma, jak głupio teraz wygląda. Tyle, jeśli chodzi o ten pomysł. Nie ma pomocy, nie ma schronienia, jest tylko lodowaty wiatr hulający dokoła budynku, przenikający jej płaszcz.

Rozczarowanie trwało, póki nie wjechała na parking przy motelu; tam zastąpiło je inne uczucie, którego nie potrafiła określić, a które pojawiło się, gdy w świetle reflektorów zobaczyła dobrze znanego czarnego jaguara przed drzwiami swego pokoju.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Pragnęła go tu, chciała bardziej niż czegokolwiek innego w życiu, ale teraz, gdy już tu był... kręciła się



niespokojnie, nie mogła spojrzeć mu w oczy, myślała o tym, żeby się schować.

Nie było to jednak możliwe, kiedy Malleus, Malefi-carum i Spud praktycznie rzucili się na nią, tak bardzo chcieli okazać współczucie. Spud oczywiście nic nie mówił, tylko poklepał ją po plecach tak mocno, że zanosła się kaszlem, i popatrzył smutno. Minęło kilka minut, zanim zdołała się od nich uwolnić. Jeszcze jeden głęboki wdech i zmusiła się, by spojrzeć w oczy Greysona. Były nieprzeniknione, dalekie.

- Skąd... Skąd wiedziałeś, że tu jestem? Wzruszył ramionami.

- Zadzwonili do mnie.

- Kto?

- Miejscowi. Ach.

- PanMalton.

- Maldon, tak. Jego szef, Winston, zadzwonił do mnie.

Bracia co chwila spoglądali w ich stronę, jakby lada moment oczekiwali gwałtownej awantury albo dzikiego seksu. Albo jednego i drugiego.

- Dlaczego do ciebie zadzwonił? W sensie: dlaczego akurat do ciebie?

- Nie miał twojego numeru, a domyślał się, że ja go mam, Meg.

- Och.

Czuła na sobie jego spojrzenie, wyczuwała skrepowanie w powietrzu. Nie wiedział, czego chciała. A może wiedział i zastanawiał się tylko, czy chciała tego od niego.

Ona również nie wiedziała. Chciała, żeby ktoś ją objął. Całował, zapewniał, że świat to coś więcej niż ta przeklęta dziura i że dla niej też jest w nim miejsce, że tam na nią czekają.

Ale wzdrygała się na myśl, że obejmie ją i jednocześnie zerknie na zegarek. Albo cmoknie ją w policzek, bo wie, że tego od niego oczekuje. Chciała jego empatii, nie współczucia, a nie wiedziała, czy jest to uczucie mu znane, czy zechce się nim dzielić... czy zależy mu na niej do tego stopnia, że jej problemy stały się dla niego ważne.

Po raz pierwszy, odkąd pozwoliła mu zabrać się do domu, zapragnęła, by był kimś innym. Nie demonem. Nie kimś, kto obserwuje ludzkie dziwactwa z sardonicznym uśmiechem, bo go nie dotyczą, ale właśnie człowiekiem.

Wziął sześciopak i chipsy z jej ręki. Cisnął chipsy Maleficarum, piwo zatrzymał, a wolną dłonią złapał ją za rękę. Jej palce otoczył ogień.

- Chodźmy na spacer.

- Jest za zimno.

- Nie. - Ruszył przez parking, ciągnąc ją za sobą.

Przez chwilę szli w milczeniu zapuszczoną ulicą, minęli mizerny zagajnik, wyznaczający granice miasteczka. Uliczka prowadziła dalej, do serca Grant Falls, ale Megan się zatrzymała.

- Nie chcę tam iść.

- Czemu?

Uciekła wzrokiem, patrzyła na swoje buty, aż delikatnie uniósł jej podbródek i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

Cholera. Jej powieki zatrzepotały.

- Oni... Pamiętają mnie.

Milczał przez moment, analizował jej słowa.

- Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś? Wzruszyła ramionami. W głowie słyszała własny głos, uspokajała pacjenta, przemawiała z radia w ludzkich domach i samochodach: „Nigdy nie bój się rozmawiać o uczuciach. To wielka sztuka. Jeśli się na to

zdobędziesz, najbliżsi będą wiedzieć, co czujesz i odpowiednio zareagują". Bzdura.

- Domyślałam się, że ten cały Maldon, kimkolwiek jest, nie ucieszył się z mojej obecności. Wysłał swoich Yezer do baru, kiedy tam byłam, i...

- Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś, Meg?

- Byłaś w Nowym Jorku.

- Nie pomyślałaś, że wróciłbym? - Urwał. - A może nie chciałaś, żebym to zrobił?

Po raz kolejny wzruszyła ramionami.

- Byłaś na mnie wściekły.

- A ty na mnie. - Puścił jej brodę i usiadł na krawężniku. Szkło dźwięczało głośno w rześkim powietrzu, gdy wyjął dwie butelki z sześciopaku i otworzył je. Kapsle z brzękiem upadły na chodnik.

- Nadal jesteś?

Podłożyła sobie płaszcz, żeby chronił ją przed zimnem ciągnącym od chodnika.

- Nie. A ty?

- Nie. - Upił łyk piwa i skrzywił się.

- Nie mieli nic innego - poinformowała, uśmiechając się, jak jej się wydawało, po raz pierwszy od wielu dni.

- Nic dziwnego, że poszłaś do baru. Co się tam stało?

Powiedziała mu, najszybciej jak mogła, nie chcąc za dużo myśleć o ponurych twarzach i potężnych ciałach na jej drodze. Gdy doszła do chwili, w której pojawiły się demony, przerwał jej:

- Gdzie był Roc?

- W domu moich ro... mojej matki.

- Powinien być przy tobie. Zwłaszcza poza miastem.

- Ja... Nie miałam dzisiaj ochoty na jego towarzystwo.

Greyson skinął głową.

- Maldon nie jest zadowolony, że tu jesteś. Chce się z tobą spotkać.

- Do jaśnej...

- Tak, wiem. Usiłowałem wybić mu to z głowy, ale... szczerze mówiąc, *bryaela*, prawdopodobnie jest wkurzony ze względu na mnie. Nie przepada za mną.

- Czemu? I czy ja właściwie chcę to wiedzieć?

- Uwiodłem jego żonę. Zachłysnęła się piwem.

- Naprawdę? Skinął głową.

- Jakieś pięć lat temu. Przyjechali na spotkanie w interesach. Nudziło mi się.

- Dobrze, że znalazłeś sobie jakąś rozrywkę. Dlaczego tak bardzo kocha jego uśmiech? Mimo wszystkich myśli, które kłębiły się w jej głowie zaledwie dziesięć minut wcześniej - a zdawała sobie sprawę, że były bardzo prawdziwe - wystarczyło, że się tak do niej uśmiechał, a już się niczym nie przejmowała, nie licząc lekkiego, niemal niewyczuwalnego ukłucia zazdrości.

- W rzeczy samej.

- Domyślam się, że nie pójdziesz ze mną na spotkanie z tym facetem.

- Oczywiście, że pójdę.

- Ale skoro cię nienawidzi...

- Owszem, nienawidzi mnie. Ale wie również, że jestem potężniejszy od niego. A zatem ty także jesteś od niego silniejsza. Nie chcę, żeby o tym zapomniał.

- Dlaczego w ogóle muszę się z nim spotkać?

- Bo tego wymagają dobre maniery, zresztą masz tu dość na głowie, by się męczyć z jego demonami, śledzącymi każdy twój krok.

Westchnęła.

- Kiedy to zrobimy?
- A kiedy jest pogrzeb?
- Jutro. O jedenastej. Zerknął na zegarek.
- Może uda nam się jeszcze dzisiaj, jeśli nie, spróbujemy jutro rano.
- Musimy? W sensie: dzisiaj?
- Najlepiej mieć to z głowy. - Otworzył kolejne piwo. - A poza tym jest szansa, że ma w domu niezłą whisky.

Godzinę później przybyli do domu Maldona, nijakiego dwupoziomowego budynku. Megan, przyzwyczajona do domów ważnych demonów bogatych jak cesarskie pałace, miała wrażenie, że przybyła do piekła i zobaczyła odpust.

Nie żeby okazały Iureanliers w jakikolwiek sposób przypominał piekło, zwłaszcza że piekło podobno nie istnieje - jeszcze nie do końca poznała tę historię. Ale analogia przypadła jej do gustu, a Greyson wynagrodził ją kolejnym uśmiechem, gdy wyszeptała mu ją do ucha.

- A jednak Maldon ma pewną władzę, a jego zwierzchnikiem jest Winston Lawden z Caedes Fuil-tean - mruknął, gdy podeszli do strażników przed domem - więc postaraj się go nie wkurzyć, dobrze? Strażnicy o świńskich twarzach zareagowali na ich słowa cichymi chrząknięciami, ale chyba zrozumieli Greysona.

Stali na zewnątrz tak długo, aż Megan zaczęła myśleć, że nie zostaną wpuszczeni do środka. Nogi zdrętwiały jej z zimna - przebrała się w czarną sukienkę i żakiet, które planowała włożyć następnego dnia. Było jej zimno, była zmęczona i z każdą upływającą minutą rosło jej rozdrażnienie.

W końcu jeden z chrząkających strażników skinął głową i otworzył im drzwi na oścież. Greyson puścił ją przodem. Znaleźli się w bardzo zwyczajnym holu. Podświadomie Oczekiwała, że na schodach lada chwila pojawią się zwyczajne dzieciaki.

- Grey - rozległ się męski głos. - A to zapewne doktor Chase.

Megan z zasady nie zwracała uwagi na moc Greysona. Po prostu była, trwała w tle, podobnie jak jej siła. Przypomniła sobie jednak, jak poznała poprzedniego Gretneg jego Meegra, Templetona Blacka, i łatwość, z jaką energia emanowała z jego krępej postaci. Maldon dysponował tym samym rodzajem energii, ale Megan wiedziała od razu, że Greyson miał rację. Maldon nie był tak silny jak Templeton dawniej, jak Greyson teraz. Ta świadomość sprawiła, że z jednej strony zrobiło jej się go żal - naprawdę stanowiła dla niego zagrożenie - a drugiej - wzbudziła agresję. Za kogo on się, do cholery, uważa, że nasyla na nią swoich pachołków?

Zwłaszcza że wyglądał jak zabiedzony pies, miał brudne włosy w kolorze ciemnego blondu i pomarszczoną twarz. Jego całe ciało zdawało się zbyt wątłe, zbyt rozluźnione, by naprawdę istnieć, choć miała wrażenie, że gdy zechce, porusza się szybko i zwinnie. Jak fretka.

Greyson przewyższał go.

- Orion - powiedział i skinął głową. Ani jeden, ani drugi nie wyciągnął ręki.

Maldon rzucił na niego okiem i przeniósł wzrok na Megan. Jego oczy, jaskrawoniebieskie, zmierzyły ją od stóp do głów.

- A oto mała kobietka Greysona - oświadczył, głośno i wyraźnie. Jego głos nie pasował do drobnego ciała.

- To Gretneg klanu Io Adflicta - poprawił Greyson. - Nie jest moja.

- Nie to słyszałem. - Wyciągnął rękę, by dotknąć jej włosów, ale Megan, z szybkością, o którą się nie podejrzewała, złapała go za dłoń. Jego skóra była chłodna i gładka, twarda jak jabłko.

- Dotykanie stanowi część imprezy? - zapytała niewinnie. - Bo zazwyczaj nie pozwalam nieznajomym głaskać się po włosach.

Wargi Greysona drgnęły, ale nic nie powiedział. Oczy Maldona spochmurniały.

- A ja zazwyczaj nie pozwalam innym prowadzić interesów na moim terenie bez powitania mnie.

- Nie prowadzę żadnych interesów. Przyjechałam tylko na pogrzeb.

- Tak, wiem o twoim ojcu. A zatem tym ważniejsze, żebyś oddała należną mi część.

- Słucham?

- Pozwoliłem mu tu zostać, nawet gdy wyjechałaś. Po tym, jak zwyciężyłaś Oskarżyciela po raz pierwszy i przekazałaś mu twoje Yezery, z których część należała do mnie. Tym sposobem mnie okradłaś. Pozwoliłem twojemu ojcu prowadzić interesy, zachować dom, ale wszystko, co miał, zawdzięczał mnie.

- Daruj sobie, Orion - odezwał się Greyson. Jego gniew otarł się o jej skórę, cofnął się, ale ostra nuta w jego głosie wciąż rozbrzmiewała echem w jej piersi. -Doktor Chase nie jest ci nic winna. Przyszła tu, by przeprosić, że cię nie poinformowała o swoim przyjeździe. Zrobiła to. Koniec.

- Wiesz, że to nieprawda, Greyson. - Maldon przez dłuższą chwilę patrzył jej w oczy, a potem zamrugał, odwrócił się i kolejny raz stał się tylko małym żyłastym facecikiem, odrobinę niebezpiecznym, ale takim, którym nie warto się przejmować.

Megan lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, jak zwodnicze bywają pozory.

Pojawił się służący z tacą napojów. Megan wzięła drinka, tak jak Greyson, ale nie piła, póki on pierwszy tego nie zrobił.

- Właśnie miałem rozegrać partyjkę golfa - powiedział Maldon i wyciągnął rękę. Służący, albo może jeden z jego *rubenda*, podał mu płaszcz. - W ogrodzie. Zapraszam.

Greyson posłał jej spojrzenie, które zdawało się mówić: Jeśli chcesz, postawię się. Pokręciła głową. Demon ma ochotę zagrać w golfa w grudniową noc? Świetnie. Chciała, żeby był zadowolony i dał im spokój.

Część z jego Yezer? Czy zdrajcy wracali do niego, nie tylko do Ktany Leyak?

Chciała się dowiedzieć, więc szła za nim. Stopy grzęzły w jasnym dywanie. Greyson z otuchą położył jej dłoń na plecach.

Maldon nie żartował, mówiąc o golfie. Wybrał długi, wąski kij z półki przy drzwiach i wyszedł na zewnątrz, do zakątka, w którym pas sztucznej trawy zdawał się lśnić wśród brązowych badyli.

- To dziwaczne - szepnęła do Greysona. - Jak w *Alicji w Krainie Czarów*.

Skinał głowę, ale nie odrywał wzroku od drobnej postaci w obszernym płaszczu.

- *Bryaela*, nie zapominaj o Królowej.

- A zatem - zaczął Maldon, kiedy do niego doszli. - Co chcesz mi zaproponować?

- Ja... - Urwała, gdy Greyson lekko pokręcił głową. - Już powiedziałam. Przepraszam. W czwartek wyjeżdżam.

- To za mało. - Maldon patrzył, jak mała piłeczka toczy się po sztucznej trawie. Ominęła dołek. - Cholera!



- Po prostu powiedz nam, czego chcesz, Orion. - Greyson wydawał się znudzony, rozleniwiony, ale czuła napięcie w jego ramieniu.

Maldon rzucił na niego okiem.

- Co za szorstkość - mruknął. - Jakbyś to ty tu rządził. Jakby to była twoja ziemia.

Greyson nie odpowiedział.

- Jak myślisz, jaka jest odpowiednia cena za coś takiego, Greyson? Za najazd na czyjąś ziemię?

Cholera.

- To nie wszystko. Tej kobiety nie powinno tu być. Ukradła moje demony, a ja nie mogłem nic zrobić, bo związała je z Oskarżycielem. A teraz należą do niej. Zapłaci mi za nie. Gotówką.

- Dobrze.

Czy on oszalał? Nie miała pieniędzy, zwłaszcza teraz, gdy straciła gabinet. Jej zarobki w radiu nie były aż tak wysokie.

Nie wiedział, że już nie pracuje, przypomniała sobie. Nie miała kiedy mu powiedzieć.

- I zapłaci za wtargnięcie na mój teren.

- Przeprosiła.

- To za mało. - Patrzył na Megan, jego oczy lekko lśniły czerwienią w niewyraźnym świetle. - Zresztą mam na myśli inną formę zapłaty. Godzina w moim łóżku.

- W żadnym... - zaczęła, ale głos Greysona ciął jak ostrze noża.

- Chcesz ze mną walczyć, Orion? Chcesz zacząć wojnę, której nie możesz wygrać?

- To są moje warunki. - Ale spojrzenie Maldona słabło, w miarę jak mówił.

- Nie masz prawa stawiać takich żądań Gretneg i dobrze o tym wiesz. Za samą propozycję należy ci się kara.

Maldon spiorunował ich wzrokiem. Jego gniew kłębił się dokoła, atakował Megan, zaczepiał Greysona. Nie ustępowała, patrzyła śmiało. Na myśl o jego drobnych twardych dłoniach na jej ciele przeszedł ją dreszcz obrzydzenia.

- Dobrze - warknął. - Ale żądam krwi. Wiesz, że mogę.

Cisza. Megan chciała coś powiedzieć, biec, ale nadal tkwiła w bezruchu. Krew - *rubenda* Greysona pytał, czy może ją dostać. Ona także jej pragnęła...

- Możesz dostać moją - powiedział Greyson. Maldon się uśmiechnął.

- Nie. Jej. Twoją już piłem.

Greyson wziął ją pod rękę i odciągnął na bok, z dala od Maldona.

- Nie musisz tego robić - stwierdził. Światła z okien odbijały się w jego ciemnych oczach. - Możemy spróbować jeszcze bardziej go zastraszyć.

- Ale chcesz, żebym to zrobiła.

- Nie, do cholery, nie chcę tego. Ale on ma rację. Żąda wiele, ale ma do tego prawo.

Patrzyła na ziemię, na buty niknące w cieniu nóg.

- Czy on... dlaczego tego chce? Pomyślała, że już wie, i miała rację.

- To demon krwi. Tak się odżywia.

- O Boże. - Uniosła rękę od ust, bo szkocka podeszła jej do gardła. Oczyma wyobraźni już to widziała: ostry nóż, jej krew w srebrnej wazie i Orion Maldon unoszący ją do ust...

- Wybiję mu to z głowy - oświadczył Greyson. Odwrócił się, ale złapała go.

- Dotknie mnie?

- Nie pozwolę mu.

- Co robi, jeśli... jeśli się nie zgodzimy?

Westchnął.

- To zależy. Może sprawić, że będziemy tu stali przez całą noc - wiesz, żeby sprawić ci ból, wie, że zimno mi nie dokucza, i w końcu nas puścić. Albo nie da za wygraną i wtedy albo damy mu, czego chce, albo zwróci się do swojego szefa, który zwróci się do mnie i wtedy albo ustąpimy, albo czeka nas wojna klanów.

- Nie wygląda mi na ustępliwego typu.

- Raczej nie.

Zamrugła, żeby powstrzymać łzy.

- Dobrze - powiedziała. - Ale najpierw muszę się jeszcze napić.

## Rozdział II

To przynajmniej wyglądało jak kryjówka demona. Szkarłatne ściany piwnicy Oriona Maldona mieniły się płomienną czerwienią, by przejść w głęboki odcień krwi.

Najdziwniejsze, że te kolory i ciężkie połączane meble działały na Megan kojąco. Dziwnie byłoby składać ofiarę krwi w beżowym saloniku przed plazmowym telewizorem. Piwnica przypominała plan filmowy. Zaraz rozpocznie się kolejny dzień zdjęciowy w jej biografii, której scenariusz z godziny na godzinę stawał się coraz dziwniejszy.

Podbudowana kilkoma drinkami, pozwoliła zaprowadzić się Greysonowi do kąta i usadzić w zadziwiająco wygodnym fotelu. Ledwie opadła na oparcie, Maldon podszedł bliżej, niosąc groźnie wyglądający nóż.

- Poprosiłeś o krew i dostaniesz ją - odezwał się Greyson. Stał przed nią, zasłonił ją sobą. - Nie prosiłeś o prawo nacięcia.

- To się rozumie samo przez się.

- Nie było o tym mowy.

Przez chwilę panowała cisza. Megan wyobraziła sobie mężczyzn mierzących się wzrokiem. W końcu Maldon cofnął się i cisnął nożem w przód.

Megan jęknęła, ale Greyson złapał go błyskawicznym ruchem.

- Spokojnie - mruknął i odwrócił się w jej stronę. Spięła się cała, gdy ukląkł na czarnych kafelkach podłogi.

- Daj rękę.

To nie myśl o bólu ją niepokoiła. Ból wytrzyma, zwłaszcza że i tak potrwa pewnie tylko chwilę.

Greyson świetnie leczył, a nie przypuszczała, że pozwoli jej paradować przez dom pełen demonów krwi z otwartą raną. Przynajmniej sądziła, że to demony krwi.

Ale przecież sądziła też, że w Meegra Greysona są same demony ognia, a chyba się myliła.

Nigdy o to nie pytała. Nigdy nie pytała o wiele rzeczy i lekceważyła lekcje, których mimochodem udzielał jej Greyson. A teraz odbijało jej się to czkawką - czy raczej wrzynało się ostrzem w jej rękę.

Nie, to nie myśl o skaleczeniu przyprawiała ją o szybsze bicie serca, tylko myśl o krwawieniu. To wspomnienie steku, który jej wydawał się zbyt wysmażony, a był idealny, i wspomnienie krwi

Greysona na białej marmurowej posadzce. Megan miała ochotę zlizać jego krew i opamiętała się w ostatniej chwili.

Gdyby go o to zapytała, prawdopodobnie wiedziałby, co się z nią dzieje.

Tylko że sama przed sobą nie mogła się przyznać, że coś się dzieje, i póki nie będzie gotowa, zachowa to w sekrecie.

Przyglądał się jej badawczo.

- Wszystko w porządku? Skinęła głową.

Zamiast wazy, jak się spodziewała, Maldon postawił obok Greysona zwykły kryształowy kieliszek do wina i zawołał donośnym głosem:

- *Krenagr hin alishta caercaeris.*

Greyson spochmurniał, gdy na schodach rozległy się kroki. Spiorunował Maldona wzrokiem.

- Nie wolno ci się dzielić.

- Mogę się dzielić chwilą - odparł. - I mieć świadków.

- Co? - zaczęła, pochylając się do przodu, ale Greyson pokręcił głową.

- Miejmy to już za sobą.

Megan nie miała pojęcia, gdzie w tym domu mieszkały te wszystkie demony, ale w kilka sekund piwnica z podziemnej świątyni stała się wyuzdaną salą konferencyjną, pełną demonów w różnych stanach negliżu. Niektórzy nosili wysokie fryzury w stylu madame Pompadour - nauczyła się już, że zazwyczaj chowają w nich rogi. Inni, jak Greyson, mieli *sgaegas* na plecach, jeszcze inni - po trzy sutki albo dziwne kościste narośle na barkach. Wszyscy wydawali się bardzo z siebie zadowoleni. Pot spływał jej po plecach.

Greyson uniósł jej lewą rękę i przyglądał się przez chwilę. Megan zamknęła oczy. Najlepiej nie patrzeć. Wystarczy, że dopadają ją wampiryczne odruchy, ilekroć widzi krew kogoś, z kim dzieli inne płyny ustrojowe, ale żeby czuć coś takiego na widok własnej krwi... byłoby to co najmniej dziwne.

W przeciwieństwie do wszystkiego innego w tej sytuacji, która była najnormalniejsza pod słońcem, pominąwszy piwnicę, pochodnie, meble, nóż, demony i kielich. Zwykły małomiasteczkowy wieczór w zwykłej małej miejscowości.

Którą prawdopodobnie rządzi Orion Maldon, który jakoby znał jej ojca...

Dotyk warg Greysona na jej dłoni zdławił tę myśl, zanim zdążyła na dobre się uformować. Gest był zaborczy, romantyczny, ale lodowata nuta gniewu i atmosfera wyczekiwania w pokoju mówiły jej, że coś jest nie tak.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Coś zaszeleściło. Palce Greysona zacisnęły się na jej dłoni, a ostrze wrzynało się tak szybko, że nie zdawała sobie z tego sprawy, póki nie usłyszała brzęku noża na posadzce i nie poczuła krwi spływającej po ręce.

Odwrócił jej nadgarstek i przytknął kielich do rany. Szkło było zimne, kojące. Po chwili poczuła szczypanie, ale zaraz Greyson odsunął kielich i wsunął jej w dłoń coś miękkiego. Jej palce zacisnęły się mocniej, niż się tego spodziewała.

Uniosła powieki, mrużąc oczy, wpatrywała się w ciemność, przerażona, że zobaczy zbyt wiele. W dłoni ścisnęła chustkę Greysona. Zgięła łokieć, ignorując ból, który promieniował z rany, docisnęła ją drugą dłonią. Opanowana w sytuacji kryzysowej, tak jest. Zerknęła na Greysona, liczyła na uśmiech, spojrzenie, wsparcie, ale odwrócił się, wpatrzony w podłogę.

Po jej prawej stronie Maldon podniósł kielich - teraz w jednej czwartej pełen jej krwi.

- *Caercaeris bochylem!*

Nie, nie chciała tego widzieć. Znowu zamknęła oczy. Za jej powiekami tańczyły wielkie fale czerwieni i czerni. Gorąco ciała Greysona muskało jej nogi, ale nie dotknął

jej, zostawił ją samą w tej sytuacji. Zazwyczaj to wystarczyło, nie chciała okazywać przy nim słabości. Ale teraz było inaczej. Wyciągnęła zranioną rękę i szukała go, aż w końcu jego palce zamknęły się wokół jej dłoni tak mocno, aż zabolęło.

Poruszył się, zapach jego wody kolońskiej i dymny aromat skóry wypełniły jej nozdrza. Musnął ustami jej ucho. Czuła na sobie jego głos i energię, chłodne, kojące.

- Chodźmy stąd, Meg. - Pomógł jej wstać. - Idziemy. Już po wszystkim.

- Chciałam zapytać go o...

- Innym razem.

O ile będzie inny raz. Nie chciała tu wracać.

- Daj spokój, Grey, chyba nie musicie się tak spieszyć?

Megan otworzyła oczy. Maldon uśmiechał się, kurczowo ścisnął pusty kielich. Jezu, czyżby wylizał go do czysta?

- Dostałeś, czego chciałeś, Orion.

- O tak. Dostałem, czego chciałem. Jego śmiech towarzyszył im do drzwi.

Jej wyleczona ręka wciąż trochę drżała, drażniło swędzenie pod skórą, którego nie mogła podrapać. Leżała w łóżku, oparta o pierś Greysona, otoczona jego silnymi ramionami. Za oknem rysowały się rogate sylwetki Malleusa, Maleficarum i Spuda.

Jej ojciec nie żyje.

Zabawne, ta prawda dotarła do niej dopiero teraz, gdy myślała o kolejnym dniu. Nie byli ze sobą blisko.

Ale w tamtych dawno zapomnianych latach wczesnego dzieciństwa był kimś wyjątkowym. Zabierał ją na długie wycieczki samochodem. Sadzał ją sobie na ramionach, żeby widziała paradę z okazji czwartego lipca. Ku-

pował lody i cukierki, uśmiechał się. Nazywał ją swoją dziewczynką.

Myślała, że już dawno opłakała te lata, ale wydawało się, że ctfś z nich wciąż zostało w jej sercu. Ciemna tapeta, pożółkła od tytoniowego dymu, rozmywała się we łzach, gardło ścisnął ból. Kiedyś była kochaną córką. Kiedy to się zmieniło? Od kiedy stała się przedmiotem wstydu, który trzeba ukryć?

Nie wtedy, gdy zmarł Harlan Trooper. Zaczęło się już przedtem. Cały czas miała wrażenie, że gdy to zrozumie, pojmie coś bardzo ważnego. Coś, co dotyczyło jej obecności tu i teraz, co tłumaczyło, dlaczego przenikało ją zimno mimo ciepłych ramion Greysona.

Zastanawiała się, czy pierwsza się poddała. Czy rodzice odwrócili się od niej, bo oddalała się od nich, uciekała w świat, w którym emocje innych nie barwiły jej myśli, gdzie czyjś dotyk nie przynosił dziwnych wizji, a to dlatego, że nie było kogo dotykać. Czy nadal się ukrywa? Została terapeutką. Pomagała ludziom, wyciągała do nich pomocną dłoń, łagodziła ich ból.

Ale to oznaczało także izolowanie się od innych, wyłączanie ich życia, ledwie wyszli z gabinetu, i samotność do kolejnej sesji.

To oznaczało pocieszanie się myślą, że jest dobrym człowiekiem, bo pomaga innym, nie jest zimna, martwi się o nich. Dzięki temu mogła się nie angażować.

Greyson zapytał ją kiedyś, dlaczego robi to, co robi, choć wie lepiej niż ktokolwiek inny, jak okrutni i niehumanitarni są w głębi serca ludzie.

Nie miała pojęcia, czy nadal zna dobrą odpowiedź, bo nie wiedziała, czy wybierając zawód, naprawdę kierowała się altruistycznymi pobudkami, jak sobie wyobrażała. Jeśli to drugie małe serce, ta odrobina Oskarżyciela, spoczywało w jej piersi przez piętnaście lat...



Może od pierwszego dnia pracy żywiła się cierpieniem pacjentów?

Może jest zła. Tak bardzo zła, że nawet rodzice nie mogli jej kochać? Zadrzała.

Ramiona Greyson zacisnęły się wokół niej.

- Co jest? - szepnął.

- Myślałam, że śpisz.

- Spałem. Przeważnie.

To nie było pytanie, które mogła zadać, nie teraz, gdy bracia są tak blisko. Już otwierała usta, by powiedzieć, że to nic takiego, ale zapytała: - Czym ty się odżywasz?

Nie poruszył się, nie zmienił pozycji, co samo w sobie mówiło jej, że zaskoczyła go tym pytaniem.

- Jak to?

- Słyszałeś.

- Ale ja jako ja czy demony ognia jako takie?

- Jedno i drugie.

- Wielu z nas pali.

- Ale ty nie. Nieczęsto. - Wiedziała, że robi to czasami, ale zazwyczaj nie przy niej, choć nigdy nie przyszło jej do głowy, że robi to... no cóż, dla zdrowia. Gdyby nie była tak zdenerwowana, ta myśl rozbawiłaby ją.

- Nie, zazwyczaj nie. To zbyt oczywiste.

- Więc jak... jak to działa?

- Chodzi o energię. - Uniósł się, zerknął na braci. Nie poruszyli się. - Niektóre rzeczy mają jej więcej niż inne, ale wszyscy musimy z niej korzystać. Takie jakby kalorie mocy.

- Więc wcześniej, Maldon... chciał energii czy krwi? To znaczy, demony krwi żywią się tylko krwią czy też czerpią energię z innych źródeł? - Chciał krwi.

- Bo jest demonem krwi? Czy...

- Demony krwi lubią krew. Zignorowała brak intonacji w jego głosie.

- Tamtego wieczoru, gdy cię postrzelili, jeden z twoich demonów... On jest demonem krwi? Bo prosił o twoją krew, pamiętasz?

Zawahał się.

- Niektóre demony uważają, że to zaszczyt skosztować krwi innego demona. Honor. Intymność. Wtedy wszystkie kawałki łamigłówek trafiły na miejsce. To, że nie chciał na nią patrzeć, jego napięcie, jego gniew - wydawało jej się, że przesadza, że wyolbrzymia całą sprawę, zwłaszcza w świecie demonów.

- Wziął ode mnie coś bardzo intymnego - szepnęła. Odwróciła się tak, by go widzieć. Nie odpowiedział, więc mówiła dalej: - Coś, czego ty nigdy nie dostałeś.

Cisza się przeciągała, była niewygodna i szorstka, aż w końcu szepnął:

- Tak.

- Czy chcesz, to znaczy...

- Panno Chase, czy pani próbuje mnie uwieść? - Uśmiechnął się, ale jej uwagi nie uszedł czerwony błysk w jego oczach. - Nie obawiaj się, Meg. - To nie jest konieczne. Nie myślę o tym.

Do tej pory nigdy naprawdę jej nie okłamał. Nie miała pojęcia, czy właśnie nie zaczął.

Letnia woda w prysznicu nie wpłynęła pozytywnie na poprawę jej nastroju, podobnie jak złośliwe komentarze Greysona o jakości pokoju i duszny zaduch po fastfoodowym śniadaniu braci. Chciała, by najbliższe dni minęły jak najszybciej i żeby mogła wreszcie wrócić do domu.

Dobrze chociaż, że zabrała własne przybory toaletowe i jeszcze lepiej, że Spud już czekał z suszarką

**127**

i szczotką, gdy wyszła z obskurnej łazienki. Nawet jeśli jest wyrzutkiem, nie musi tak wyglądać. Megan nigdy nie uważała się za osobę próżną, nie wierzyła w siłę pozorów. A jednak odczuwała satysfakcję. Z wyjątkiem Malleusa, Maleficarum i Spuda, którzy zawsze wyglądali, jakby lada chwila mieli czyścić paznokcie ostrzem noża, wszyscy żałobnicy będą bardzo eleganccy. To ona była najbrzydsza w rodzinie.

Innego dnia ta myśl przywołałaby uśmiech na jej twarzy, ale nie dziś, gdy wspomnienia poprzedniego wieczoru i jej mieszanych uczuć ciążyły jej jak zwierzęce truchła na wystawie u rzeźnika. Z poważną miną wpatrywała się w swoje odbicie, gdy Spud ją czesał, i marzyła, by być gdzie indziej, gdziekolwiek. Żeby już było tydzień później... ze zdumieniem uświadomiła sobie, że to będzie drugi dzień świąt i będzie w lasach, sam na sam z Greysonem. Będą sączyć drinki i wpatrywać się w płomień na kominku.

Uchwyciła się tej wizji, skupiła na niej, wracała do niej, wkładając sukienkę i buty i potem, gdy usiadła na skraju łóżka i patrzyła, jak Gryson się goli. Wracała do niej, gdy jechali do kościoła, a bracia podążali za nimi jej samochodem.

Biały krzyż na szarym zimowym niebie przypomniawszy jej upokarzającą przygodę w kościele Wszystkich Świętych poprzedniej nocy. Wydawało jej się, że od tamtej chwili minęły lata, ale chyba nigdy nie zapomni widoku księdza, który odwrócił się do niej plecami. I dobrze. W ostrym świetle dnia nie pojmowała, co chciała osiągnąć. Gdyby Bóg naprawdę sprawował władzę nad demonami, jej towarzysze nie szykowaliby się do wejścia do kościoła metodystów.

Gdyby Bóg naprawdę sprawował władzę nad demonami, ona także nie mogłaby tu wejść. To było głupie,

taka dziecinna potrzeba wsparcia, a jeśli życie ją czegoś nauczyło, to tego, że szukanie pomocy u innych nie przynosi efektów.

Rozejrzała się za matką i bratem, ale nie widziała ich. Za to napotkała spojrzenia, jak jej się zdawało, setek par oczu. Przyciągała je jak magnes opiłki żelaza. Znajome twarze krzywiły się z dezaprobatą. Kurczowo trzymała Greysona za rękę. Oparła się plecami o samochód i pozwoliła, by bracia otoczyli ich ciasnym półkolem.

- Chcesz wejść czy poczekamy? - Greyson musnął ustami czubek jej głowy. - Czy wsiadamy do samochodu i jedziemy do domu?

- Nie kuś mnie - odpowiedziała drżącym głosem. - Poczekajmy kilka minut. Chciałabym, żeby Brian i Tera weszli z nami.

Lekko uściśnął jej dłoń i wróciła wzrokiem do tłumu żałobników. W jej piersi zrodził się znajomy gniew. Jak mogą patrzeć na nią z dezaprobatą? Jak mogą ją osądzać? To pogrzeb jej ojca, do cholery. Ma prawo tu być.

Słońce przebiło się przez chmury i choć blade, stanowiło przyjemny widok. Megan wyjęła okulary przeciwsłoneczne z torebki, włożyła je i właśnie wtedy na zatłoczony parking wjechał samochód Briana.

Zaparkował i po chwili wraz z Terą zmierzał w ich stronę, ale nawet z daleka Megan widziała napięcie i gniew na twarzy przyjaciółki. Choć się przyjaźnią, Tera miała w sobie tyle empatii co pajak; dlaczego tak bardzo złości ją pogrzeb?

Czarowjice były niemal równie nieczytelne, jak demony, ale Megan nie potrzebowała swoich umiejętności - choć ostatnio rzadko z nich korzystała - by wyczuć gniew Tery. Widziała go w każdym zeszytniałym mięśniu przyjaciółki, gdy ta objęła ją i skinęła głową

pozostałym. Odezwała się, dopiero gdy Brian cmoknął Megan w policzek.

- Dwie z moich czarownic zginęły wczorajszej nocy, Greyson. Wiesz coś o tym?

## Rozdział 12

### **Słucham?**

- Nie udawaj, wiesz dobrze, o co mi chodzi.

- Skąd ci przyszło do głowy...

- To byli nocni strażnicy Templetona Blacka, Grey. Nie żyją, i to mi wygląda na zabójstwo z rąk demonów. Ich... - Tera przełknęła. - Ich ciała zostały okaleczone.

Greyson wzruszył ramionami.

- Też mi wielka strata do świata.

- Zaczekaj chwilę. Strażnicy Blacka? A czy oni... Greyson nie musiał boleśnie ścisnąć jej za rękę, by przestała mówić. Kościół i żałobnicy zniknęli, za to wróciła zimna ulica i Ktana Leyak, która wyrzywa serce z piersi czarownicy. Megan i Brian wymienili zmartwione spojrzenia.

- Pani, powinniśmy już wejść - powiedział Malefi-carum, przestępując z nogi na nogę. Wskazał kościół. Na parkingu zostało już niewiele osób.

Tera spojrzała na kościół i na nich.

- Jeszcze nie skończyliśmy tej rozmowy.

- Ależ oczywiście. W przeciwnym wypadku Megan gotowa byłaby pomyśleć, że obchodzi nas jej żałoba - stwierdził ironicznie Greyson.

Tera go zignorowała.

- Chodźmy.

Razem pokonali schody i weszli do kościoła przez szerokie, wyczyszczone do połysku dwuskrzydłowe drzwi. Megah jęknęła.

Mniej więcej połowę ławek zajmowali żałobnicy; od tyłu w ciemnych ubraniach wyglądali jak grube wrony na żerdzi. Jednak ledwie ich zauważyła. Powędrowała spojrzeniem w górę, na chór, i do ozdobnych kolumn ciągnących się wzdłuż budynku.

Wszystkie nikły pod mnóstwem demonów. Jej demonów. Kucały na poręczach, czepiały się ścian, a barwne plamy świateł z witraży ślizgały się po ich skórze. Przybyły wesprzeć ją na pogrzebie ojca. Łzy szczypały ją w oczy. Poczowała się jak dziecko, gdy schyliła głowę i ukryła za rękawem Greysona, by się nie rozpłakać. Yezer nie wiedzą, co to miłość, ich gniew z powodu niedawnych zbrodni wynikał raczej z niepokoju o własny los niż ze smutku. A zatem nie przybyły tu z miłości, lecz z szacunku. Jakimś cudem to znaczyło dla niej równie wiele. A nawet więcej.

Chyba że przybyły po prostu dlatego, że pogrzeb to doskonała okazja, by najeść się do syta, Co było bardzo prawdopodobne. Wolała jednak wierzyć w wersję z szacunkiem.

- Musimy usiąść - mruknął do niej Brian i nagle zdała sobie sprawę, że ludzie zaczynają się odwracać i patrzeć na nich - a zatem działa się to, do czego obiecała nie dopuścić.

Bezpieczna w ławce między dwoma mężczyznami, ponownie spojrzała na małe demony i nieznacznie skinęła głową w nadziei, że widzą jej wdzięczność. Chyba widziały. Odpowiedziały skinieniem, niemal jednocześnie, w doskonałej choreografii, którą dostrzegła tylko ona.

- Nie chcesz usiąść z przodu? - zapytał Brian. Zabawne, że ze wszystkich jej towarzyszy on wydawał się czuć najbardziej nieswojo. Demony i czarownica siedzieli spokojnie, wpatrzeni przed siebie, jak dzieci w bardzo okazałej sali lekcyjnej, ale Brian wiercił się i rozglądał niespokojnie. No tak. To nie kwestia religii; wyczuwał jej demony.

- Matka kazała mi zachować dyskrecję - poinformowała, nawet nie starając się ukryć goryczy. - No i są tu moje demony.

Odprężył się wyraźnie.

- Dzięki, że mi powiedziałaś. Zastanawiałem się już, dlaczego tak dziwnie się czuję.

- Nie pomyślałaś, że to bluźnierstwo być w protestanckim kościele?

- Uznałem, że skoro grom mnie nie poraził, ledwie przekroczyłem próg, mam szansę.

Gdyby pastor nie podszedł w tym momencie do ołtarza, Megan prawdopodobnie roześmiałaby się w głos, ale teraz tylko uśmiechnęła się łagodnie. Greyson trzymał ją za prawą dłoń. Brian wziął lewą.

Ujęło ją to.

- David był księgowym, znanym niemal wszystkim. Dobry mąż i ojciec, osierocił ukochaną żonę Diane i syna Davida Juniora, który przejmie jego firmę i miejsce w radzie miejskiej. Wszyscy wiemy, ile dobrego zrobiła dla naszego miasta należąca do niego spółka - ufundowała nowe ławki w parku, sponsorowała szkołę, pomagała utrzymać ulice w czystości. David miał również córkę Megan.

Znałem Davida jako dobrego człowieka, zawsze gotowego pomagać innym...

Megan wiedziała, że nie powinna oczekiwać niczego więcej, ale i tak poczuła się, jakby ktoś uderzył ją w serce. Jej oczy szczypały. Ręka Briana zacisnęła się na jej dłoni.

Greyson ani drgnął. Zerknęła na niego. Z jego twarzy nie dało się niczego wyczytać. Czy on w ogóle słuchał?

Odwróciła się, chcąc się przekonać, czy droga odwrotu jest wolna. Nie do końca. W kościele nie było tłumu, ale Orion Maldon stał przy samych drzwiach. Pochwycił jej spojrzenie i się uśmiechnął.

Wróciła wzrokiem przed siebie. Pastor ustępował na mównicę miejsca jej bratu. Świetnie. Jeśli na coś nie miała teraz ochoty, to na słuchanie tego, co miał do powiedzenia David.

- Te czarownice były strażniczkami Templetona? -szepnęła do Greysona.

- Hm... Tak. Myślę, że ruszyły za tobą w poniedziałek, kiedy majstrowałaś przy ich samochodzie...

- Nie majstrowałam, ale tak. I K... zabiła je. - Megan rzuciła okiem na Briana i Terę, ale oboje patrzyli prosto przed siebie.

- ...najlepszy ojciec, jakiego mógłbym sobie wymarzyć. Zawsze mogłem na niego liczyć...

Greyson skinął głową i objął ją ramieniem. Przyciągnął ją do siebie, by mogli dalej rozmawiać:

- Nie martw się tym.

- Jak mogę się nie martwić? Tera myśli, że to ty.

- Tera może sobie myśleć, co chce, ale bez dowodów niewiele zdoła. Przypominam ci, że tamtej nocy nawet nie było mnie w mieście. Poza tym jestem zbyt rozsądny, by zadzierać z czarownicami i ona o tym wie.

- Powiedzieć jej, co się stało? Brian potwierdzi...

- Dobry Boże, nie! Oszalałaś? To nie jej sprawa. W końcu znudzi się węszeniem i ponownie zajmie się tym, co robi zwykle.

- A jeśli nie?

- Nie masz teraz innych rzeczy na głowie?



- .. .gdy miałem jedenaście lat, pomógł mi zbudować tekturowy samochód wyścigowy na harcerskie zawody...

Usiłowała nie słuchać Davida.

- Jak na przykład to, że teraz wszyscy wstydzą się nawet wypowiedzieć moje imię?

- A spodziewałaś się czegoś innego? Au.

- Nie, mam na myśli Maldona tam w kącie. Poruszyła się niespokojnie, nie chciała patrzeć na Maldona, ale czuła na sobie jego wzrok, podczas gdy jej brat nadal perorował.

- Przyszedł, żeby mnie... nas... zirytować?

- Nie sądzę, nie.

- Więc dlaczego? Greyson się zawahał.

- Uważam, że nie kłamał w sprawie twojego ojca. Myślę, że się znali.

- Najwyraźniej znała go większość ludzi: rada miejska, firma księgową... - Kolejny nagły przyływ goryczy, zimny i ostry w klatce piersiowej.

- ...aż w końcu dostałem się na studia, a on i mama wspierali mnie na każdym kroku...

- Czy to nie wydaje ci się dziwne? Ledwie mogą na ciebie patrzeć, a twój ojciec został filarem tutejszej społeczności. Ty poszłaś wczoraj do baru i spotkały cię pogróżki, a on kupował ławki i prowadził parady.

- To nie on...

- Przestań bawić się w męczennicę i pomyśl, kochanie. Co takiego mogło się zdarzyć, kto jest wystarczająco potężny, by pomóc twojemu ojcu utrzymać się na powierzchni i zrobić karierę, podczas gdy ty tracisz rozum? Czyj wpływ wchodzi w grę?

Hm.

- Mój ojciec zawarł umowę z Maldonem?

**129**

- Na to wygląda.

- ...stanowisko w firmie już na mnie czekało. Moje imię widniało na drzwiach, zanim tam dotarłem - to był prezent dla'mnie.

- Czyli później musimy tam pójść i to potwierdzić.

- Moja dziewczynka. - Pocałował jej dłoń i spojrzał przed siebie. - Czy twój brat kiedykolwiek trzyma buzię na kłódkę?

Roześmiała się, zanim dążyła się opanować, wyrwał jej się krótki, głośny śmiech. Głowy zwróciły się w ich kierunku.

- Cholera.

- Co?

- Jak sądzisz? Oto ja, Megan morderczy ghul, chichocząca na pogrzebie własnego ojca. Teraz on się roześmiał, na szczęście bardziej dyskretnie niż ona.

- A co cię obchodzi, co sobie pomyślą?

- Moja matka...

- To suka. Jest suką. *Bryaela*, nie potrzebujesz ich. Niech sobie myślą, co chcą.

Słowa spływały w nią i przez nią, była w nich iskra prawdy, której do tej pory nie umiała zaakceptować. Miał całkowitą rację. To, co o niej myślą mieszkańcy Grant Falls było dla niej równie ważne, jak to, kto wygra *American Idol*.

Nie powinno tak być, ale jednak. Czy jest aż tak miękka? Gniew wezbrał w jej klatce piersiowej, płynął do mózgu, ale nie wiedziała, czy jest wściekła na siebie, czy na nich. Czy może na ojca, który dla niej z pewnością nie był najlepszym ojcem, jakiego mała dziewczynka może sobie wymarzyć.

Dave w końcu ustąpił miejsca komuś innemu. Megan z trudem poznała twarz i głos. Bill Ryan, kumpel ojca

od golfa. Jak przez mgłę przypomniła sobie mężczyzn rozmawiających o sporcie i sączących drinki na podwórku, a potem była nastolatką i wynieśli się z alkoholem gdzie indziej. Po Billu przemawiało jeszcze kilka osób, aż wreszcie na mównicę wrócił pastor. Megan chciała słuchać. Miała wrażenie, że jest na pogrzebie nieznanego, kogoś, kogo nigdy naprawdę nie знаła, i zastanawiała się, czy może odnajdzie go w ich słowach.

Ale cichy głos w jej głowie, głos, który brzmiał podejrzenie podobnie do głosu Greysona, nie pozwalał na to. Jakże to ma znaczenie? Ten człowiek nie żyje. Nigdy nie był dla niej prawdziwym ojcem, a teraz odszedł. Niby dlaczego miałyby go poznawać, skoro on nigdy nie zadał sobie trudu, by poznać ją?

Mężczyzna, którego dzisiaj chowali, dla niej umarł przed trzynastu laty, gdy wyjeżdżała na studia. Nie, jeszcze wcześniej. Wyjazd do college'u to już był ostatni etap czegoś, co skończyło się dawno temu, więc jakie to ma znaczenie.

A jednak. Powinna być smutna. Powinna być wzruszona.

A ona była znudzona. I ta myśl, bardziej niż cokolwiek innego, sprawiła, że jej oczy zaszczyły łzami. Greyson odwrócił się i szepnął coś do Malleusa, który wstał i ruszył do wyjścia. Pewnie ma ich umówić z Orionem.

Szelesty i szmery sugerowały, że wstają wszyscy w kościele. Czy już po nabożeństwie?

Nie. Żałobnicy ustawiali się w przejściu, czekając na swoją kolej, by się pożegnać ze zmarłym.

Megan poczuła nagle napięcie. Czy ona też ma podejść? Jeśli to zrobi, wszyscy będą się na nią gapić, ale jeśli nie, będą się zastanawiać, czemu tego nie zrobiła, i gapić jeszcze bardziej.

- Naprawdę masz tam podejść i gapić się na trupa? -szepnęła Tera. - Czy to nie jest dziwne?
- To... Powinno się odmówić modlitwę czy coś takiego - powiedziała Megan.
- Ale nie umieszczacie niczego w trumnie? Nie dotykacie go?
- No... Z zasady chyba nie. Tera przewróciła oczami.
- Zwyczajni ludzie są przedziwni.

Kilka osób spojrzało na nią, gdy to mówiła. Megan zagryzła wargi, żeby się nie roześmiać, poczuła przypływ sympatii do przyjaciółki. Słowa Tery w połączeniu z wcześniejszą uwagą Greysona, że nie potrzebuje tych ludzi, nagle nabrały mocy, poczuła, jak z jej serca spada ciężar, z którego istnienia nie zdawała sobie sprawy. Nadal była smutna, zła i przerażona, ale miała przy sobie kogoś, komu na niej zależy.

To nie wszystko. Nabożeństwo dobiegło końca, najgorsze było już za nią, jej ostatni występ publiczny w Grant Falls zaraz się skończy. Zakręciło jej się w głowie z ulgi, serce wezbrało ciepłem, wzrok nabrał ostrości.

Kościół opustoszał, a Megan siedziała i rozkoszowała się, po raz pierwszy od wielu dni, uczuciem, że ma nad wszystkim kontrolę, że jest bezpieczna. Jej demony wciąż tłoczyły się pod sufitem i były tam dla niej. Sześcioro ludzi trwało przy niej i byli tu dla niej. To dobre uczucie. Uśmiechnęła się do siebie i ucisnęła rękę Greysona.

- W porządku? - zapytał.
- Tak. „- Ale nie patrzyła na niego. Za bardzo pochłaniało ją rozglądanie się dokoła ze świadomością, że już nigdy nie zobaczy tego miejsca, tych wszystkich ludzi z ich małostkowymi niepokojami i nieszczęściami, z mrokiem w małych sercach. Przy niej nic nie znaczą.

- Jestem gotowa. - Wstała i wygładziła spódnicę.

- Meg, może...

- Nic mi nie jest - powtórzyła. - Chcę się pożegnać z ojcem.

Ręka Greyson zacisnęła się na jej dłoni, ale uwolniła się, minęła Briana i Terę. Matka i Dave stali przy trumnie. Brat obejmował Diane ramieniem. Schylona, ocierała oczy chusteczką.

- Megan - powiedział Dave. - Ja... no...

- Oczywiście, Dave. Przepraszam. - Minęła ich i odrobinę opuściła bariery, by poczuć ich ból. Ha, dobrze im tak. Głuptasy, tak się przejmują swoim żalonym życiem, opiniami innych, pozycją społeczną w tej dziurze... Zupełnie jak jej ojciec. Zupełnie jak oni wszyscy.

Wydawało się, że błyskawicznie znalazła się przed ołtarzem, jakby frunęła, a nie szła. Za sobą słyszała, że przyjaciele rozmawiają nerwowym szeptem, ale ich zignorowała.

Gładkie, zimne drewno. Zacisnęła dłonie na krawędzi trumny. Tam był. Jej ojciec.

Starszy niż go zapamiętała, oczywiście. Pomimo corocznego zdjęcia świątecznego ciągle wyobrażała go sobie takim, jakim widziała go ostatnio. Teraz w zimnej, martwej twarzy wyraźnie zobaczyła minione lata. I coś jeszcze; to nie jest jej ojciec. Naprawdę odszedł, a po śmierci był dla niej równie odległy, jak za życia.

Tyle smutku. Zaczęła mówić szeptem, myśląc, że zabawnie będzie usłyszeć to na głos, powiedzieć mu, że jest zbyt silna, by rozpaczać, gdy świadomość tego, co się dzieje, uderzyła ją z pełną mocą.

Zacisnęła dłonie na drewnie, nagle przerażona. To nie ona, to nie jej myśli, nie ona stoi nad zwłokami ojca i chce się roześmiać w głos. To ktoś inny, zimna

istota, która czai się w niej, która skorzystała z jej rozluźnienia i opuściła bariery, sięgnęła po energię jej demonów...

Siedziała-w ławie kościelnej i żywiła się krewnymi zmarłego. To ich smutek, ich ból poprawiły jej humor.

Usłyszała za sobą przytłumiony odgłos kroków. Kolana ugięły się pod nią i runęła w ramiona Maleficarum, zanim świat zniknął.

- To był hołd, Megan. Nie wiedziały, że to cię zmartwi - powtórzył Rocturnus. Megan odwróciła się, by na niego spojrzeć. Siedział na tylnym siedzeniu w samochodzie Greysona. - Chciały cię uspokoić, odwdzięczyć się za to, że pozwalasz im tam być.

- Tak, teraz mi lepiej.

- Myślały, że zechcesz je ukarać, że zostały na całej mszy, jeśli tego nie zrobią.

- Wiedzą, że ich nie ukarzę - warknęła. - Dlaczego nie mogą po prostu...

- Nie potrafią, a nawet gdyby, nie chciałyby tego. Wola, by ich życie biegło w określony sposób.

- W takim razie może powinnam im, pozwolić. Niech idą do kogoś, kto będzie je regularnie bił, a mnie dadzą spokój.

- Nie wydaje mi się, by był to dobry pomysł - powiedział Greyson. Odezwał się po raz pierwszy, odkąd przyniósł ją do samochodu. Skrzywiła się na tę myśl. Wszyscy byli na zewnątrz, czekali, aż trumna zostanie przeniesiona do karawanu i wyruszy w swoją ostatnią drogę na cmentarz, pobraze, że się tam nie wybierała.

- Czemu nie? Mam już tego dosyć. Jestem zmęczona. Podsuwają mi nieszczęścia w darze? A do tego te straszne zachcianki...

- Zachcianki?

Cholera, o niczym mu nie wspominała, prawda? Kolejna rzecz, którą przed nim zataiła.

- Szalone zachcianki, żebym je karała. A co myślałeś? Wzruszył ramionami, ale złapała jego szybkie ukradkowe spojrzenie.

- Tylko zapytałem.

- A dlaczego to nie jest dobry pomysł?

- Bo możesz umrzeć.

- Dlaczego?

- Ponieważ, i myślałem, że wszyscy to rozumiemy, demony są z tobą połączone. Fizycznie. Są częścią twojego ciała. Usuwając je, usuwasz ten kawałek demona w sobie i swoje serce. Poza metafizycznymi kwestiami -prawdopodobnie straciłbyś duszę - fizyczne skutki byłyby zabójcze.

Cholera.

- Ale niektóre odchodzą, prawda? A inne zginęły. Nic z tego nie rozumiem.

- Są z tobą połączone jako całość, nie pojedynczo. Pomyśl o tym jak... jak o kwiecie, z braku bardziej męskiego przykładu. Kiedy opadnie kilka płatków, to nadal jest kwiat, ale gdy opadnie ich zbyt wiele, nie ma nic.

- Czyli bez nich jestem nikim.

- Tak.

Roc poruszył się na siedzeniu i przerwał ponurą ciszę.

- Megan, one czekają. Mam im przekazać twoje podziękowania?

- Co? O cholera. Tak, dobrze. Powiedz im, że bardzo się ucieszyłam na ich widok i że... że jestem zadowolona, że przyszły. - Naprawdę była, choć czuła się, jakby ją spoliczkowano. Ale demony chciały pomóc.

Roc skinął głową i zniknął.

- Greyson... Co się dzieje z kwiatem, gdy opadnie kilka płatków?
- Inne płatki muszą wysilać się bardziej, by dotrzeć do słońca, tak myślę. A co?
- Tak tylko się zastanawiam. - Może to dlatego jej zachcianki ostatnio przybrały na sile. Cztery z jej demonów zginęły. Kilka innych - nie była pewna ile - poszło do Ktany Leyak. Więc skoro od września czerpała z nich siłę potrzebną do życia, to teraz...  
To może wyjaśniać, dlaczego przeżycie w kościele tak bardzo różniło się od innych. Nie nagłe, gwałtowne łaknienie albo wstręt, ale raczej coś, co czuła przy nielicznych okazjach, gdy na studiach paliła marihuanę. Lekkość, zwiewność w całym ciele - bardzo przyjemne doznania.  
Co sprawiało, że to wszystko było jeszcze bardziej przerażające.

## Rozdział 13

Nie, nie - powtarzał Greyson do telefonu. - *Kadagia*. Tak. *Goraner lisket ti bressma*, dobrze?  
Megan stanęła przed nim, tyłem do niego, żeby pomógł jej rozpiąć sukienkę. Zrobił to i lekko szarpnął za ramiączko stanika. Był to charakterystyczny gest, który zawsze wywoływał uśmiech na jej twarzy.  
Mieli czterdzieści minut, zanim spotkają się z Bria-nem i Terą na lunchu. Dość czasu, by Greyson wykonał kilka rozmów telefonicznych, a ona... cóż, przejrzała głupią gazetę albo obejrzała idiotyczny film w telewizji.



Może powinna do tego przywyknąć, uzależnić się od oper mydlanych. Jakkolwiek by było, w ciągu dnia nie będzie miała nic do roboty. Gdy była mała, jej matka oglądała taki serial - do dziś pamiętała, jak siedziała koło niej i oglądała go razem z nią. Jedno z nielicznych wspomnień, gdy odczuwała więź z matką.

Niech to szlag trafi! Dlaczego te wspomnienia wciąż bolą?

- Muszę *hin beranto etcha bayena i sint restor*. Dziś wieczorem, *escazer*.

Otworzyła walizkę i wyjęła czarny sweter i dżinsy, podczas gdy Greyson dalej instruował swoich podwładnych czy z kim tam rozmawiał. Język demonów płynął przez motelowy pokój jak woda, dziwnie kojący; stanowił lepsze tło dla jej myśli niż popołudniowy talk-show w telewizji.

Kiedy minęło pierwsze przerażenie wywołane myślą, że żywiła się poprzez swoje demony, nie wydawało się to już takie straszne. Niesamowite, tak. Ale z reguły niewiele jadła. Poradzi sobie z tym. Do tej pory nie uległa żadnym zachciankom, a w kościele zmusiły ją do tego demony. To już się nie powtórzy.

Oszukuje się? Niewykluczone. Ba, bardzo prawdopodobne. Ale dzięki temu poczuła się lepiej, a teraz wszystko, co poprawiało jej humor, witała z otwartymi ramionami. To było też łatwiejsze tutaj, w nierzeczywistości Grant Falls, z dala od jej prawdziwego życia. Tutaj nawet fakt, że straciła gabinet, nie wydawał się tak ważny. Minęły dręczące ją obawy.

Okres świąt Bożego Narodzenia zawsze kojarzył się ze swoistym zawieszeniem w czasie, zwłaszcza w pracy, gdzie starali się dać pacjentom poczucie wspólnoty i rodziny. Wszędzie, gdzie kiedykolwiek pracowała, ostatnie dni przed świętami wyglądały podobnie - wszyscy zaja-

dali ciastka ponczowe i pili grog, wpadali z przekąskami i drobnymi prezentami do sąsiednich biur w tym samym budynku, jakby w te dni otaczała ich bańka mydlana, w której znikwały obowiązki.

Śmierć była w pewnym sensie podobna, choć mniej strojna i bez pijackiego kserowania intymnych części ciała. A skoro o nich mowa...

Greyson rozłączył się i natychmiast wybrał inny numer. Rzucił okiem na Megan, ciągle w bieliźnie, i uniósł brwi, ale i tak przyłożył telefon do ucha.

Mogła tłumaczyć, że to strach, że to potrzeba ciepła i bliskości, że to smutek i chęć zapomnienia. Ba, mogła się nawet tłumaczyć dziwnym biologicznym pragnieniem reprodukcji, którego doświadcza wielu ludzi wobec śmierci.

Ale to były tylko wymówki. Wiedziała o tym. I nic jej to nie obchodziło.

Boso, bezgłośnie podeszła do niego i objęła go w talii. Nie przerwał rozmowy, ale objął ją wolną ręką, położył dłoń zaborczym gestem w dole pleców, gdy wspięła się na palce i musnęła ustami gładką, dymną skórę na jego gardle. Jego palce znalazły skraj jej majtek i wkradły się niżej. Poczwała, jak jej plecy pokrywają się gęsią skórą.

- Co? Nie, nie odmawiaj im, póki się do nich nie odezwę.

Dobrze, ale nie do końca. Powoli rozpinęła guziki jego białej koszuli, uniosła T-shirt, odsłoniła twarde płaski brzuch. Musnęła go paznokciami. Oddech uwiązał mu w gardle. Zsunęła dłoń na tyle nisko, by wiedzieć, że już nie koncentruje się na rozmowie.

Jego głos nie zadrżał, póki nie rozpięła mu paska i nie wsunęła dłoni w rozporek. Objęła go. Rozpiął jej stanik wolną ręką. W jej ciele rozgorzały iskry ognia, rozpałały żar, który w niej był.

- Tak, wiem, ja... co?

Osunęła się na kolana i rozpięła zamek błyskawiczny w jego spodniach.

- Oddzwonię do ciebie - powiedział i telefon upadł na ziemię.

Potem leżała na nim, z czołem pod jego brodą. Głaskał ją po plecach. Była odprężona, zrelaksowana.

I tak naprawdę o to chodziło.

- Powinniśmy wstawać - mruknął. - Spóźnimy się.

- Mmm.

- I nie skończyłem rozmowy.

- Narzekasz?

- Nie.

Położyła się obok niego, przełożyła nonszalancko nogę przez jego kolano. Z tej perspektywy jego kości policzkowe zdawały się przecinać powietrze.

- Greyson?

- Tak?

- Czy... czy myślisz, że byłeś dobrym synem? No wiesz, dla twojego ojca?

- Nie obchodzi mnie to, *bryaela*. - Poglaskał jej udo. - Ale mam nadzieję, że nie.

- On żyje?

- Niestety.

- Ale... gdzie? W Georgetown?

- Tak. - Wiedziała, że tam dorastał. Opowiadał jej kiedyś, jak obserwował rodziców, którzy szykowali się na bal, gdy był małym chłopcem. Nigdy nie wspominał o nich w czasie terażniejszym, a wiedziała, że jego matka umarła, gdy był mały. I dlatego założyła, że ojciec także nie żyje.

- Widujesz się z nim?

- Nie.

**144**

- Czemu?

- A dlaczego nie wracałaś tu przez trzynaście lat?

- No, tak.

- Chodź, gestem głodny. - Pocałował ją w czoło i chciał wstać, ale złapała go za ramię.

- Dlaczego?

Łóżko zadrżało, gdy wbił pięści w materac i dźwignął się do pozycji siedzącej. Patrzył na nią nieprzeniknionym spojrzeniem ciemnych oczu.

- Dobrze. Opowiem ci o nim pewną historię, a potem się ubierzemy.

Skinęła głową.

- Tuż po śmierci mojej matki zastałem go w moim pokoju. Przeglądał moje rzeczy. Brał wszystko, co od niej dostałem, moje książki i ubrania i... No, wszystko. Zapytałem go, co robi, a on odpowiedział: „Cóż, dziwka odeszła, więc możemy pozbyć się jej syfu”.

- O Boże.

Wzruszył ramionami.

- Nie emocje mnie zaskoczyły. Nigdy się nie lubili. Tu nie chodziło o słowa ani nawet o to, co robił. Rzecz w tym, że nie pomyślał, że mogę widzieć, to inaczej niż on. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że nie jestem nim. Do tamtego dnia, mnie też nie. - Ile miałaś lat? - zapytała łagodnie.

- Dziewięć.

- Co było...

Zamknął jej usta pocałunkiem, zanim zadała pytanie, a potem zsunął się z łóżka, wyprostował długie szczupłe ciało i otworzył walizkę. - Nie masz tego dość w pracy?

- Zrezygnowałam.

- Co?

Megan zakryła nagie piersi wąską hotelową kołdrą.

- Zrezygnowałam. W poniedziałek rano. Odeszłam. Zmarszczył czoło. Stał przy tandetnej toaletce.

- Tak po prostu?

- Ta sprawa z Geraldem... Nie mogłam dłużej. - To w dużej mierze prawda, może nie? Skinął głową, ale wydawało jej się, że widzi coś jeszcze w jego oczach. Podejrzenie albo może tylko ciekawość?

- Wciąż mogę się utrzymać - powiedziała, nie wiedząc, czemu się broni, świadoma, że tak właśnie jest.

- W radiu zarabiam wystarczająco dużo.

- Nie musisz się przede mną tłumaczyć. - Włożył przez głowę białą bawełnianą koszulkę i grafitowy sweter, jeden z jej ulubionych.

- Ale... jak to, nie masz zdania?

- Mam i dobrze je znasz. A co, myślałaś, że będę wstrząśnięty i zasmucony? Przecież od wielu miesięcy chciałem, żebyś dała sobie spokój z tym cholernym gabinetem.

- Nie dlatego to zrobiłam.

- Nawet nie pomyślałem, że tak było. - Zapiął pasek i pochylił się, by pocałować ją w czoło. - Wstawaj. Chyba że chcesz zostać w łóżku? Wyglądasz uroczo pod tą kołderką. - Skubnął zębami jej szyję. - Wyślemy chłopców po jedzenie i spędzimy cały dzień...

- Nie. Brian i Tera czekają. - Typowe. Otworzył się odrobinę i zaraz się wycofał. Teraz i ona zrobiła to samo. Chciała z nim porozmawiać, powiedzieć mu, dlaczego odeszła, jak bardzo się bała, że pensja z radia wystarczy na rachunki i niewiele więcej. Że nie wiedziała, czy jeszcze kiedykolwiek będzie mogła skutecznie wykonywać swój zawód, że w najgorszych chwilach rozważała, czy nie przyjąć propozycji pracy w głupim programie telewizyjnym, ponieważ tam przynajmniej nie miałyby szansy żywić się cudzym nieszczęściem.

Ale coś kazało jej milczeć, równie stanowczo jak ręka na ustach. Gdyby mu powiedziała, chciałby pomóc. Zaproponowałby, że pokryje jej rachunki. Wspominał o tym już kilka razy, a ona... po prostu nie chciała być utrzy-manką.

Nie chciała wydawać się słaba.

- Ach, tak. Nasi przyjaciele Brian i Tera. Jak myślisz, ile czasu upłynie, zanim Tera jeszcze raz wspomni o tych czarownicach?

Uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Dwie minuty.

- Tak długo? - Złapał ją za rękę i delikatnie ściągnął z łóżka. Objął ją, aż poczuła jego gorące ramiona na plecach. - Skoro o czasie mowa... Chyba mamy jeszcze z dziesięć minut?

Ostatecznie spóźnili się o kwadrans, wystarczająco długo, by Brian i Tera zdążyli się zdenerwować.

- Martwiliśmy się o ciebie - powiedziała Tera już drugi raz. - Powinniście byli zadzwonić.

- Ja... zasnęliśmy.

- Mówiłaś mi, że nigdy nie drzemiesz w ciągu dnia.

- A dzisiaj, owszem - odparła Megan lekko. Sięgnęła po kartę dań. Ta restauracja - schludna mała tania knajpka przy autostradzie - była daleko od miasta, więc miała nadzieję, że nie spotka tu nikogo znajomego, a sądząc po ruchu, jedzenie było całkiem niezłe.

Tera uniosła brew, ale nie skomentowała tego. Zwróciła się do Greysona.

- Słuczaj, Grey, jeśli chodzi o te czarownice...

- Wygrałem - mruknął. Megan trąciła go łokciem.

- Trudno mi uwierzyć, że to zbieg okoliczności - ciągnęła Tera.

- Bo prawdopodobnie nie jest, ale nie pojmuję, czemu to ja jestem twoim głównym podejrzanym?

Powinnaś przyjrzeć się temu, który u was siedzi.

- Templeton? Nie mógł tego zrobić.

- Skąd wiesz?

- Bo on... on jest uwięziony. Nie mógł wyjść i...

- A ja byłem w Nowym Jorku, co nie przeszkadza ci sądzić, że kryję się za tym wszystkim.

Megan już wcześniej, przed kościołem, dostrzegła implikacje, ale dopiero teraz to zrozumiała.

Czarownice pilnowały Templetona. Czarownice próbowały ich zabić - albo przynajmniej ostrzec, jeśli strzelanie z pędzącego samochodu i pościg przez całe miasto w kłębach cuchnącego tłustego dymu można uznać za ostrzeżenie.

Za tym wszystkim na pewno kryje się Templeton Black.

Jezu, czy w tym tygodniu wszyscy muszą jej rzucać kłody pod nogi?

- Słuchaj, Tera, jeśli jest jakiś problem, przyjdę do twojego biura po świętach, ale wiesz równie dobrze, jak ja, że nie jestem na tyle głupi, by ścigać czarownice. I nie sądzę, że musimy zanudzać tym Briana.

Tera rzuciła okiem na Briana, który studiował menu. Średniowieczni mnisi spisujący święte teksty nie koncentrowali się tak bardzo.

- Dobrze - powiedziała. - Ale...

- Czy mogę przyjąć zamówienie?

Brian niemal poderwał się z krzesła. Megan uśmiechnęła się, ale śmiech zamarł jej w gardle. Ona też była bardzo spięta. Myślała, że to efekt rozmowy Greysona i Tery, ale niepokój nie ustępował, nawet gdy ci dwoje osiągnęli coś na kształt porozumienia.

Tak naprawdę, gdy wszyscy zamówili, z każdą chwilą czuła się coraz gorzej. Zdecydowała się na sałatkę, wie-

dząc, że i tak jej nie zje. Myśl o jedzeniu, niedawno tak przyjemna, teraz tylko ją drażniła.

- Brian - szepnęła, pochylając się na stołem. - Co się dzieje? "

- Ja nie... nie jestem pewny.

- Tu jest jakiś demon - powiedział Greyson.

- Oczywiście, że jest. - Tera uniosła brwi. - Ty i twoi ludzie...

- Nie. - Jego głos nabrał nieco mocy, gdy ukradkiem rozglądał się po restauracji. - Nie taki jak my.

Malleus i Maleficarum odchyliłi się do tyłu, przesunęli krzesła tak, że siedzieli twarzami do sali, nie do stolika. Spud wstał i kucnął za Megan.

- Czy to... - zaczęła Megan, ale nie musiał rzucać jej ostrzegawczego spojrzenia, by nie kończyła tego zdania.

- Myślę, że to prawdopodobne. Ty nie? Skinęła głową.

- O czym ty mówisz? - zapytała Tera. - Kto?

- Demon. I to taki, z którym nie chcemy zadzierać. Powinniśmy już iść. - Megan usiłowała nie rozglądać się po sali, chciała tylko raz rzucić okiem.

Nikt z pozostałych gości niczego nie wyczuwał. Wszyscy się uśmiechali, gawędzili, małe dzieci grały z rodzicami w kółko i krzyżyk na serwetkach. Megan otoczyła się ramionami, chciała się rozgrzać - na darmo. Czy któryś z tych pogodnych ludzi jest opętany? A jeśli tak, czy to przeżyje?

Geraldowi się nie udało.

- Cokolwiek to jest, na pewno wyczuwa naszą obecność - rzucił Greyson. - Ale może nie wie, że my wiemy o nim.

- Czy to kelnerka? - zapytała Tera. - Póki nie podeszła, byliście spokojni, prawda?

- Nie wiem. Nie sędę.



- Jak to nie wiesz? Przecież wy, demony, się wyczuwacie?

- Kimkolwiek ona, kimkolwiek to jest, wstępuje w kogoś. Owszem, wyczuwam to, ale nie wiem, w kim jest. Musiałbym zajrzeć im wszystkim w oczy albo ich dotknąć, aby naprawdę wiedzieć.

Megan spojrzała na Briana. Skinął głową i zerknął w prawo. Zrozumiała. On czyta jedną stronę, ona drugą.

- Nie - powiedział Greyson. - Nie róbcie tego.

- Ale jeśli...

- Nie. Wiem, co wam chodzi po głowie, ale nie wiemy, kto to jest. Niech nie...

Kelnerka wróciła. Niosła tace z talerzami. Wolną ręką z przesadną energią rozłożyła przenośny stoliczek. Łypnęła gniewnie w stronę kuchni.

- Proszę. - Postawiła tacę na stojaku i podawała im dania z groźnym marsem na czole.

- Coś nie tak? - zapytała Megan.

- Nie, po prostu nasz kucharz... - Kelnerka uśmiechała się blado. - Coś go dzisiaj ugryzło. Jakby tylko on ciężko pracował. Niemal rzucał we mnie waszymi talerzami, ale... cóż, przynajmniej jedzenie jest gorące.

Słowa kobiety zamieniły się w krzyk, gdy obok jej twarzy przeleciał nóż i wbił się w ścianę tuż przy głowie Megan.

Megan chciała odskoczyć, ale zanim zdążyła to zrobić, Spud nakrył ją sobą i pchnął na ziemię. Kilka centymetrów od jej nosa leżał kawałek bekonu. Skrzywiła się i usiłowała się przesunąć, ale Spud ani drgnął.

W restauracji rozległy się krzyki. Podłoga drżała od szybkich kroków. Goście zrywali się od stołu, ciskali talerze na ziemię. Tak przynajmniej sądziła po odgłosach, bo nie widziała nic poza kawałkiem bekonu.

- Do cholery, Spud, złaż ze mnie!

- Megan! - Głos Tery, spokojny, ale podszyty paniką. - Nic ci nie jest?

- Przepraszam, Spud - mruknęła i z całej siły rąbnęła go pięścią w głowę. Ból promieniował z dłoni aż do ramienia. Jego czaszka była twarda jak granit.

Cofnął się odrobinę; wyrzut w jego oczach rozśmieszyłby ją, gdyby nie była tak wściekła.

- Przepraszam, ale złaż ze mnie! I to już!

- Pozwól jej wstać, Spud - powiedział Greyson. Wydawał się zmęczony i odległy. Spud wstał. Restauracja była pusta, nie licząc jednej pary w podeszłym wieku. Starsi państwo zajadali spokojnie, jakby nic się nie stało. Megan złapała kant stołu i podniosła się.

Greyson, Tera i Brian stali w szeregu, Malleus i Ma-leficarum osłaniali skrzydła. W drzwiach do kuchni zobaczyła kucharza. Był czerwony na twarzy, ciężko dyszał i ścisnął w garści pęk noży. Megan ledwie zdążyła to wszystko dostrzec, a już ją zauważył. Wykrzywił usta w uśmiechu i znowu cisnął nożem.

Spud przechwycił ostrze kilka centymetrów od jej twarzy.

Megan odskoczyła, gdy kucharz znowu zaatakował.

Tym razem ostrze zniknęło, spłynęło strumykiem wody, zanim zdążył nim cisnąć. Wszyscy popatrzyli na Terę. Wzruszyła ramionami.

- Poprzednio mnie zaskoczył.

Kucharz, wyraźnie zirytowany, przyglądał im się z głupią miną kota, który nie pojmuje, czemu kłębek wełny jeszcze *się* rusza. Zamachnął się ponownie, ale znieruchomiał, ledwie Tera wymamrotała zaklęcie.

- Czasami czarownice się przydają - mruknął Greyson. Tera zmarszczyła brwi, ale nie odrywała wzroku od kucharza.

- Czy to on? Ten demon?

- Nie wiem, ja...

- Larry! Larry!

Wszyscy się odwrócili - z wyjątkiem Tery - i spojrzeli na starszą panią, która do tej pory zajadała z apetytem. Zaczęła krzyczeć. Z drzeniem doskoczyła do męża, upuściła widelec, który upadł, robiąc o wiele więcej hałasu, niż powinien.

Larry także wstał. Jego potężne ciało rosło, machał głową na boki, jakby chciał odgonić komara.

Megan obserwowała z przerażeniem, jak jego tułów rośnie, aż koszula wychodzi ze spodni i odsłania biały brzuch.

- No to go mamy - stwierdził Greyson.

## Rozdział 14

Nieważne, jakie jeszcze talenty ma Ktana Leyak, pomyślała Megan w ciągu następnych sekund, zanim rozpętało się piekło, umiejętność zakłócania spokoju jest chyba na pierwszym miejscu.

Larry odwrócił się do nich. Jego twarz, cienka i sucha jak papier, rozciągnęła się, jego oczy przypominały płomienne jamy. I znowu usłyszała głos Ktany Leyak wydobywający się z ust, które nie mogłyby go wydać:

- Witaj ponownie. - Widok kokieteryjnego uśmiechu na twarzy starca wydawałby się komiczny, gdyby Megan nie była tak bardzo przerażona.

Malleus i Spud rzucili się na kucharza i wepchnęli go do kuchni, wykorzystując niezdolność mężczyzny do ruchu. Stalowe drzwi zamknęły się z hukiem, który

i tak ledwie usłyszeli, bo zagłuszały go przeraźliwe krzyki staruszki. Ręce przycisnęła do policzków, a oczy miała otwarte tak szeroko, że prawie wyskoczyły jej z oczodołów.

- Larry! Larry!

Larry rzucił na nią okiem. Jakby po namyśle zamachnął się, uderzył ją w twarz, posyłając na ścianę. Okna zabrzęczały. Kobieta już nie krzyczała.

- I czarownica. - Jego chichot sprawił, że wszystkie włosy na ciele Megan stanęły dęba. - Dobrze. Chce mi się jeść.

To wszystko zdawało się trwać wieczność, choć Megan wiedziała, że tak naprawdę upłynęły zaledwie sekundy, że drzwi trzasnęły w tej samej chwili, gdy Larry uderzył żonę, że Maleficarum i Spud wrócili do sali jadalnej, gdy Larry nierównym, niepewnym krokiem zmierzał w stronę Tery.

Otoczyły go płomienie, wypełniły powietrze strasznym zapachem palącego się ciała. Zrobił jeszcze jeden krok. Płomienie przybrały na sile, nabrały biało-niebieskiego koloru, gdy Greyson usiłował powstrzymać potwora, ale powietrze przeciął dźwięczny śmiech i ogień zgasł.

Ciało Larry'ego, czarne, zwęglone, pokryło się pęcherzami. Żołądek Megan fiksał salto. To już nie był człowiek. Ta rzecz z siłą demona była gorsza niż zombie, bo wiedziała, że Larry wciąż żyje, że wciąż czuje i myśli.

Ktana ruszyła do przodu, ale nogi Larry'ego ugięły się, jego ramiona opadły, gdy mięśnie ustąpiły pod wpływem ognia. Megan zamknęła oczy i zakryła twarz. Wiedziała, co teraz będzie.

- Na ziemię! - krzyknął Greyson. Ktoś pchnął Megan, rzucił ją na podłogę, gdy Larry eksplodował z upiornym mlaśnięciem jak zgniłe jajo.

**153**

Tera zaczęła coś krzyczeć, zakłęcie albo czar, ale umilkła gwałtownie. Megan spojrzała w górę i zobaczyła, że Ktana trzyma ją za gardło.

I znowu białe płomienie wokół głowy Ktany; znikły szybko, gdy Greyson zobaczył, że są nieskuteczne. Rozległ się metaliczny stuk odbezpieczanego pistoletu i padł strzał, ale Megan wiedziała już, że kule nie na wiele się tu dadzą.

Twarz Tery zsiniała. Ten widok otrzeźwił Megan, chyba podziałał na wszystkich, bo jednocześnie rzucili się do przodu. Megan złapała Ktanę za ramię; było gumowate i kruche pod jej palcami, jakby tylko cienka warstewka ciała kryła coś zgniętego, co zaraz wybuchnie. Ciało ustąpiło odrobinę, gdy wbiła w nie paznokcie, chcąc oderwać dłoń królowej demonów od szyi przyjaciółki. Z rany popłynął przezroczysty, rdzawy płyn. Parzył jej skórę.

Brian walczył z drugą ręką Ktany, która uparcie wracała do klatki piersiowej Tery. Usiłował uwięzić ją między swoim ramieniem a ciałem i wyprowadzić cios w jej łokieć niczym karateka, ale co chwila wyślizgiwała się z jego uścisku. Ponawiał próby, coraz bardziej rozpaczliwe, w miarę jak cichły jęki duszonej Tery. Malleus i Maleficarum włączyli się do walki, bili Ktanę, ale chyba nawet nie czuła ich ciosów.

Megan rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś, co im pomoże. I gdzie są Greyson i Spud? W końcu dostrzegła Spuda - kuczał nad ciałem starszej kobiety na podłodze. Wstał, poczuł na sobie jej spojrzenie i odwrócił wzrok z miną winowajcy; świeża krew skapywała z jego noża.

Zanim zdążyła się zastanowić, co to może oznaczać, Greyson odepchnął ją. Jego oczy płonęły, jego wściekłość mroziła do szpiku kości, ale na twarzy nie było żadnych uczuć - chyba że ciekawość.

Malleus i Maleficarum zacisnęły ramiona dokoła nóg i talii Ktany Leyak; Tera jęknęła

po raz ostatni i Greyson położył ręce na uśmiechniętej twarzy królowej.

Megan poczuła gorąco, triumfalny śmiech matki demonów przszedł w wycie z bólu.

A potem zniknęła. Tera bezwładnie osunęła się na podłogę.

- Tera! Boże, Tera! - Kolana Megan uderzyły o posadzkę z głuchym bolesnym odgłosem. Sprawdzała tętno Tery - było słabe, ale było. Uniosła lekko jej głowę, chcąc chociaż odrobinę poszerzyć kanał przepływu powietrza.

Dlaczego nikt jej nie pomaga? Tera żyje, ale co, gdyby dostała ataku serca albo... Czy czarownice miewają ataki serca? Tak sądziła, ale skoro nie zarażają się ludzkimi chorobami, może...

- Co ty, do cholery, wyprawiasz?

Megan oderwała wzrok od nieprzytomnej przyjaciółki i zobaczyła Briana otoczonego przez Greysona i braci. Miał na gardle zakrwawiony nóż Spuda. Greyson uniósł dłonie na wysokość jego twarzy.

- Wzniosłeś bariery ochronne? Brian przechwycił jej wzrok.

- Megan, powiedz im, żeby dali mi spokój!

- Może wrócić! Wyczuwasz ją tutaj? Oczy Briana się powiększyły.

- Nie... - Zerknął kątem oka na nóż i wycofał się. -Nie, myślę, że odeszła.

Tera zakasłała. Megan spojrzała na nią, chcąc pomóc, ale nie mogła się ruszyć.

- Jak to: wrócić?

Greyson opuścił ręce. Bracia również się odprężyli, pozwolili, by Brian ciężko oparł się o ścianę.

- To pasożyt; mogłaby wejść w ciebie albo tę staruszkę, gdyby nadal żyła - wyjaśnił Greyson. - Leyaki zazwyczaj nie... to imitatorzy, a nie demony, które mogą kogoś

opętać, ale tym sposobem ma chyba większą moc. Nie wiem. Ale zniknęła wcześniej i zniknęła teraz.

- Wcześniej? - wychrypiała Tera z podłogi. - Czyli kiedy?

Stali tam, w ruinach restauracji, aż Tera przerwała ciszę, wymiotując na buty Megan.

Tego wieczoru Maldon nie grał w golfa. Greyson miał rację, to był pokaz, a chodziło mu tylko o to, by poczuła się źle. Niestety, samo przebywanie z nim w tym samym pomieszczeniu działało jej na nerwy, zwłaszcza że teraz przyszła, prosząc o informacje.

Wolałaby siedzieć w pokoju hotelowym ze zrzędliwą czarownicą, która mówiła jak stary pijak, a to już o czymś świadczy. Niestety, ten zaszczyt przypadł szczęściarzowi Brianowi, a Megan i Greyson jedli kolację z Maldonem i jego *rubenda*. Żony, jak zauważyła Megan, nigdzie nie było widać.

Zjadła maleńki kęs ryby. Była wyśmienita, świetnie przyrządzona, ale jej żołądek był tak ściśnięty, że nic się w nim nie mieściło.

- A więc, Megan - zaczął Maldon i odłożył widelec. - Co cię interesuje? Sprawy zawodowe twojego ojca? Odwyk brata? Życie towarzyskie matki?

Starła się niczego po sobie nie pokazać. Kolejny wybieg, który ma sprawić, by pomyślała, że Maldon wie wszystko o jej rodzinie, może nawet wszystko o niej samej.

Tak czy inaczej... odwyk Dave'a? Gdyby nie brzydziła się myślą, że w ogóle potrzebuje czegoś od Maldona, chętnie odbyłaby rozmowę na ten temat. Nie żeby miała do brata żal - w każdym razie nie żeby był on wielki -i przecież chętnie by mu pomogła, gdyby tego potrzebował, ale mimo wszystko...

**156**

- Interesuje mnie, co dla niego zrobiłeś - powiedziała, powtarzając kwestię, którą przećwiczyli z Greysonem w samochodzie. - Jak mu pomogłeś? Co dał ci w zamian?

Maldon się uśmiechnął.

- Tego się spodziewałem. Zastanówmy się... Żądasz dwóch informacji. Czy ja też dostanę dwie rzeczy?

Zrobiła głęboki wdech.

- Będę ci winna przysługę.

- Dwie.

- To nie jest uczciwa wymiana - odezwał się Greyson. Z jego ręki na jej udzie płynęły fale otuchy, ale cała reszta jej ciała dygotała nerwowo. Maldon naprawdę nienawidzi Greysona. Uczucie ocierało się o gniew, muskało jej nagie ramiona upiornym chłodem.

Strojenie się było ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, ale demony przywiązywały wielką wagę do pozorów, więc przysłała tu w czarnej sukni koktajlowej, którą Malleus wybrał w centrum handlowym, gdy Tera spała, a pozostali naradzali się szeptem, co czarownica powinna wiedzieć o Ktanie Leyak, a czego nie.

- Dwie informacje, dwie przysługi. , Greyson przechylił głowę na bok.

- Czy te informacje nie są ze sobą związane? Maldon odwrócił wzrok.

- Dobrze. Jedna przysługa. - Greyson ścisnął jej udo. - Pytaj, Meg.

Choć Maldon miał wiele wad, wybrał fantastycznego barmana. Megan upiła łyk wódki z tonikiem i odetchnęła głęboko. ,,

- Co zrobiłeś dla mojego ojca?

- Zaakceptowałem go. Użyłem wpływów, posmarowałem kilka dłoni... jego pieniędzmi, oczywiście. - Maldon wzruszył ramionami. - Ci, którzy mieli coś przeciwko



niemu i twojej matce, nagle o wszystkim zapomnieli. Zmienili zdanie. Nietrudne, ale czasochłonne.

- Ale dlaczego... Dlaczego zrobiłeś to dla niego? -Zakręciło jej się w głowie, nadal nie rozumiała. Brnęła dalej. Musiała zadać jeszcze jedno pytanie, wiedziała to, ale nie potrafiła ubrać go w słowa.

- Pomagał mi w księgowości, dosyć skomplikowanej. Miał głowę do liczb. Szkoda, że umarł. Trudno mi będzie go zastąpić.

- Pomagał ci w księgowości w zamian za to, co zrobiłeś dla niego, czy już przedtem? - Nie przypominała sobie Maldona w domu z czasów dzieciństwa. Ta znajomość, jeśli naprawdę zaczęła się, gdy ojciec chciał uciszyć gniew miasteczka na nią, narodziła się w czasach, kiedy nie obchodziło jej już, co robią rodzice.

- W zamian.

- Więc taka to była umowa? Ty mu pomogłeś, a on prowadził ci księgowość?

- Tak. - Ale zbyt pewnie patrzył jej w oczy i wyczuła kłamstwo. Jej pacjenci też tak patrzyli, gdy chcieli coś ukryć... gdy jeszcze miała pacjentów.

Co on ukrywa? Przecież nie milczy z lojalności wobec jej zmarłego ojca.

Wreszcie znalazła właściwe pytanie.

- Skąd go znałeś? Skąd wiedział, gdzie cię znaleźć?

- Wszyscy w mieście mnie znają.

- Nieprawda. Ja cię nie znałam. Nigdy o tobie nie słyszałam. Kiedy się przeprowadziłeś?

Maldon westchnął i poruszył się na krześle.

- Miałaś chyba czternaście lat, tak mi się wydaje. Panno Chase, mam dziś mało czasu, więc może ustalimy zapłatę za demony, które mi ukradłaś.

Cholera. Zapomniała o tym, a przecież nie ma czym mu zapłacić.

- Ja...

- Da ci za nie dziesięć kawałków - wtrącił Greyson tak płynnie, że nie była pewna, czy w ogóle słyszał, że zaczęła mówić. Zupełnie oszalał! Dziesięć tysięcy dolarów?

- Ona czy ty?

- A czy to ma znaczenie?

- Owszem, jeśli mam zdecydować, czy traktować ją jako głowę jej klanu czy twoją *ornita*.

Nie musiała rozumieć tego słowa, by wiedzieć, co insynuował. Dokoła stołu rozległy się głośne sapnięcia; kilku *rubenda* zerwało się w szoku. Ich dezaprobata wzbudziła w niej zażenowanie i gniew.

- Uderz go - wymamrotał Greyson.

- Co? Ja...

- Pokaż mu twoją moc. Teraz.

Nie czas na obawy i rozważania, co będzie, jeśli to zrobi. Miał rację. Megan zamknęła oczy i sięgnęła po moc, widziała drzwi w sobie, znalazła więź z demonami i źródło swojej siły. Wzbierała w niej jak podziemna rzeka, wypełniała jej ciało, płonęła w głowie zimnym ogniem. Widziała ją, poczuła smak ozonu, uformowała z niej falę i pozwoliła, by popłynęła - na stół, na podłogę, na Oriona Maldona, który spadł ze swojego krzesła.

Wstała, świadoma, że pozostali zerwali się od stołu i patrzyli na nią z szeroko otwartymi ustami.

- Czy nadal uważasz, że to tylko moja *ornita*, Orion?

- Suka. - Maldon splunął. Starł krew z warg i zlizął ją z palców.

- Nie rób tego - ostrzegł Greyson. Z napięciem wpatrywał się w Maldona. - Obraż Gretneg, a czeka cię kara. Zaatakuj Gretneg...

- *Eska brenti Gretneg, kallahept!*

**159**

Megan zamrugła. Chłodny gniew przenikał przez jej skórę do ciała, krew zdawała się płynąć wolniej, coraz zimniej sza...

Ugięły się pod nią kolana i musiała przytrzymać się stołu sztywnymi, zdętwiałymi palcami. Nie mogła się utrzymać, nie mogła się oprzeć na nim... dlaczego tak ciężko się oddycha? Pokój wirował jej przed oczami, pole widzenia wypełniała ciemność.

Greyson boleśnie złapał ją za ramię.

- Meg, nie poddawaj się - mówił, ale ledwie go słyszała przez szmer głosów i głośnie, powolne bicie jej serca. Bum... bum... bum...

- Cholera, Meg, walcz!

Bum... o czym on mówi? Czy to ważne? Zimno stało się przyjemne, jak wtedy, gdy człowiek zamarza. Może właśnie to się dzieje, może ucieknie w sen i... bum...

Co? Nie!

Jej przestraszony mózg zbuntował się, obudził i wiedziała nagle, co Greyson do niej mówi, o co błaga. Gorąco paliło ramię, za które ją trzymał, rozgrzewało zamarzającą krew, zmuszając ją, by płynęła dalej, ale potrzebowała ognia wewnątrz, w sobie. Jakimś cudem znalazła ukryte drzwi, otworzyła je, widziała macki swojego demona, jak sięgają w górę, przebijają skórę, aż odnajdują moc Grey-sona i łączą się z nią. Siła wstrząsnęła jej ciałem, przesłoniła wszystko inne. Przez chwilę nie widziała płomieni; ona nimi była, jasna, cudowna, wzniosła się pod sufit i eksplodowała.

Greyson szarpnął ją, odciągnął od stołu. Odzyskała zdolność widzenia na tyle, by się przekonać, że to nie była tylko wizja, że pokój naprawdę płonął, zasłony stały w ogniu, kryształy pękały z gorąca.

Byli już w drzwiach, gdy Maldon złapał ją za rękę i szarpnął, niemal odciągając ją od Greysona.

Niechlujne

**160**

blond włosy zniknęły z jednej strony głowy, strawione przez ogień. Miał poparzony policzek i spalone brwi.

- *Tgau li!* - Jego głos ociekający wściekłością chłodził jej rozpaloną skórę, jego przeszywające niebieskie spojrzenie przenikało ją na wylot.

Ale bardziej niż jego spojrzenie poczuła jego moc. Nie atakował jej, ale wyczuwała ją w jego ciele. Tak jak ona czytała w ludzkich umysłach, a Greyson powodował ogień, tak on wzywał krew. Czowała tę więź i czuła, jak coś w jej sercu odpowiada na zew i nagle wiedziała, że gdyby chciała, mogłaby zaatakować go w ten sam sposób. Mogła skierować jego moc przeciw niemu, połączyć ją ze swoim gniewem i ogniem Greysona i sprawić, że Maldon wybuchnie. Przez chwilę chciała to zrobić, musiała... pragnienie buzowało w jej żyłach.

A potem było już po wszystkim. Nie wiedziała, czy nie zrobiła tego, bo się powstrzymała, czy dlatego, że Greyson walnął Maldona w nos i demon krwi runął jak długi na dywan.

Szklane drzwi za stołem wybuchły. Megan odwracała się w ich stronę, ale upadła, pchnięta na ziemię obok Maldona. Demony się rozbiegły na wszystkie strony, choć nie pojmowała, przed czym uciekają. Maldon się poruszył. Krew płynęła mu z nosa, usiłował wstać, ale Greyson już złapał go za poły marynarki i szarpnął w górę.

- Zorganizowałeś to!

Tamten zamachnął się pięścią. Głowa Greysona odskoczyła, ale ustał na nogach i jeszcze raz uderzył Maldona.

Kawałki porcelany rozprysły się na wszystkie strony, gdy pękł wazon zaledwie kilka metrów od nich. Greyson puścił przeciwnika i schylił się. Megan także, ukryła głowę w ramionach i krzyknęła, gdy za jej plecami wyrosła ściana ognia.

- Megan! Chodź!

Szkło i porcelana podarły jej pończochy i raniły skórę na kolanach i dłoniach, gdy uciekała. Już widziała drzwi wejściowe; niosły obietnicę wolności, ucieczki z tego piekła, jakim stał się dom na przedmieściach. Przez huk płomieni i krzyki Greysona słyszała strzały.

Nie ma czasu zastanawiać się, kto strzela. Musi stąd wyjść, natychmiast, zanim ogień ją pokona. Pot spływał jej po czole, zalewał oczy, ale, nie śmiała się zatrzymać nawet po to, by go zetrzeć.

Wydawało jej się, że upłynęła cała wieczność, zanim dopadła do drzwi. Szarpnęła za klamkę, raz, drugi, trzeci, póki do niej nie dotarło, że są zamknięte na klucz. Mocowała się z zasuwą i gdy tak stała w czarnej sukience na tle białych drzwi, równie dobrze mogła być celem na strzelnicy.

Inne palce przykryły jej dłoń, silne i pewne. Uporały się z zasuwą. Greyson szarpnął i drzwi stanęły otworem. Zimne powietrze wdarło się do środka, studziło pot na jej skórze. To było cudowne uczucie, ale nie tak wspaniałe jak świadomość, że stamtąd wyszła. Już unosiła stopę, by zrobić pierwszy krok ku wolności, gdy poczuła między oczami zimną lufę rewolweru.

## Rozdział 15

Czas stanął w miejscu, gdy kciuk odbezpieczył broń. Trwało to całe wieki. Megan już otwierała usta do krzyku. Instynktownie osunęła się na kolana, wiedząc, że to jej nie uratuje, jedynie odsunie nieuniknione o kilka sekund.

**162**

Opuściła bariery i ponownie uwolniła swoją moc, podsycaną strachem, gniewem i rozpaczliwą walką o życie. Jednocześnie wokół uzbrojonego bandyty buchnęły płomienie. Broń energetyczna Megan trafiła w rewolwer, zamieniając go w płomień tak jasny, że palił siatkówkę.

Odsunęła się na bok, kątem oka widziała, jak napastnik pada, trzymając rozżarzony kawałek metalu, który był jego pistoletem. Okna w salonie eksplodowały. Jezu, ile osób do nich strzela?

Greyson wylądował na niej z hukiem. Jego serce biło tak mocno, że czuła to przez ubranie.

- Jesteś cała?

Nie zdawała sobie sprawy, że płacze, do chwili, gdy na próżno usiłowała mu odpowiedzieć. Nie mogła oddychać, a co dopiero mówić, ale udało jej się skinąć głową.

Zapadła cisza.

- Czekali na nas - szepnął. Znowu skinęła głową. Syreny w oddali były coraz głośniejsze. Przez chwilę ogarnęła ją ulga, ale zaraz do niej dotarło, że skoro nadjeżdża policja i straż pożarna, bandyci muszą dokończyć dzieła. I to zaraz.

Albo pomyślała z Greysonem o tym samym, co napastnicy, albo miała zaledwie ułamek sekundy opóźnienia. Zacisnął dłoń na jej ramieniu i pomógł wstać. Grad kul siekł ścianę, niszczył ramy obrazów, szkło sypało się na nich jak brylanty, gdy biegli w stronę holu.

Spod zamkniętych drzwi sączyło się światło. Miała koszmarnie przeczucie, że pakują się w ślepa uliczkę, w miarę jak syreny były coraz głośniejsze, a wystrzały coraz rzadsze, ale Greyson zdawał się wiedzieć, co robi. Pociągnął ją do łazienki - po drodze minęli zdumionego demona szorującego zęby - i do małego okienka na jej końcu... Wybił szybę, wyskoczył i w locie odwrócił się tak, że Megan runęła na niego.

Razem upadli na oblodzoną ziemię.

Najchętniej zostałyby tam i pozwoliła, by chłód przenikał jej ciało, ale Greyson poderwał ją, zanim zdążyła nabrać tchu.

- Szybko, musimy się stąd wydostać, zanim... Kolejny strzał i następny, ale już późniejszy, jakby został tylko jeden napastnik. Obawiała się, że zsiusia się ze strachu. Cicha podmiejska uliczka wydawała się olbrzymią odkrytą przestrzenią, na której nie było gdzie się ukryć. Jeśli mieli uciec, musieli się dostać do samochodu Greysona, który stał od frontu.

Cichutko biegli przez trawnik. Poparzone nogi Megan bolały. Utrzymanie równowagi na oblodzonej trawie w pantoflach na obcasach to szaleństwo. Jak większość drobnych kobiet umiała chodzić w szpilkach, ale to nie był trucht po ulicy zalanej deszczem. To był bieg o życie. Na rozpalonym ciele stygł pot. Miała ochotę zwinąć się w kłębek i ukryć.

Policyjne syreny oświetlały fronty pobliskich domów, wóz strażacki był coraz bliżej. Greyson szarpnięciem otworzył drzwi od strony pasażera i wepchnął ją do środka, po czym sam wskoczył, tak że wylądowała na fotelu kierowcy. Nacisnął guzik na konsoli, by uruchomić silnik.

- Jedź! Jedź!

Nigdy przedtem nie prowadziła jego samochodu. Fotel był za daleko, ale brakowało czasu, by go regulować, więc siedziała na samej krawędzi. Greyson wrzucił bieg, a ona nacisnęła pedał gazu, zadowolona, że umie prowadzić wóz z ręczną skrzynią biegów.

Gdyby nie trzymała się kierownicy, runęłaby do tyłu, gdy jaguar poderwał się z chodnika. Wóz strażacki zbliżył się niebezpiecznie, ale Megan nie patrzyła, wpatrywała się w ulicę i uciekała od bandytów, demonów i ognia.

- Cholera! Cholera! Pieprzony mały... - Greyson obejrzał się za siebie. - Nie trafili cię? Jesteś cała? Skinęła głową i wrzuciła trójkę.

- Gdzie jest ten bar?

- Co?

- Bar, w którym wczoraj byłaś. Musimy się tam znaleźć. Natychmiast. Jest w szoku, na pewno. Miarka się przebrała, w końcu pękł.

- Może wyślemy chłopców po jakiś alkohol, gdy wrócimy?

- Potrzebujemy alibi, Meg. Maldon na pewno zechce nas zrobić. Musimy tam pojechać...

- A Tera i Brian?

- Tera i Brian nie są stąd. Zawieź nas do tego baru. Nie, nie zwalnij!

- Niby co to za alibi? - Ale już skręcała w kierunku baru U Kelly. To przynajmniej jakiś plan, a nawet teraz, w stresie, wiedziała, że ma rację co do Tery i Briana. Mogliby powiedzieć, że ich czwórka urządziła w motelu spotkanie modlitewne, a policja i tak będzie miała to w nosie, bo to jej przyjaciele.

- Zahipnotyzuję ich, a ty mi pomożesz.

- No nie wiem... Nie wyglądamy, jakbyśmy spędzili ten wieczór w barze. - Nawet w niewyraźnym świetle tablicy rozdzielczej dostrzegła, że już puchnie mu oko podbite przez Maldona.

- Wdam się w bójkę.

- Ale...

- Będę^ toba, tak? Na pewno ktoś będzie miał coś do powiedzenia. Wczoraj mieli. Parking przed barem U Kelly był zapełniony w połowie, gdy dojechali na miejsce. Megan rozpoznała kilka samochodów z poprzedniej nocy. Świetnie. Łóżko chyba



jeszcze nigdy nie wydawało się równie kuszące. Szczególnie teraz, gdy powoli docierało do niej, co planował Greyson.

- No, dobrze. - Złapał ją za rękę i zaprowadził do drzwi, ale zatrzymał się tuż przed nimi. - Pamiętasz, jak tam, w domu... dosięgłaś mnie? Czystą mocą, niczym więcej?

Skinęła głową.

- Opuść bariery i zrób to jeszcze raz.

- Nie rozumiem...

- Ja też nie do końca, więc jest nas dwoje.

Goście baru powoli odwracali głowy w ich stronę. Greyson zacisnął dłoń na klamce.

- Po prostu spróbuj, *bryaela*.

Megan zamknęła oczy, skoncentrowała się. Przedtem jej się udało, poczuła jak macki mkną w jej żyłach, przedzierają się przez skórę... ale teraz nic się nie wydarzyło. Była zbyt zmarznięta i przerażona, nie mogła się odprężyć.

Puścił jej rękę i dotknął policzka. Uniósł lekko jej twarz.

- W takim razie spróbujemy inaczej - mruknął. Zamknęła oczy, kiedy ją pocałował.

Płynnie, spokojnie, jakby nie stali pod barem pełnym ludzi, którzy jej nienawidzili, jakby nie uciekali przed policją. Po chwili to wszystko zniknęło. Wtuliła się w niego, objęła go gorączkowo w talii, poczuła jego palce na swoim policzku.

Odprężyła się, już nie było jej zimno, już się nie martwiła. Pozwoliła, by rozchylił jej usta i wsunął w nie język.

Wypełnił ją znajomy strumień jego mocy i ciepła, aż jej westchnienie przerodziło się w jęk. Co tam alibi... Powinni od razu wracać od motelu. I to już...

Zazwyczaj przerywał w tym momencie, powstrzymywał się, aż napięcie stawało się nie do wytrzymania. Nie tym razem. Napierał, wypełniał jej głowę, jej ciało, gorącą energią. Drżała, niezdolna nad tym zapanować. Nie puszczał jej, nie pozwalał się odsunąć, choć obawiała się, że jej głowa rozpadnie się na tysiąc ognistych kawałków.

- Oddaj mi to - szeptał. - No, dalej, oddaj mi... Gdzieś w głębi jej mózgu zostało dość rozsądku, by wiedzieć, o czym mówi, by przypomnieć sobie inną sytuację, gdy połączył swoją moc z jej darem i w mgnieniu oka przeczytał salę pełną ludzi.

- Proszę, Meg, nie mogę...

Jej dar... opuściła tarczę i zaczęła czytać, ale zamiast na ludziach wokół, skupiła się tylko i wyłącznie na Grey-sonie. Z całą mocą zaatakowała go umysłem i nagle macki wróciły do jej głowy, niewidoczne, nierealne, a mimo to bardzo prawdziwe.

Przez ułamek sekundy myślała, że się nie udało. Po chwili coś zobaczyła, niewyraźny widok wielkiego białego domu wśród kwitnących drzew. Ale już zaraz chaos myśli i obrazów, uczuć dobrych i złych, zniknął, bo Greyson zahipnotyzował cały bar.

Zanim się od niej odsunął, udało mu się jakimś sposobem otworzyć drzwi. Megan odwróciła się, ciągle rozkojarzona po pocałunku i po tym, jak odebrała negatywne uczucia tłumu, i zobaczyła, że wszyscy stoją spokojnie, wpatrzeni w Greysona.

Zamrugał, lekko rozchylił usta. Chyba jeszcze nigdy nie widzią go w takim szoku.

- Byliśmy tu od siódmej. Wracajcie na miejsca.

Zebrani skinęli głowami. Odwracali się powoli, Greyson machnął ręką, wykonał gest, jakby przyciągał do siebie linę. Megan nie zdawała sobie sprawy, że powietrze

wokół nich iskrzy się od mocy, póki nie zniknęła, szybko i ostatecznie, jak zgaszona świeca.

Chwycił ją za rękę i podszedł do baru. Był cały spięty.

- Whisky.

Barman skrzywił się z niezadowoleniem.

- Masz już dość.

- Nie. - Greyson wyciągnął portfel, wyjął banknot studolarowy, cisnął na kontuar. - Daj butelkę i dwie szklanki.

Zapadła cisza, gdy barman spełnił polecenie, aż miejscowi zaczęli szeptać. Greyson napełnił obie szklanki, jedną podał jej, zawartość drugiej wylał sobie na koszulę i pił z butelki długimi łykami.

- Co za szalony dupek - mruknął ktoś.

- A czego się spodziewasz? Przychodzi tu z nią? Po tym, co jej powiedzieliśmy?

Greyson uśmiechnął się wyjątkowo nieprzyjemnym grymasem, który przyprawiał Megan o dreszcze. Chwycił butelkę whisky za szyjkę, pokonał salę, podszedł do mówiącego i roztrzaskał mu butelkę na głowie.

Brian z samego rana odebrał go z posterunku policji. Nikt nawet nie pomyślał, żeby wysłać Megan; w końcu sama cudem uniknęła aresztowania. Wciąż nie była pewna, dlaczego Greyson doprowadził do tego, że go zamknięto -nigdy nawet nie dostał mandatu za przekroczenie szybkości, a zważywszy na to, jak jeździł, niemożliwe, by policja ani razu nie kazała mu zjechać na pobocze.

No i, szczerze mówiąc... trochę ją przestraszył. Czy raczej sama się przestraszyła. Patrzyła, z jaką szaleńczą rozkoszą zaatakował wszystkich gości baru, czuła w powietrzu energię walki, wciągała nosem zapach krwi, potu i czystej przemocy... i to wszystko uderzało jej do głowy bardziej niż whisky. Choć nie chciała się do tego przy-

znać, podniecało ją to. Nie wiedziała tylko, czy to odzywała się jej demoniczna część, czy uśpiona do tej pory skłonność do przemocy. Niemal z ulgą powitała przybycie policji. Teraz też nie wiedziała, co mu powiedzieć. Właśnie wyszedł spod prysznic.

Powinna mu powiedzieć. Wszystko. Musi wiedzieć, że coś się dzieje. Zbyt wiele łypnięć, zbyt wiele podejrzliwych spojrzeń. Zbyt wiele zbiegów okoliczności, a po tym co się stało w domu Maldona i po pocałunku pod barem... Niemożliwe, żeby nie wyczuł, że z jej mocą coś się dzieje, coś się w niej zmienia.

- Była jakaś wzmianka w prasie? - Owinął biodra ręcznikiem i pocałował ją w czoło, gdy przechodził obok.

- Tylko informacja o pożarze. Maldon przeżył, poparzony.

- Szkoda, dla niego byłoby lepiej, gdyby umarł.

- Jak to?

- Zdasz sobie sprawę z tego, co zrobił, prawda? Skinęła głową.

- Usiłował mnie zabić. I zastawił na nas... na ciebie... pułapkę. Ci napastnicy... to jego ludzie, prawda?

- Nie sądzę. Ale masz rację, usiłował cię zabić i wrobił nas. - Skończył zapinać guziki koszuli i zabrał się do mankietów. - Co oznacza, że zanim pojedziemy w góry, musimy się spotkać z jego Gretneg.

- No, tak. - Maldona czeka surowa kara. Nawet nie chciała o tym myśleć, choć jednocześnie nie mogła się pozbyć refleksji, że na nią zasłużył. Przecież próbował ich zabić.

Meegra w ten sposób załatwiają swoje problemy. Nie chciała tego wśród swoich demonów. Teraz zastanawiała się, czy postępuje słusznie. O wiele łatwiej jest wyznawać szlachetne zasady, gdy twoje życie nie jest zagrożone.

- Dlaczego dałeś się aresztować?

**169**

- Bo chciałem mieć pewność, że wszyscy wiedzą, gdzie byłem. Na wszelki wypadek.

- Na wypadek czego?

Otworzył usta, by odpowiedzieć, ale walenie w drzwi nie pozwoliło mu dokończyć.

- To ja, Tera, otwórzcie!

- Świetnie, odzyskała głos - powiedział i odsunął zasuwę w drzwiach.

Tera powitała go cierpkiem spojrzeniem. Jej ręce zdawały się bawić niewidzialnymi koralami. Sińce znikły, podobnie jak obrażenia Greysona, tylko na szyi zostało kilka ciemniejszych plam.

- Mam złe wieści, Grey. Choć nie, dla ciebie to raczej dobre nowiny. Tak myślę.

- Tera? - Megan wstała, podeszła do przyjaciółki. - Co się stało?

- Templeton Black nie żyje. Greyson się nie ruszył.

- Nie żyje?

Tera skinęła głową.

- Jak?

- Cóż... nie mają pewności. Zostawił list samobójczy, ale na ciele nie było żadnych śladów, nie wiadomo, jak to zrobił. Dowiedzą się dopiero po *hynelin*. To taka sekcja zwłok - dodała, zerkając na Megan.

- Nie ma mowy. - Greyson chwycił krawat z oparcia krzesła. Megan spojrzała na niego, ale wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze, gdy go wiązał.

- Co? Jak to?

- Nie wolno wam go pokroić, Tero. Nie wolno wam niczego wyjmować, nie wolno naruszyć ciała. To sprzeczne z naszymi zasadami.

- On jest... był... w naszym więzieniu i podejrzewamy, że popełniono przestępstwo.

**170**

- Nieważne, co podejrzewacie. Vergadering mógł go więzić i przesłuchiwać, ale nie zrobi niczego sprzecznego z Triadą. A okaleczanie ciała jest spreczne.
  - Ale inaczej nie dowiemy się, czy wypił truciznę, czy został zamordowany.
  - Jeśli wypił truciznę albo został zamordowany -podchwycił Greyson, wkładając marynarkę - wy, czarownice, bierzcie się lepiej do roboty, by ustalić, jak do tego dopuściłyście.
- Megan nie spodziewała się tylu ludzi na odczytaniu testamentu. Matka i brat, oczywiście... Dave był z atrakcyjną ciemnowłosą kobietą - domyślała się, że to jego żona - ale zdziwiła się nieprzyjemnie, bo powitała ją spora grupka, gdy wraz z Greysonem weszła do kancelarii.
- Nie chodziło tylko o liczbę - tak naprawdę nie było ich tak wielu, kiedy minął pierwszy szok - raczej o dezaprobatę w ich oczach. Niemal oczekiwała, że uniosą pochodnie i zmuszą ją do ucieczki.
- Megan.
- Megan podskoczyła. Matka stała spokojnie tuż obok niej, jakby pojawiła się tam dzięki magii. Greyson uścisnął jej dłoń.
- Witaj, mamó. Spóźniłam się?
  - Nie. - Spojrzeniu Diane nie uszedł żaden szczegół prostej czarnej sukienki Megan i pantofelków na niskich obcasach. Przesunęła wzrok na Greysona i jej skrajna dezaprobatą złagodniała nieco, gdy zobaczyła ręcznie szyty garnitur z Savile Row, włoskie buty, subtelny krawat.
- Greysoji stał obojętnie podczas tych oględzin, patrzył na Diane takim wzrokiem, jakby była kłębkim kurzu na podłodze. Czymś, czym zajmie się służba.
- Jestem Diane Chase - powiedziała w końcu. Nie uśmiechała się, ale była od tego o krok.

Greyson skinął głową.

- Domyślam się.

- Nie przedstawi się pan?

- Nie.

Megan z całej siły zaciskała usta. Dianę się zaczerwieniła.

- Greyson! Zastanawiałem się, czy tu będziesz. Tak się cieszę, że cię widzę!

Wszyscy odwrócili się jednocześnie; drzwi do gabinetu otworzyły się i wysoki, jasnowłosy mężczyzna z rumieńcem na policzkach wszedł do salki. Na jego twarzy pojawił się uśmiech, gdy szedł do Megan i Greysona z wyciągniętą dłonią.

- Ja również, Tucker. - Mężczyźni uścisnęli sobie ręce. Greyson znał prawnika jej ojca?

Tak, to na pewno on, bo podszedł do Dianę i cmoknął ją w policzek. I czy przypadkiem nie widziała go na pogrzebie? Profil wydawał się skądś znajomy.

- No, dobrze. - Tucker zatarł dłonie. - Zaczynamy. Przygotowałem salę konferencyjną.

Megan i Greyson zostali z boku, gdy pozostali ruszyli do drzwi.

- Znasz go? - szepnęła.

- Dom Caedes Fulitean. Demon krwi.

- Ale...

- Nie, nie. Nie sędzę, że miał coś wspólnego z tym, co się działo wczoraj wieczorem. Tucker to porządny facet. Współpracowaliśmy przed laty przy pewnym projekcie. To mój przyjaciel.

To mój przyjaciel... Greyson nie nazwałby kogoś przyjacielem, gdyby naprawdę tak nie uważał. Rozluźniła się trochę.

- Mój ojciec miał prawnika demona? To znaczy, oczywiście, był z nimi związany, ale żeby prawnik...

**172**

Skinał głową.

- Był częścią umowy z Orionem? To nie jest kancelaria Tuckera.

- Więc dlaczego spotykamy się tutaj?

- Może potrzebował większego pomieszczenia. Może zawsze obsługuje zwykłych klientów poza kancelarią. Wielu z nas tak robi.

- Ty też?

- Nigdy nie miałem zwykłej kancelarii, zawsze prowadziłem tylko sprawy Meegra.

Chciała zadać więcej pytań, ale byli spóźnieni. Wszyscy inni już siedzieli; kilka osób opierało się o ściany, ale na nich czekały dwa puste krzesła.

I Tucker.

- Greyson, doktor Chase. Usiądźcie, proszę.

Chrześcijanie wchodzący na arenę z lwami nie czuli się chyba równie bezbronni jak Megan, gdy mijała z Greysonem wszystkich zebranych.

- Dobrze. Zaczynamy. - Tucker siedział u szczytu stołu. Podniósł plik papierów.

- Nie jest to skomplikowany testament, ale David prosił o odczytanie, więc...

Umysł Megan błądził, gdy Tucker odczytywał niezbędny wstęp wolnym, spokojnym głosem.

Greyson kilkakrotnie przechylił głowę, jakby coś rozważał, ale uznała, że szeptanie podczas czytania testamentu jest równie niestosowne, jak chichot na pogrzebie - co już zrobiła - więc nie pytała o nic.

Później o tym porozmawiają.

- ...z wyjątkiem jednej dziesiątej tej sumy, którą otrzyma moja córka Megan Alison Chase. Zapisuję także Megan Alison Chase jedną trzecią, czyli cały mój udział w nieruchomości przy Pike Street 1477, zajmowanej przez Ośrodek Zdrowia Psychicznego Trubank, obecnie

**168**



nieczynny, i wszystkie związane z nim dokumenty, znajdujące się tymczasowo w głównej sypialni domu przy Hampton Road 12.

Tucker podniósł wzrok, zobaczył poruszenie, jakie wywołały jego słowa. W pokoju rozległy się szmery i szepty.

- To niemożliwe - sapnęła Diane. Ze złości zapomniała o pozorach opanowania. - Proszę to sprawdzić!

- Sam to pisałem pięć tygodni temu - odpowiedział Tucker. - Wszystko się zgadza.

Matka klóciła się dalej, Dave jej wtórował, ale Megan ledwie ich słyszała przez huk w uszach i obłądne bicie serca. Dlaczego to zrobił? Nie dość, że jej nie kochał? Musiał ją jeszcze nienawidzić? Zostawił jej budynek szpitala psychiatrycznego. Szpitala, którego pacjentką była przez niemal pół roku, szesnaście lat wcześniej.

## Rozdział 16

Nie chcę - powiedziała, ale w zamieszaniu chyba nikt jej nie słuchał. Spróbowała jeszcze raz, głośniej.

- Ja nie...

- Cicho, Meg.

- Nie chcę tego - szepnęła wściekle. - Nie chcę niczego od...

- Nie wiesz tego. - Greyson pochylił się nad nią, ale nie patrzył na Megan, tylko na czerwone twarze jej matki i brata.

- Właśnie, że wiem.

- Nieprawda. I nie będziesz wiedziała, póki się nie dowiesz, dlaczego to zrobił i co dał Maldonowi w zamian za wszystko, co dostał.

Brzmiało<sup>f</sup> sensownie, jak większość jego sugestii, i chyba dlatego tak bardzo ją to denerwowało.

Wyrwała rękę z jego dłoni i zaplotła ramiona.

- Zakwestionuję testament - ciągnął jak gdyby nigdy nic, jakby przed chwilą nie zdystansowała się od niego i od rozmowy. - A gdy to zrobią, zdecydujesz, jak zechcesz, ja się zajmę stroną prawną. Ale na razie nie mów niczego oficjalnie.

- To nie jest oficjalne. To odczytanie testamentu, nie proces.

- Myślisz, że żmija i jej pomiot nie zapamiętają wszystkiego, co mówisz, i nie spróbują tego wykorzystać?

- Zakładając, że zmienię zdanie i sprzeciwię się im. Nie zrobię tego.

- A mogłabyś.

- Ty! Co mu zrobiłaś?

Megan podniosła wzrok. Diane wstała zza stołu. Jej zaczerwienione oczy płonęły.

- Jakby zszarganie honoru naszej rodziny ci nie wystarczyło, musiałaś jeszcze... Co mu zrobiłaś?

Szantażowałaś go? Podałaś mu leki? Zawsze wiedzieliśmy, że coś jest z tobą nie w porządku, zawsze myśleliśmy...

- Pani Chase! - Ochryply z wrażenia głos Tuckera przebił się przez jej krzyki. - Proszę siadać. Nie ma potrzeby, żeby...

- Nie będziesz mi mówił, co mam robić! Ta mała czarownica...

- Mamo, mamoo... - Dave wstał i próbował chwycić matkę za ramię. - Uspokój się. Zajmiemy się tym później. Będziemy walczyć. Prawda, Tucker? Możemy walczyć?

- Możecie podważyć testament, tak. - Tucker rzucił okiem na Megan i Greysona. - Ale porozmawiamy o tym innym razem. Pani Chase, proszę usiąść.

Matka Megan obejrzała się, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, gdzie jest i ilu ludzi ją widzi. Zebrani wodzili wzrokiem od niej do Megan i z powrotem, jakby lada chwila spodziewali się bijatyki. Dianę uciszyła się i wytarła oczy chusteczką z czarnym brzegiem. Był to celowy ruch - chciała przypomnieć zebranych, jak bolesną stratę poniosła, i pokazać, jak bardzo cierpi ona, lojalna żona. Niemal machinalnie Megan odrobinę opuściła barierę ochronną. Prawdopodobnie i tak nigdy więcej nie zobaczy tej kobiety, taką przynajmniej miała nadzieję. Ma chyba prawo coś wiedzieć? Zaspokoić ciekawość?

Oto ona jako dziecko, mała ładna jasnowłosa dziewczynka w różowej sukience. Pamiętała tę sukienkę. Nie cierpiała jej, koronkowa lamówka strasznie swędziała...

- Mamusiu! Dlaczego pan Grubman nienawidzi tatusia?

- Nie pleć bzdur, Megan. Pan Grubman jest naszym przyjacielem.

- Nieprawda. Myśli, że tatuś to idiota. I chce cię zobaczyć bez majtek.

Policzek był tak bolesny i niespodziewany, że jej oczy zaszczyły łzami na sam widok tamtej sceny, ale matka czuła tylko wściekłość. Wściekłość i dziwny strach.

I kolejne obrazy, kolejne wspomnienia. Megan w wieku sześciu lat. Przepowiedziała wtedy śmierć babki. Babka... Lubiła ją, a starsza pani lubiła wnuczkę. Zabawne, dotychczas nie zdawała sobie sprawy, że babcia miała podobne zdolności, nie tak silne, ale jednak. Umarła, gdy Megan była zbyt mała, by rozumieć, że to coś niezwykłego.

Megan jako dwunastolatka, w obszernym szarym swetrze, który, jak sądziła, zamaskuje jej żenująco małe piersi, i matka, sycząca, gniewna, zła, że córka nawet nie rozwija się jak inne dzieci. Megan w wieku lat czternastu i Orion Maldon w ich domu, przyszedł porozmawiać o czymś z Davidem...

O Boże.

Wstała tak szybko, że niemal przewróciła stół, znowu przerwała biednemu Tuckerowi, który już zbliżał się do końca testamentu.

- Muszę wyjść.

Nie obchodziło jej, że wszyscy na nią patrzą. Miała w nosie, co sobie pomyślą. Teraz już wiedziała, wiedziała, dlaczego nie zapytała Maldona, wiedziała, czemu spotkało ją to wszystko, i musiała stąd wyjść, zanim zrobi coś, czego naprawdę pożałuje. Drugie serce w jej piersi biło gwałtownie, wściekle, rozpalało całe ciało.

- Chcę przejrzeć te dokumenty - powiedziała do Tuckera. - Mogłabym zobaczyć je już teraz?

- Są w domu, ale urzędowe zatwierdzenie testamentu...

- Nie wejdzie sama do mego domu - syknęła Dianę. - Chcę, żeby policja była przy tym obecna.

Megan westchnęła.

- Wiesz, mam, jesteś żalosną suką. - Nie było to ani specjalnie oryginalne, ani mądre, ale nic lepszego jej zszokowany i zmęczony umysł nie potrafił w tej chwili wymyślić. - Nie jestem złodziejką. Chcę tylko przejrzeć coś, co do mnie należy, i zamierzam to zrobić jak najszybciej, żeby wreszcie wyjechać z tego zasranego miasteczka.

- Grey, pójdziesz z nią? - szepnął Tucker półgłosem. Wszyscy zebrani w ciszy wpatrywali się w Megan.

**177**

W zmrużonych oczach matki wrzała lodowata nienawiść, ale nic nie powiedziała.

Greyson chyba skinął głową, bo Tucker odchrząknął i odezwał się ponownie:

- Pani Chase, pan Dante to znany prawnik. Będzie towarzyszył Megan w domu. Ufam mu... i Megan.

Dave wstał, podał jej pęk kluczy.

- Proszę, Megan. - Nie patrzył na nią, a mimo to z jakiegoś absurdalnego powodu miała łzy pod powiekami. - Dom i tak częściowo należy do ciebie.

Dwie godziny. Założyli, że mają mniej więcej tyle czasu, zanim wrócą pozostali, a Megan chyba nigdy w życiu niczego nie pragnęła tak bardzo, jak wyjść z tego domu, zanim się pojawią.

Odczytanie testamentu nie zajęłoby tyle czasu, ale dyskusja, w którą zapewne Diane i Dave wdadzą się z Tuckerem, może właśnie tyle potrwać.

Megan wyciągała pudła spod biurka, podnosiła wieka, grzebała w luźnych dokumentach. Muszą gdzieś tu być. Musi się dowiedzieć, kto był współnikiem ojca przy zakupie ziemi. Odziedziczyła jedną trzecią posesji. Kim są pozostali dwaj? Wydawało jej się, że wie.

Puste ściany w pomieszczeniu, które kiedyś było jej sypialnią przyglądały się obojętnie, jak szuka.

Greyson umieścił inne pudło na schludnie zasłanym łóżku i przeglądał dokładnie jego zawartość.

Prawie się nie odzywał, ale jego milczenie było równie gorące, jak jego ciało.

Plecy ją bolały od kucania, zanim znalazła to, czego szukała, zanim nazwiska nie krzyknęły do niej z kartek. Każda litera zdawała się z niej kpić, odpowiadała na pytania, których istnienia sobie nie uświadamiała, a które tylko rodziły kolejne.

- Greyson. Popatrz na to. - Jej głos był silniejszy, niż się spodziewała.

Wziął od niej plik papierów, przekartkował.

- Akt założycielski... dokumenty, dobrze... dalej, dalej... Ple-ple-ple członkowie zarządu... - Podniósł wzrok.

- Członkowie zarządu, tak.

- David Chase, Orion Maldon i... Templeton Black. - Opuścił papiery, wpatrywał się w nią. - Nie wiedziałem, Meg. Przysięgam.

Więc doszedł do tego samego wniosku, co ona. Tej samej prawdy.

- Spójrz na datę.

- Nie muszę. - Ale i tak to zrobił. - Temp nigdy mi nie powiedział, że...

- Że właściwie kupił mnie od ojca? Że w zamian za mnie on i Orion Maldon dali ojcu ziemię, pomogli rozwinąć firmę, że... - Urwała, nie mogła mówić dalej. Ukryła twarz w drżących dłoniach.

Szesnaście lat temu siedziała tu, w tym pokoju i prowadziła pierwszą rozmowę z Oskarżycielem, tuż przed tym, jak wstąpił w nią i na zawsze odmienił jej życie.

I właśnie tego pragnął David Chase. W zamian za władzę i bogactwo złożył w ofierze swoją jedyną córkę.

Gniew wezbrał w jej piersi, wypełnił ją, kazał jej dwóm sercom bić szybciej. Chciała kogoś uderzyć. Chciała uderzyć ojca. Szkoda, że nie roześmiała mu się w twarz, gdy leżał w trumnie. Szkoda, że nie wydrapała mu oczu z martwej twarzy i nie zdeptała na miazgę.

- Co za drań, co za niewiarygodny drań. - Tym razem nie powstrzymała łez. Wywołała je wściekłość, nie smutek, ale to bez znaczenia. Stała obok swego dziecięcego łóżka i płakała. Już po chwili znalazła się w ramionach Greysona, ale nie próbował jej uspokajać na siłę.

To nie trwało długo. Początkowa fala minęła, teraz była po prostu wściekła, gotowa zaatakować kogoś, kogokolwiek.

- Nie cierpię tego pokoju. Nie cierpię tego domu.

- Wiem.

Odwróciła się, spojrzała na łóżko, na okno, przy którym Oskarżyciel stał szesnaście lat temu. Światło wpadało przez szyby, szydziło z niej.

- Stał tam. - Boleśnie wbijała paznokcie w dłonie. - Ja byłam w łóżku, on tam. Jakby... Jakby był moim kumplem albo coś takiego. Zastanawiałam się, dlaczego wtedy nikogo nie było w domu. Matka zazwyczaj...

Drgnęła, gdy jego ciepłe ręce dotknęły jej ramion i potarły łagodnie.

- Może tak jest lepiej - powiedział. - Teraz już wiesz. Pochyliła głowę, gdy ją masował; rozluźniał napięte

mięśnie, ale nie potrafił ugasić furii szalejącej w jej ciele. Mięśnie bolały z wysiłku, by nie drzeć.

- Zawsze wiedziałam. To znaczy, nie wiedziałam dosłownie, ale to i tak niczego nie zmienia, bo...

Nadal jestem tym, czym jestem, nieważne, jak do tego doszło. Nigdy mnie nie kochali. Nigdy mnie tu nie chcieli. Pewnie wydawało im się, że wygrali los na loterii. - Kiedy wypowiadała te słowa, nie zdołała ukryć goryczy w głosie. W jej żyłach nadal tętniła krew, serce biło szaleńczo. Chciała wyjść stąd i przebiec kilka kilometrów, zniszczyć coś, rozerwać na strzępy. Nadmiar energii w niej buzował, w głowie, w żyłach, aż myślała, że od tego pęknie.

Zimna bryza pieściła ją jak muśnięcie ducha.

- Zapomnij o nich.

- Nie mogę. Jestem zbyt... Jezu, Greyson, jestem na nich tak cholernie wściekła, że nie widzę na oczy.

Zamek błyskawiczny jej sukienki opadł odrobinę. Jego wargi muskały ją między łopatkami.

- Może już czas odpuścić. Raz na zawsze pieprzyć demony przeszłości.

Uśmiechnęła się, zdumiona, że nadal to potrafi.

- Tylko przeszłości?

- Chyba że chcesz załatwić dwie sprawy w jednym... akcie. - Ciepło jego dłoni przenikało przez sukienkę, gdy jej dotykał, błędził palcami po udach i biodrach, wrócił w górę. Objął ją w tali i przyciągnął do siebie, by poczuła jego podniecenie.

Wstrzymała oddech.

- Czy ty kiedykolwiek myślisz o czymś poza seksem?

- O pieniądzach. O władzy. - Jego cichy śmiech rozgrzewał jej gardło, gdy pieszczotliwie kąsał jej szyję. -I o tobie, *bryaela*.

Nie powiedziała „doprawdy”, jak powieściowa heroina, ale nie do końca oparła się pokusie:

- Tak?

- Tak. - Wsunął prawą dłoń w rozcięcie jej dekoltu, pod stanik, znalazł sutek, bawił się nim leniwie. Zamknęła oczy. Rozwścieczony demon w niej szukał innej drogi zapomnienia, innego spełnienia. - Myślę, jak ci mija dzień, co robisz... Kiedy znowu cię zobaczę... a ty? Nie myślisz o mnie? Nie myślisz, *sheshisma*?

- Co to znaczy?

Zawahał się, skubiąc płatek jej ucha.

- Nie da się tego dosłownie przetłumaczyć. Mniej więcej - moje pragnienie.

- Moje pragnienie to dobre tłumaczenie. - Jęknęła przy tych słowach; powoli podciągał jedną ręką jej spódnice, drugą, nadal bawił się jej piersiami i dotyk jego skóry na udzie powyżej pończochy przyprawił ją o dreszcz.

- A więc właśnie to znaczy: moje pragnienie. - Wsuwał stopę między jej nogi, zmuszał, by je rozchyliła. Dotknął jej majtek. - To, czego pragnę.



Głowa opadła jej do tyłu, na jego ramię, gdy pocierał wilgotny jedwab. Cała ta energia w niej, ta gwałtowna potrzeba... nie mogła złapać tchu. Każdy oddech pachniał nim, smakował nim.

- Więc co ty na to, *sheshisma*? - Nie oszukał jej przekornym tonem; słyszała, jak ochrypl. - Czego chcesz? Pozbyć się tego gniewu?

Odsunął jej majtki na bok, tak że dotykał śliskiej, wilgotnej skóry. Jego ochryply oddech zagłuszył jęk, którego nie zdołała powstrzymać.

- Chcesz mnie wykorzystać, *bryaela*? Uderzyć? Zranić?

Strach splatał się z pożądaniem gdzieś u nasady kręgosłupa, wprawiał całe ciało w drżenie. To było niebezpieczne. Powinna się odsunąć, położyć temu kres, bo jego słowa pchały ją nad krawędź, a nie była pewna, czy zdoła się dźwignąć po upadku.

Ale, o Boże, chciała skoczyć.

- Chcesz tego? Naprawdę tego chcesz? Jestem tutaj. Powiedz mi. Zrobimy, co tylko zechcesz.

Rozsunął suwak jej sukienki, ściągnął z ramion, aż uwięził jej ręce w tkaninie. Następny był jej stanik, poczuła chłodne powietrze na nabrzmiałych sutkach, gdy spadał strzęp koronki. Nadal nie zdobyła się na to, by otworzyć oczy, unosiła się w idealnej ciemności, w świetle, w którym jedyną ostoję stanowiły jego ręce i ciepło.

Te ręce rzeźbiły jej ciało w powietrzu, obrysowały każdą krzywiznę. Spodziewała się, że będzie to tyleż kojące, co podniecające. Zazwyczaj pod jego dotykiem mruzczała jak szczęśliwa lwica. Ale dzisiaj... płomień jego energii buzował w jej piersi, palił między nogami, aż jej niepokój narastał, a wraz z nim - chęć by coś zrobić, cokolwiek, by się poruszyć. Poczwała w oczach łzy frustracji.

Dlaczego jej to robi? Dlaczego zmusza ją, by sta-

ła bez ruchu, a nie pozwalała mknąć przez noc w triumfie krwi?

- Jezu, Meg... jak ty to robisz... - Teraz zęby, ostre, gwałtowne na jej barkach. Zamknął jej piersi w dłoniach, uniósł je, aż przeszło ją jego ciepło.

Pojawiły się płomienie, tańczyły na oknie, unosiły się nad nimi. Nagle znaleźli się w innym świecie, jego świecie, i ta świadomość jego władzy kazała jej wyszeptać:

- Tak...

Sięgnęła za siebie, wsunęła dłoń między ich ciała, dotknęła jego członka.

Ugryzł ją w szyję, mocno, aż poczuła, że jego zęby ranią jej skórę, i było tak, jakby odnalazł ukryty przełącznik i uwolnił ją. Odwróciła się, chciała go objąć, ale jej ręce nadal tkwiły w rękawach sukienki. Wysunęła je do przodu, zacisnęła dłonie na jego twardych pośladkach, aż zamknął jej usta pocałunkiem i posłał ku słońcu.

Czuła na wargach jego niski pomruk. Ich języki splątały się, toczyły wojnę, w której chyba nie będzie zwycięzców. Odsunął jej dłonie i wyswobodził z sukienki, którą cisnął na ziemię.

Mocowała się z jego krawatem, rozpięła mu koszulę, wyciągała zza paska. Jej majtki zniknęły.

Zdawało jej się, że słyszała, jak pękają rozdarte, poczuła szarpnięcie, ale nic jej to nie obchodziło.

Razem osunęli się na łóżko. Zerwała z niego koszulę, spragniona dotyku jego skóry. Chciała wbić w nią paznokcie i sprawić, by po śniadej skórze popłynęła ciemna krew.

To coś w niej, demon, ghul czy może po prostu część jej samej, z której istnienia dotychczas nie zdawała sobie sprawy, szalało, rozdzierało ją pazurami, ryczało niecierpliwie, gdy Greyson szybkim zdecydowanym ruchem rozpiął pasek i zdjął spodnie.

**183**

Wszedł w nią raczej z siłą niż finezją. Rozsunęła nogi. Wykrzyczała jego imię wygięta w łuk. Odpowiedział krzykiem, ale nie słyszała go, tonęła w falach rozkoszy. Wbiła palce w jego plecy, poczuła, jak skóra pęka, poczuła zapach jego krwi w powietrzu. Krzyknęła, ale to nie był jej głos. Zniknęła, rozmyła się w ciele zbyt małym, by pomieściło targające nią emocje.

Wplótł palce we włosy u nasady jej karku i szarpnął, aż zobaczyła przeciwległą ścianę. Nieważne. Jego twarz wyryła się w jej umyśle. Skoncentrowała się na tym, na nim, czuła w sobie każde silne pchnięcie.

- Dalej, Meg - sapnął. Puścił jej włosy, przyciągnął ją do siebie. Jego oczy płonęły czerwienią. Jeszcze nigdy ich takimi nie widziała. - Co tylko chcesz. Wszystko wytrzymam.

Jej dłoń zareagowała, zanim zdała sobie z tego sprawę, wystrzeliła w jego stronę z tą niesamowitą szybkością, którą zauważyła podczas pierwszego spotkania z Maldonem, gdy chciał dotknąć jej włosów.

Ale nie dość szybko. Złapał ją, zanim go uderzyła, boleśnie zacisnął dłoń na jej nadgarstku. Ból promieniował w górę ramienia, przenikał do serca, a tam zmieniał się w coś innego.

Spróbowała jeszcze raz, szybciej, chciała go uderzyć, zranić, poczuć tę moc, ale znowu ją złapał i z całej siły grzmotnął jej ręką o posłanie. Chciało jej się płakać, ale zamiast rozczarowania, gniewu, czuła ulgę. Nie może zrobić mu krzywdy. Pokonał ją. Zawsze ją pokona i nie wiadomo dlaczego ta świadomość niosła spokój. Może ulec wściekłości, poddać się jej. Wolno jej. Jej serce przyspieszyło. Jakby to wyczuł - pewnie zresztą tak było - puścił ją, ponownie zagarnął jej usta, nie przestając się poruszać.

- Pieprz mnie - wychrypiała. - Greyson...

Nie spodziewała się, że może poruszać się szybciej, mocniej, a jednak. Zacisnął dłonie na krawędzi materaca, uniósł się, wbił w nią. Jego cudowna klatka piersiowa była tylko tółka centymetrów od jej ust. Uniosła głowę i wbiła w nią zęby, wplotła mu palce we włosy, ciągnęła z całej siły, a drugą ręką rozrywała mu plecy.

Jego głos niósł się echem po małym pokoju, splatał z jej krzykiem. Nie mogła się powstrzymać, nie mogła nad sobą zapanować. Jej ciało stało w ogniu, płomienie wypełniały jej pole widzenia, niszczyły wszystko. Wspomnienia ostatnich dni, wspomnienia tego domu, jej dzieciństwa, zdrady ojca - wszystko nikło w nienasyconym ogniu, splatało się z gniewem i bólem, zmieniało w coś czystego, coś, czego pragnęła.

- Greyson! - Wygięła się w łuk, gdy nadeszła pierwsza fala rozkoszy. Poddała się jej, uległa, pozwoliła, by ją obmyła, aż została tylko jej dusza wtulona w niego.

Pchnął po raz ostatni i obawiała się, że spadnie z łóżka. Nabrzmiął w niej, niemożliwie wielki, aż krzyknęła i niemal zagłuszyła jego okrzyk, aż ściany jej dawnej sypialni zadrżały od ich spełnienia, a Greyson opadł na nią.

## Rozdział 17

Pokój wyglądał, jakby przeszedł przez niego huragan pożądania. Wszędzie poniewierały się papiery, kołdra nie wiadomo kiedy wylądowała na podłodze, prześcieradła zwinęły się kłęb. Zdobiły je krople i smugi krwi, grzechy widoczne na śnieżnej bieli.

Pachniał dymem, potem, krwią i seksem, jak dywan w domu publicznym.

Wszystko to Megan zauważyła, gdy usiadła i znalazła strzępy swoich majtek, ale nie chciało jej się ich wkładać. W pokoju można posprzątać. Z jej umysłem nie pójdzie tak łatwo.

Greyson wszedł z talerzykiem deserowym i butelką wody. Podał jej to bez słowa. Lodowaty płyn pomógł jej odzyskać jasność umysłu, ale szok wrócił, ledwie Greyson usiadł.

- O Boże... ja ci to zrobiłam?

Jego rany już się goiły, przez co wyglądały jeszcze gorzej. Głębokie, gniewne bruzdy przecinały plecy Grey-sona od łopatek do pasa. Otaczały je plamy zaschniętej, prawie czarnej krwi.

Skinał głową, wbił widelec w kawałek sławnego jabłecznika jej matki. Zmierzył ją wzrokiem.

- I wzajemnie.

Nawet na siebie nie spojrzała. Na jej nadgarstkach, ramionach i biodrach wykwitły sińce, jak ciemne róże. Szyja, obolała tam, gdzie ją ugryzł, zapewne także pokryje się siniakami.

Do tej pory nigdy ani nie oczekiwała, ani nie pragnęła bólu w łóżku. Greyson także nigdy nie dał jej do zrozumienia, że to go interesuje. Ale na Boga, przeżyła coś niewiarygodnego. Czy naprawdę zmieniła się już pod każdym względem?

- Bardzo dobre - stwierdził, zajadając jabłecznik. -Masz przepis?

- Nie chciała mi dać.

- Szkoda. - Pochłonął kolejny kęs.

- Greyson... przepraszam.

- Za co?

- Spójrz na siebie.

**181**

- Zagoją się. -Ale...

- Meg. - Odwrócił się do niej. - Zaryzykuję i... cóż, zaryzykuję f powiem jak twój kolega po fachu: emocje negatywne czasami mają na demony dziwny wpływ. Nie przejmuj się. Nauczysz się nad tym panować.

- Nie jestem demonem. Zawahał się.

- Ale masz demona w sobie, a to zmieni twoje reakcje na pewne rzeczy. Nie zauważyłaś u siebie nic nowego? Dziwnego?

Cholera. Ile on wie? Ile wyczuwa?

- Nie - skłamała. - Nic.

Patrzył na nią przez chwilę i zmusiła się, by spokojnie odwzajemnić jego spojrzenie. Sama nie wiedziała, czemu jej tak zależy, by to ukryć. Gdyby mu powiedziała, mógłby jej pomóc.

Ale również nalegałby, by poddała się rytuałowi Ha-ikken Kra i bała się, że gdyby się postarał, uległaby. Przerażała ją perspektywa utraty części siebie i przyznania tym samym, że nie jest taka jak inni ludzie... nie licząc zdolności paranormalnych. Na myśl o tym robiło jej się niedobrze.

Już przecież żywiła się bólem siostry Geralda w swoim gabinecie. Na pogrzebie własnego ojca upajał ją smutek żałobników. Gdyby poddała się obrzędowi, byłaby... pasożytem.

W końcu wzruszył ramionami.

- Naprawdę powinnaś postarać się o ten przepis. Twój ojciec miał w domu gabinet?

- Wątpię, by właśnie tam go przechowywała.

- Musimy skserować te dokumenty. Ale przepisu też poszukaj. Skopiujemy go, a potem będziesz to dla mnie piekła.

- Nie wiedziałam, że lubisz jabłka.
  - Wszystkie demony lubią jabłka. Chyba źle się czujesz, skoro nie chwytasz takiego dowcipu.
  - Co... ach, tak. - Nie mogła się nie uśmiechnąć -nie wiedziała, czy z ulgi, że zostawił niewygodny temat jej dziwacznych zachcianek, czy dlatego, że powiedział żart w jej stylu. Greyson wychował się w Georgetown? Cytuje *Egzorcystę*. Jabłko... jak mogła nie skorzystać z takiej okazji?
  - Dlaczego musimy je skserować?
  - Chcę je przejrzeć. Przekonać się, czy to był zakup Meegra, czy prywatny Tempa. A skoro o nim mowa... -Sięgnął po zegarek, który leżał na małym odrapanym stoliku nocnym. - Mamy mało czasu, a musimy wrócić dziś wieczorem do miasta na pogrzeb.
  - Co? Dziś wieczorem, naprawdę?
  - Trzeba to zrobić jak najszybciej. Musisz przyjść -będą wszyscy Gretneg - ale późniejsza ceremonia dotyczy tylko klanu Sorithell.
  - Ceremonia?
  - Zostanę Gretneg - powiedział i zanim pocałował ją w czoło, zobaczyła triumf w jego oczach. Policjant wyciągnął rękę. Megan uściśnęła ją, zadowolona, że spokojnie zdążyli ubrać się i posprzątać w pokoju, ale zaniepokojona faktem, że pod sukienką jest naga.
  - Pani matka poprosiła, żebym tu zajrzał...
  - I dopilnował, żebyś niczego nie ukradła - dokończyła Dianę zimno. - Proszę poczekać, posterunkowy Dunkirk, a ja sprawdzę w pokojach.
- Dunkirk się zarumienił. Megan nie. Kiedy usłyszała na parterze obcy głos, domyśliła się, co zrobiła matka. Nie obchodziło jej to. Nieważne, ile trwał ten przypływ

euforii, ta nowa pewność siebie; teraz przynajmniej wróciła do dawnej obojętności na humory i drobne przykrości ze strony matki. Radziła sobie świetnie bez niej przez tyle lat i może tak żyć dalej.

- Pomyślałem, że może chcieliby państwo wiedzieć - zaczął Dunkirk. - Wyjaśniła się ta sprawa z wczorajszym pożarem. Bardzo przepraszam, że zawracaliśmy wam głowę.

Wykorzystaliśmy nadprzyrodzone siły, byście tak myśleli. Ale policja nie musi tego wiedzieć.

Uśmiechnęła się.

- Dziękuję.

Maldon rzeczywiście podał ich nazwiska policji - pomijając wszelkie szczegóły, powiedział tylko, że widział ich w pobliżu jego domu tuż przed pożarem. Nie był już taki odważny, kiedy się okazało, że przeżyli, i wiedział, że jutro spotkają się z jego Gretneg.

Po którym to spotkaniu - proszę, Boże - wreszcie pojedą do górskiej chaty na tydzień lenistwa.

Stali tak jeszcze przez kilka niezręcznych minut. Megan usiłowała nie rozglądać się po ścianach, w których kiedyś mieszkała, nie patrzeć na meble, przy których uczyła się chodzić, ale to było silniejsze od niej. Tam, przy drzwiach do kuchni wylała oranżadę i za karę przez tydzień nie mogła wychodzić ze swego pokoju. Pociemniała ze starości sztuczna choinka przy oknie, w tym samym miejscu od lat. Kiedy miała osiem lat, zbiła bombkę podczas ubierania drzewka i przez trzy lata nie wolno jej było tego robić.

Odkąd sięgała pamięcią, to nie był dom, tylko więzienie, zimnie, bezduszne, pełne samotności zupełnie jak ten cholerny szpital, w którym podstępnie umieścił ją ojciec. Kilka lat bliskości i szczęścia, gdy była tak mała, że pozostały jej jedynie mgliste wspomnienia, a potem... nic.



Nigdy tu nie wróci. Nawet kiedy umrze jej matka, o ile ktoś raczy ją zawiadomić. Jeśli chodzi o Dave'a... to ją trochę smuciło. Dave nie skreślił jej tak szybko jak rodzice.

Ale w końcu i on to zrobił.

Greyson miał rację. Nie potrzebowała tych ludzi, za nic. Ta myśl podniosła ją na duchu mimo jej obaw.

- Ukradłaś mój jabłecznik.

- Słucham?

- Zrobiłam jabłecznik - powiedziała Diane. - Był w lodówce. I butelka wody. Ukradłaś to.

Posterunkowy Dunkirk rozglądał się całkowicie zagubiony. Megan nie musiała opuszczać bariery, by odczytać jego myśli. Ma ją aresztować za ciasto i butelkę wody?

Greyson wyjął portfel i podał jej matce banknot gestem króla, który opędza się od trędowatego.

- Proszę. Pokryje pani straty. Diane zmrużyła oczy.

- Nie lubię pana, panie Dante. Wzruszył ramionami.

- Meg, chodźmy stąd.

Megan patrzyła na Diane, na jej eleganckie, srebrzyste, starannie przystrzyżone włosy i nienaganną czarną sukienkę. Prawie jakby patrzyła w lustro i widziała siebie za wiele lat, przez tafłę lodu.

- Żegnaj, mamó. - Ma jej podać rękę? Bo na pewno nie przytuli żmii.

- Co sobie zrobiłaś w szyję?

Ręka Megan instynktownie powędrowała ku gardle. Zanim Greyson włożył koszulę, jego rany zagoiły się, ale zapomnieli o jej obrażeniach.

- Ja... potknęłam się na schodach.

**185**

Dianę patrzyła na nią przez dłuższą chwilę.

- Zawsze byłaś niezdarna.

Odwróciła się i poszła do kuchni. Rozmowa najwyraźniej dobiegła końca.

- Zdaję sobie sprawę, że miałaś... ciężki tydzień - zaczął Rocturnus. - Nie chciałem cię martwić.

Megan podniosła głowę i spojrzała na niego. Nie tak chciała spędzić wolną godzinę między powrotem do domu a pogrzebem w Iureanlier.

- A powinieneś. Muszę wiedzieć takie rzeczy.

- Do tej pory nie bardzo cię interesowały. - Zabrzmiało to jak nagana i tak było, ale wiedziała też, że chciał ją w ten sposób uspokoić.

Szkoda, że mu się nie udało.

- Nie rozumiem tego. Byłam tam niecały tydzień temu i pokazałam im...

- To, że masz moc, nie znaczy, że umiesz je poprowadzić. Musisz nimi dowodzić. Wiem, że tego nie chcesz, ale... Tak już jest.

Cholera. Cholera, cholera, cholera. Megan rozglądała się po malutkim gabinecie, pełnym mebli z ciemnego drewna i poduszek w kwiaty. Zakładała, że jej demony lubią starocie, bo są takie malutkie. Wiele rzeczy zakładała.

To, co się z nią dzieje, nie zniknie tak sobie. Roc nalegał, by przeszła rytuał. Podobnie jak Greyson. Obaj czuli, że za mało się angażuje, że nie pamięta o potrzebach swoich demonów. I może mieli rację. Jej plany stworzenia nowej, łagodniejszej Meegra nie powiodą się, jeśli będzie traktowała demony tak, jak chce, by one traktowały ludzi.

Pragną, oczekują, by była kimś innym. I nie ma wyboru - musi się taka stać.

- Wezwij go - powiedziała. Wyprostowała się. John Wayne wiedziałby, co zrobić. Joan Crawford dałaby małym gnojkom popalić.

A zatem Megan Chase też sobie poradzi.

Rocturnus wyszedł, by po kilku minutach wrócić z Halarvusem. Widziała go wcześniej; to jeden z demonów, które narzekały i drwiły podczas jej ostatniej wizyty.

Spoglądał na nią chłodno czarnymi oczami. Wyczuwała jego obojętność. To ją wkurzyło.

- Halarvusie, wiesz, dlaczego tu jesteś?

- Nie.

- Chyba jednak wiesz.

- A co to za różnica? Nie słucham cię. Nie będę jednym z twoich małych demonów światła, radości i szczęścia dla wszystkich dzieci. Nasza matka pozwala nam być tym, czym jesteśmy. - Czarne oczy rozszerzyły się w ciemnoniebieskiej twarzy. - i żywić się.

- Pozwalam wam się żywić. - Najchętniej wymierzyłaby sobie kuksańca. Dlaczego z ludźmi nie miała problemów, od razu przejmowała kontrolę, ale przy demonach stawała się niepewna siebie i nerwowa. Jak dziecko próbujące powiedzieć dorosłym, co robić.

Jeśli odejdą wszystkie, może umrzeć. Może stracić całą moc, być jak kwiat bez płatków. Dalej, Megan... dasz radę.

- Nie tak jak chcemy. Nie tak, jak powinniśmy.

Do jasnej cholery, czy w jej życiu już nic nie będzie proste?

Jej moc zawsze była tu silniejsza, zawsze zdawała się chętniej przybywać na wezwanie. Z beznamiętnym wyrazem twarzy opuściła bariery i zaatakowała, nie z pełną siłą, tylko tak, by Halarvus upadł w drugim końcu pomieszczenia.

**192**

- Nigdzie nie pójdziesz. - Wstała, nienawidząc samej siebie i nienawidząc tej iskry rozkoszy w swojej piersi. Czy gdyby odbyła rytuał, byłoby łatwiej? Czy mogłaby to zaakceptować? Czy, co gorsza, byłaby jeszcze bardziej rozdarta niż teraz?

Może to dobry sprawdzian. Zobaczy, ile naprawdę może znieść.

Halarvus wstał. Z jego nosa płynęła ciemna krew. Zmusiła się, by patrzeć, gdy ją wycierał, aż zostawiła ciemną smugę na jego twarzy.

Nie miała ochoty jej spróbować, nie chciała zlizać jej z pergaminowej skóry. Może to już minęło?

- Tylko dlatego, że jesteś zła... - zaczął, ale mu przerwała.

- Nie jestem zła. - Zmusiła się, by to poczuć, wiedząc, że wyczuwają jej emocje. - Ale zachowuję to, co do mnie należy.

Odwróciła się do Roca.

- Zabierz go do sali.

Pozostałe demony czekały na nią. Białe światło z wysokiego sufitu odbijało się od ich różnokolorowych głów.

W milczeniu szły za nią, gdy wchodziła na niewielkie podium, na tron, na którym kiedyś zasiadał Oskarżyciel. Teraz należał do niej - ciężki, bogato zdobiony mebel, który wyglądał jak ludwik XIV zaprojektowany w oparach opium. Rzeźbione liście wbijały się w jej skórę, gdy siadała; kazała spalić poprzednią poduszkę i ciągle zapominała o nowej.

Kolejny dowód, jeśli jeszcze ich potrzebowała, jak bardzo zaniedbała tu sprawy. Powinna była wiedzieć lepiej. Problemy nie znikają tylko dlatego, że tego chcemy.

Rocturnus przyprowadził Halarvusa przed tron, w środek pustej przestrzeni, a sam zasiadł u jej boku. Tym razem nie uda jej się skarcić wszystkich i uciec, jak

poprzednio, choć sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać. Musiała wziąć sprawy w swoje ręce, aby naprawdę pokazać im, że jest zdolna je chronić, może im pomóc, może być wszystkim tym, co im obiecuje Ktana Leyak.

Bo inaczej prawdopodobnie zginie.

- Halarvusie, działałeś na moją niekorzyść?

- Mówię prawdę - powiedział. Jego oczka świeciły. - Jesteś zbyt słaba. Twoje człowiecze serce nie chce się zaangażować. Nie włączyłaś się w interesy pozostałych Meegra. Nie dbasz o nas.

Megan zerknęła na Rocturnusa.

- O czym on mówi?

- Yezer z innych Meegra przepędzają nas - szepnął. - Jesteśmy mali. Nie mamy szans. Kiedy nasyłają na nas duże demony... - Zobaczył jej wściekły wzrok. - Co? Mówiłem ci o tym.

- Tak, ale... - Rzeczywiście mówił, tylko znowu nieuważnie go słuchała. To tak do niej niepodobne! Do tego stopnia pochłonął ją... no, owszem poświęca mu dużo czasu. Do tego audycja w radiu, gabinet...

Greyson miał rację. Gabinet i demony to za wiele. Dzięki tej myśli decyzja o porzuceniu praktyki bolała trochę mniej, czuła się jak dobre dziecko, które rezygnuje z pracy w mieście i zostaje w domu z chorym rodzicem. Przynajmniej raz w ciągu ostatnich tygodni podjęła słuszną decyzję, nawet jeśli odbije się ona boleśnie na jej finansach.

Odchrząknęła.

- Będę dzisiaj na pogrzebie Templetona Blacka - ogłosiła. Wydawało jej się to zadufane i śmieszne, ale demonom chyba się spodobało. - Żądam listy z imionami wszystkich demonów, które wam dokuczały, wraz z informacją, do jakich należą klanów. Spotkam się

z pozostałymi Gretneg i każę im zostawić was w spokoju.

Demony wierciły się nerwowo, uspokojone i zarazem pełne wątpliwości.

- Dopilnuję, żebyście nie tracili ludzi. Ale moje zasady nadal obowiązują. Nie ma mowy o znęcaniu się psychicznym lub fizycznym nad dziećmi. Nie ma mowy o zabójstwach.

- Nawet przestępców? Złych ludzi? - zapytał jeden z demonów z nadzieją.

Już chciała odmówić, ale ugryzła się w język. Najpotężniejsza moc na świecie będzie na nic, jeśli nie utrzyma demonów, by ją czerpać.

- Takie sprawy będziemy ustalać indywidualnie -orzekła, na darmo usiłując nie czuć się jak potwór. - Musicie dostać moją zgodę.

Czekały, wpatrzona w nią, i tym razem wiedziała, o co im chodzi. I znowu stanęła przed wyborem, nad przepaścią pełną ognia, ale tym razem to był ogień piekielny, zniszczenia, nie pożądania.

Nie miała wyboru. Nie miała, odkąd przywiązała Yezer do siebie. Nie miała go od momentu, gdy jej ojciec sprzedał ją demonom za kawał ziemi i pomyślność w interesach.

Głęboko zaczerpnęła tchu.

- Rocturnusie, Halarvus musi zostać ukarany.

Yezer odetchnęły z ulgą i ich radość przepelniała powietrze. Halarvus szeroko otworzył oczy, gdy Rocturnus powiedział coś w języku demonów, i potem, gdy przykuto go do stelaża, takiego samego, na jakim na jej oczach trzy miesiące wcześniej karano Greysona.

Starła się nie mrugać, gdy powietrze przeciął świst bata.

Teraz to jest jej życie.

## Rozdział 18

Białe marmurowe posadzki Iureanlier Sorithell lśniły pomarańczowo, gdy odbijało się w nich światło pochodni płonących wzdłuż ścian. Wysoki sufit, na którym zazwyczaj wił się i skręcał biały mozaikowy smok, poczerniał. Hol zdawał się emanować tajemnicą i siłą.

Megan stała w czarnej sukience i czekała, aż ktoś ją zauważy. Nerwowo bawiła się cienkim paskiem małej jedwabnej torebki wieczorowej. Rocturnus siedział nad jej ramieniem, na połaci energii, którą w tym miejscu mają wszyscy ludzie. Był w rezydencji tylko kilka razy. Zazwyczaj ochrona zatrzymywała wszystkie demony nienależące do klanu, tak jak ich, w Grant Falls, przed domem Oriona Maldona.

Tego wieczoru te bariery nie obowiązywały. Megan rozpoznała kilka twarzy - innych Gretneg; sączyli drinki i rozmawiali cicho. Wszyscy byli ubrani na czarno. Przywodziło jej to na myśl szalenie eleganckie przyjęcie z okazji Halloween, tylko że nigdy nie była na imprezie, która aż skrzyłaby się od energii. Moc falowała wokół nich, przepelniała nawet to ogromne pomieszczenie, sprawiała, że serce Megan biło coraz szybciej. Poddawała się nastrojowi, wyczuwając różne możliwości... i dzikość. To nie będzie zwykły pogrzeb.

Powietrze obok niej drgnęło i Greyson objął ją w talii.

- Spóźniłaś się - powiedział. Podał jej gin z tomkiem. Miała zamiar wziąć tylko łyczek, ale jakimś cudem wychyliła połowę, gdy Greyson witał się z Rokiem. Chyba nadal nie doszła do siebie po ostatnim spotkaniu ze swoimi demonami. A może to po prostu zdenerwowanie. A nawet zaskoczenie.

- Co ty masz na sobie?

Uśmiechnął się. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek widziała go równie podnieconego. Dosłownie drżał z emocji, mimo że był spokojny jak zwykle.

- To strój rytualny.

- To sutanna.

- Tak, ale demoniczna. - Pochylił się, by ją pocałować i jej ciało przeszły fale energii.

Bez względu na swoją nazwę czarna szata świetnie na nim leżała. Sztywny, prosty kołnierzyk podkreślał jego mocno zarysowany podbródek i szerokość ramion, a dół - obcisła, wąska... no cóż, spódnica, nie mogła nazwać tego inaczej, sprawiała, że wydawał się jeszcze wyższy, jakby był kolumną czarnego dymu wznoszącą się z podłogi. Jeszcze nigdy nie wyglądał tak demonicznie jak w stroju katolickiego kapłana. Jediną różnicę stanowił brak białej koloratki; w rozcięciu jego kołnierzyka widniała krwista czerwień.

- Pięknie wyglądasz, tak przy okazji - mruknął.

- Zabawne, akurat pomyślałam to samo o tobie. Uśmiechnął się i pocałował ją jeszcze raz. Przesunął dłoń po jej pośladkach. Przez chwilę widziała go takim, jaki musiał być piętnaście lat wcześniej, gdy podobno łamał wszystkie kobiece serca w Waszyngtonie.

- Zaraz zaczynamy, muszę zająć miejsce. Nick będzie przy tobie, dobrze?

- A ty?

- Muszę towarzyszyć wdowie po Tempie przy katafalku.

- Och. JSio cóż, damy sobie radę z Rocturnusem.

- Oczywiście - potwierdził Roc.

- Wiem. Ale wolałbym, żebyś miała kogoś do pomocy. Tam, dokąd idziemy, podłogi nie są zbyt równe. -Znacząco spojrział na jej szpilki.



- Grey! - Kobieta, która ruszyła w ich stronę, wygięła lśniące czerwone usta w ostrym uśmiechu. Szła przez salę, mieniła się cekinami na obcisłej czarnej sukni i zdawała się cała skrzyć. Wyglądała jak odświętnie ubrana Morticia Addams, tyle że miała ognście rude włosy. Spływały na plecy swobodną falą. - Grey - powtórzyła i wyciągnęła do niego rękę, tak że nie miał innego wyjścia, musiał ją pocałować. Całkowicie ignorowała Megan. - Wyglądasz wspaniale w tej szacie. Ale wiedziałam, że tak będzie i zawsze ci to mówiłam, pamiętasz? Tak się cieszę, że postanowiłeś...

- Dziękuję, Justine. Pamiętasz Megan Chase, prawda?

Justine nawet na nią nie spojrzała.

- Oczywiście. - Muskała ramię Greysona dłonią zwieńczoną szkarłatnymi paznokciami. Jej imponujący biust falował przy każdym ruchu. - Zastanawiałeś się już nad tym, co ci mówiłam ostatnio?

- O niczym innym nie myślę, moja droga.

- Kto to jest? - sapnął Roc. - Rany!

- Spadaj, Roc.

- Ale chciałbym...

- Odejdź.

Posłuchał. Justine pogłaskała policzek Greysona, a Megan stała spokojnie i opierała się pragnieniu, by ją uderzyć. Justine była głową rodziny Meegra Concumbia. Bójka z Gretneg nigdy nie jest dobrym pomysłem, nawet jeśli ta Gretneg wpatruje się w Greysona, jakby był ostatnią kreską koki, a ona umierała z pragnienia, by ją wciągnąć.

- Daj mi znać, kiedy podejmiesz decyzję - powiedziała. - Mogę być potężnym sojusznikiem. - W powietrzu zawisło niedopowiedzenie. Potężni sojusznicy mogą też być potężnymi wrogami.

- Nigdy w to nie wątpiłem - odparł Greyson. - A teraz przepraszam cię bardzo, ale chciałbym jeszcze się napić przed ceremonią. Chodź, Meg.

Zmusiła się, by nie oglądać się za siebie, ale i tak czuła na sobie wzrok Justine.

- O co chodziło? Wzruszył ramionami.

- Justine zrobiła coś dla mnie.

- I czego chce w zamian?

- Jest sukubem. Jak myślisz, czego chce?

- Ale... - Gwałtownie zamknęła usta. Co miała mu powiedzieć? Nie rób tego? Nie możesz? Proszę? Z tego, co wiedziała, równie dobrze mógł sypiać z połową miasta w te noce, których nie spędzali razem. Spojrzał na nią, jakby czekał, czy powie coś jeszcze, a gdy milczała, odwrócił się i podszedł do baru. Po chwili wrócił z drinkami.

- Plan jest taki: po pogrzebie wszyscy wracają na górę na drinka, a potem się rozchodzą. Ale chciałbym, żebyś została i poczekała na mnie. Ceremonia nie potrwa długo. Może z półtorej godziny.

- A co ja z tego będę miała? Pochylił się nad nią.

- A kochałaś się kiedyś z najpotężniejszym demonem ognia w całym kraju?

- Zdawało mi się, że tak. - Pozwoliła, by fala pożądania, którą wzbudziły jego słowa, wdarła się do każdej komórki jej ciała.

- Hm. No cóż, chyba rzeczywiście masz rację. Chcesz to powtórzyć?

- Jeśli los się do ciebie uśmiechnie - mruknęła. - Co właściwie dzieje się podczas ceremonii?

- Nie, nie. Nie powiem.

- Greyson...

- Tak?

Położyła rękę na jego ramieniu, odnalazła jego wzrok.

- To dla ciebie bardzo ważne. Prawda? Nie tylko z uwagi na prestiż, ale ważne dla ciebie.

Przestał się uśmiechać, gdy patrzył jej w oczy. Przepastny hol zdawał się znikać.

- To coś, na co pracowałem całe życie.

Nawet w butach na wysokich obcasach musiała wspiąć się na palce, by go pocałować. Tylko szybkie muśnięcie wargami, nic niestosownego przy tej ponurej okazji, ale nawet to wystarczyło, by przeszył ją dreszcz. Miała wrażenie, że całuje kabel pod napięciem.

- Gratulacje.

- Dziękuję. - Musnął jej policzek opuszkami palców. - Tylko gdzie jest... o, proszę.

Skóra Nicka Xao-tenga lśniła w blasku ognia. Wyglądał jak wojownik, jak samuraj. Ale samuraje to Japończycy, prawda? A jak nazywano wojowników w cesarskich Chinach? Rany, dlaczego zawraca sobie głowę głupstwami, tylko żeby nie patrzeć mu w oczy?

Wydawał się mniej speszony niż ona, ale tylko odrobinę.

- Witaj, Megan. Cieszę się, że znowu cię widzę.

- Ja też. - Nawet z odległości kilku kroków wyczuwała zmysłową energię emanującą z jego muskularnego ciała. Co też Greyson sobie myślał, oddając ją pod opiekę mężczyźnie, który, jak wiedział, bardzo ją peszył?

- Świetnie - rzucił Greyson. - Idę do Lythy. Zobaczymy się później.

Poklepał ją po ramieniu i odszedł, odprowadzany jej gniewnym wzrokiem.

- To dlatego, że mi ufa - stwierdził Nick. Drgnęła; nie przypuszczała, że tak łatwo ją rozgryzie. -

Wszyscy z klanu muszą towarzyszyć ciału. Jestem jedynym ob-

cym, któremu pozwoliłby się do ciebie zbliżyć. Napijesz się czegoś?

Uniosła szklanę.

- Nie, dzięki.

- Posłuchaj, Megan ... Naprawdę przepraszam. Za tamten wieczór. Nie wiedziałem, że... To znaczy, nie wiedziałem, kim jesteś.

- Co takiego zrobił? - wyszeptał Roc, wracając niepostrzeżenie na jej ramię.

Zignorowała go.

- A gdybym nie była, kim jestem, byłoby w porządku?

Nie była pewna, co spodziewała się usłyszeć, ale na pewno nie oczekiwała uśmiechu, który rozjaśnił jego twarz. Nick nie potrzebował mocy incubusa, by być nieziemsko zmysłowym. Kobiety i bez tego padałyby mu do nóg.

Choć siła demona na pewno nie przeszkadza. Nigdy nie zapomni ich pierwszego spotkania.

- Nie, chyba nie - powiedział w końcu. - Ale większość kobiet nie jest tak podatna na wpływ jak ty.

Uniosła brwi.

- Masz zdolności parapsychiczne. - Poruszył się niespokojnie. Rozkoszowała się jego dyskomfortem. Zasłużył na to po tym, co jej zrobił. W restauracji pełnej ludzi. - Zapomnijmy już o tym. Greyson to mój przyjaciel.

Tłum szeptał coraz głośniej. Zaraz się zacznie.

- Obiecuję, że nigdy więcej tego nie zrobię.

Wciąż się uśmiechał, wciąż czarował. Ale Megan wiedziała, że mówił prawdę. Nie kłamał, gdy powiedział, że Greyson jest jego przyjacielem, i to ją wzruszyło. Postanowiła mu darować.

- Dobrze. Przeprosiny przyjęte.

- Dzięki.

- Do której Meegra należysz? Concumbia czy...

**201**

Wydawał się zaskoczony.

- Do żadnej.

- Myślałam, że...

- Nie, mimo wysiłków Greya. - Pokręcił głową, uśmiechnął się przelotnie. - Jest nas wielu niezrzeszonych... Powiedzmy, że stanowimy sporą mniejszość. Zwracamy się do Meegra, jeśli potrzebujemy pomocy czy ochrony, ale się nie angażujemy. Niektóre demony w ogóle ich nie akceptują.

- Więc czym się zajmujesz? Uśmiech stał się sztuczny.

- Różnymi sprawami. Powiedzmy, że jestem wolnym strzelcem.

Megan skinęła głową. Ten temat się wyczerpał. Powinna mieć więcej rozumu w głowie i nie pytać.

- Od jak dawna znasz... - zaczęła, ale przerwał jej dźwięk dzwonka, ponury, żałobny. Dzwon pogrzebowy.

Nick podał jej ramię.

- Są gotowi.

Pochodnie zgasły, jakby nagle zawiał wiatr. W nieprzeniknionej ciemności Megan słyszała szelesty, kilka kroków na marmurowej posadzce, a potem już nic.

Martwa cisza.

Dzwon zabrzmiał jeszcze raz. Megan podskoczyła, nagle zadowolona, że jest tu Nick. Przykrył jej dłoń swoją, przypinając ją o krótki i na szczęście słaby dreszcz podniecenia. Musi się bardzo starać.

Wiedziała, bo czuła to samo. Głos w ciemnościach, głęboki i surowy.

- Templeton Horatius Black *ga chrino*.

- *AM neshden* Templeton Black - odpowiedział tłum.

Jedno światło rozblęsnęło w ciemnościach. Wysoki chudy mężczyzna, najwyższy jakiego w życiu widziała,

uniósł rękę nad głowę. Tulił w dłoni mały płomyk. Blade światło sprawiało, że jego twarz wydawała się maską; zamiast oczu miał głębokie cienie, a długie linie na policzkach w zwykłym świetle okazałyby się zmarszczkami.

Spiorunował wzrokiem tłum.

- *Cha krishien.*

Nick skłonił się, pociągając ją za sobą. Gdy się wyprostowali, Megan miała wrażenie, że za wysokim mężczyzną coś się pojawiło. Domyślała się, że to kapłan, duchowy przywódca czy jak to nazwać. Ruszył do przodu z dłonią nadal uniesioną nad głowę. W miejscu, w którym stał przed chwilą, zajaśniały pochodnie.

Światło raziło ją. Zamknęła na moment oczy, a gdy ponownie uniosła powieki, zobaczyła Malleusa i Spu-da w tłumie. Stali po obu stronach podwyższenia, które dźwigali na potężnych barkach. A na podwyższeniu leżało ciało Templetona Blacka.

Nie widziała go wyraźnie, był za wysoko, dostrzegła tylko czubek szpakowatej czupryny, chyba rzadszej, niż zapamiętała. Nagle, przez chwilę, zrobiło jej się go bardzo żal, mimo że tyle przez niego wycierpiała. Miał wszystko: był głową tego klanu, tego domu, a umarł samotnie w więzieniu czarownic. W rękach wroga.

Czy kiedykolwiek poznają przyczyny jego śmierci? A może sam się dowiedział, że jego pomocnicy, czarownice, które posłał za nią i Greysonem, nie wypełniły zadania, a potem zostały zabite, i uznał, że jedyne, co mu pozostało, to śmierć?

Procesja powoli przemieszczała się do przodu. Za Spudem szedł Maleficarum, trzymał trzeci róg platformy. Megan jak przez mgłę poznała czwartego żałobnika.

Ilekroć mijali pochodnię, ta budziła się do życia. Ich kroki były niemal niesłyszalne na marmurowej posadzce,

zdawali się płynąć w czarnej mgle. Nigdy nie widziała nic podobnego. Był to piękny widok. Nick podprowadził ją bliżej. To miło z jego strony. Nawet na obcasach była niższa od większości zebranych.

Wrażenie, że katafalk płynie, nie minęło, choć teraz widziała nogi żałobników, ich stopy na posadzce... i dym. Naprawdę tam był, czarny i gęsty, wił się wokół nóg żałobników i kapłana. Wydawało się, że upłynęło sporo czasu, zanim minęło ją ciało Templetona. Z bliska widziała czarną satynę na katafalku. Spowijała jego ciało jak toga, odsłaniała ręce w czarnej koszuli z długimi rękawami. Jego stopy były nagie, twarz odkryta, podobnie dłonie, które spleciono mu na brzuchu. Sygnet z brylantem, który zapamiętała, rzucał na ściany pomarańczowe iskry.

Wstrzymała oddech, gdy ciało ją mijало, i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że gdzieś w oddali ktoś bije w bęben. Wybijał marszowy rytm, a procesja posuwała się z każdym uderzeniem. Jej serce odnalazło ten sam rytm i wiedziała, że to samo dzieje się ze wszystkimi na sali. Częstka demona w jej piersi, którą zwykła nazywać swoim drugim sercem, także podchwyciła ten rytm.

Za katafalkiem szedł Greyson z poważną, uroczystą miną. Prowadził pod rękę kobietę. Szła z dumnie uniesioną głową, ale w jej oczach lśniły łzy. Ona także miała na sobie długą czarną aksamitną szatę. Sznur pereł na jej szyi przywodził na myśl maleńkie księżycy w środku nocy. Upięła ciemne włosy, odsłaniając twarz, która od razu wzbudziła sympatię Megan. Twarz matczyna, ale nawet w żałobie, boleśnie dumna. Wdowa po Templetonie Blacku, tak różna od innej wdowy, którą niedawno widziała, że przez chwilę załala ją gorzycz.

Bęben nie ustawał. Megan była ciekawa, czy Greyson na nią spojrzy, Ale nie, szedł wpatrzony przed siebie, nawet gdy ją mijal.

Następnie szli *rubenda* w ciemnych garniturach. Niektórzy mieli koszule krwiście czerwone, jak koloratka Greysona, inni - białe. Czern, biel i czerwien to kolory domu Sorithell.

- Kolory oznaczają rangę - szepnął Nick. - Jeśli to cię interesuje.

Skinęła głową z wdzięcznością.

Płonęły już niemal wszystkie pochodnie na ścianach, pochod zblizal się do ogromnych drewnianych wrót w końcu sali. Stały otworem, choć do tej pory zawsze były zamknięte. Za nimi czekała ciemność, jak wejście do jaskini.

Bum... bum... bum. Bęben wybijał żalobny rytm, gdy mijali ją ostatni członkowie klanu.

Odprowadzała ich wzrokiem. Czarny dym nadal wił się po posadzce, zasłaniał ich nogi. Wzdrygnęła się. Energia w pomieszczeniu, czysta, nieposkromiona moc sprawiała, że włosy stanęły jej dęba.

Co więcej, miała wrażenie, że jakimś cudem cofnęła się w czasie. W blasku pochodni tylko garnitury *rubenda* zdradzały, że nie znaleźli się w piramidach czy domu pogrzebowym wikingów. Było to uczucie jednocześnie przerażające, rozkoszne i smutne.

Jeszcze bardziej przerażający byli służący, którzy szli za *rubenda*. Ich twarze umazano sadzą, rozpuszczone, splątane włosy zwisały smętnie. Bose stopy wyzierały spod bezkształtnych czarnych szat.

Oparła,,się o Nicka.

- Dlaczego...

- Na znak żaloby - mruknał. - Pochłaniają cudze nieszczęście i to ich niszczy. Oczywiście tylko symbolicznie.

**205**



- Słyszałam o tym.

Cień jego profilu poruszył się rytmicznie.

- Wiele kultur przejęło różne elementy naszych obrządków pogrzebowych. Rzymianie kopiowali je niemal bez zmian.

- Więc każdy klan urządza takie pogrzeby? Znowu skinął głową.

- Z pewnymi drobnymi zmianami - kolory, dym - ale ogólnie tak, o ile mi wiadomo.

Megan jęknęła, zaciskając dłoń na ramieniu Nicka. Za służbą szły... demony. Nie takie, jakie znała, ale demony z legend i koszmarów. Czerwona, łuszcząca się skóra wyzierała spod czarnych peleryn z kapturami, które nikły w kłębach dymu. Nad ich głowami widoczne były zakrzywione rogi.

Najgorsze były twarze, błyszczące i białe, pozbawione wyrazu... maski, uświadomiła sobie.

Porcelanowe maski. Niektóre wyglądały znajomo.

- Przepraszam - szepnął Nick. - Powinienem być cię uprzedzić.

Nie odpowiedziała. Sztuczne twarze górujące nad tłumem paraliżowały ją. Jeśli demony szły na szczudłach - a domyślała się, że tak jest - spowijał je dym.

- To maski przodków. Wszystkich Gretneg. Widzisz, przybywają na pogrzeb, by powitać jednego z nich po śmierci.

Megan nawet nie starała się ukryć drżenia.

Ostatni demon wyglądał jak ucieleśnienie ludzkich koszmarów - miał haczykowaty nos i okrutnie wygięte usta. Niesiona przez niego maska zdawała się płynąć nad jego głową, świecąc blado. Maską Templetona Blacka, młodszego, chudszeo, ale niewątpliwie jego.

Zerknęła na Rocturnusa, dziwnie milczącego podczas ceremonii. Lekko rozchylił usta.

- Roc? Otrząsnął się.
  - Tak?
  - Wszystko w porządku?
  - To było cudowne - powiedział. - Nigdy nie urządzaliśmy tak uroczystych pogrzebów. Nie masz nawet maski.
  - O Boże.
  - Co? Powinnaś ją mieć, jeśli chcesz...
  - Nie chcę o tym rozmawiać.
- Czy pewnego dnia i jej pogrzeb będzie tak wyglądał? Czy jej ciało - oby stare i pomarszczone - także będzie wystawione na widok publiczny? Ale kto pójdzie za katafalkiem?
- Dlaczego? Powinniśmy... Wzdrygnęła się.
  - Nie teraz, Roc. - Zresztą Nick już ciągnął ją za rękę. Dołączyli do sznura demonów za procesją.
  - Trzymaj się mnie - szepnął. Dokoła niej rozległy się ciche głosy, jej stopy dostosowały się do rytmu bębna. Ciepło z pochodni muskało jej skórę, gdy mijali je powoli. - Posadzki nie są tam zbyt równe.
  - Dokąd idziemy?
  - Do katakumb - powiedział. - Do lochu. Orszak przed nimi zniknął już w ciemnościach.

## Rozdział 19

Przez całe wieki schodzili w dół pochylni, tak jej się przynajmniej wydawało, aż musiała zapomnieć o dumie

i mocno złapać się Nicka, by nie upaść. Przynajmniej teraz zrozumiała, dlaczego Greyson wybrał go jako jej eskortę. Może peszyło ją wspomnienie ich ostatniego spotkania, ale przynajmniej nie wieszała się na nieznanym.

Nierówna kamienna podłoga zgrzytała pod ich stopami, gdy szli, cały czas zgodnie z rytmem wybijanym przez bęben, długa procesja, która wiła się jak wąż do muzyki zaklinacza.

Zakręt, zakręt, znowu zakręt. Wędrowali w dół, aż ciepło z pochodni na ścianach nie wystarczyło, by ogrzać Megan, aż ściany pokryła wilgoć, a powietrze przesyciła stęchlizna. Nie miała pojęcia, jak głęboko zeszli, a bęben grał dalej, jakby wybijał chwile ich śmierci, więc szli...

- Jesteśmy prawie na miejscu - mruknął Nick. - Tak mi się przynajmniej wydaje.

Megan nie odpowiedziała. Szli przez szczególnie nierówny odcinek; potknęła się, ale na szczęście mogła się na nim wesprzeć. Była wdzięczna za jego bliskość, co nie zmieniało faktu, że poczuła się idiotycznie.

W końcu doszli do końca korytarza. Przed nimi widniało ogromne ciemne pomieszczenie z zielonkawym nalotem na ścianach i chłodem, którego nie mogła odpędzić. Z sufitu zwisał największy żyrandol, jaki kiedykolwiek widziała, jego ramiona wyciągały się niczym odnóża bladego, kościstego pająka... O Boże. To naprawdę były kości. Ludzkie kości, już nie białe, ale delikatnie kremowe, jak stare perły w blasku świec. Środek stanowiły ludzkie czaszki, spiętrzone jedna na drugiej. Czaszki wieńczyły także każde kościste ramię. W każdej potylicy tkwiła świeca.

Katafalk stał blisko, jak się domyślała, tylnej ściany. Królowała przy niej gigantyczna złota urna, tak wielka,

że mogłaby się w niej położyć i przespać, gdyby chciała. Nie zrobiłaby tego za żadne skarby. Cała procesja zatrzymała się i patrzyła, jak wchodzi. Greyson wydawał się pogrążony w rozmowie z wdową po Templetonie. Nagle Megan uświadomiła sobie, że ta kobieta w tym momencie traci wszystko - męża i pozycję - i jej serce drgnęło. Być Gretneg to osiągnąć największy sukces; pozycja jego żony również musiała wiązać się z pewnymi korzyściami, jeśli jej przeżycie w centrum handlowym z panem Santo mogło tu być jakąś wskazówką. Co to za uczucie, stracić wszystko? Nigdy jej nie zależało na czymś takim. Ale czy nadal tak jest? A może hierarchia tej krainy cieni stała się jej częścią, tak jak to drugie serce, które nadal biło wraz z bębniem...

Ustawili się w szeregach, znieruchomieli, a Greyson zajął miejsce przed olbrzymią, błyszczącą urną. Poczekał, aż umilkli, i zaczął mówić.

- Templeton Black *ga chrino* - powiedział. - *Alń neshden* Templeton Black.

- *Alń neshden* Templeton Black - powtórzył tłum wokół niej.

- Templeton Black nie żyje. Niech żyje Templeton Black - szeptał Roc, ale Megan go uciszyła. Nie musiał tłumaczyć. Niech głos Greysona spływa po niej, niech wywołuje jej łzy, gdy staje się ostry, i uśmiech, gdy łagodnieje. Kilka razy tłumem wstrząsnął lekki śmiech. Nawet nie rozumiejąc słów, widziała, że jest wspaniałym mówcą. Szkoda, że charakter pracy nie pozwalał mu występować na sali sądowej.

A może i nie. Miała przeczucie, że z rozkoszą reprezentowałby winnych.

Mówił jeszcze przez chwilę, a potem oddał głos innym Gretneg. Chłodne powietrze przenikało przez jej skórę, docierało do kości. Nudziło jej się, choć wiedziała,

że strasznie to brzmi. Bolały ją nogi. Miała wrażenie, że przez nieznajomość języka demonów jeszcze bardziej rzuca się w oczy. Była wyrzutkiem, lesbijką na zebraniu wspólnoty religijnej.

Wreszcie Nick zasygnalizował, że uroczystość zbliża się do końca. Greyson poprowadził wdowę po Templetonie do ciała na podwyższeniu. Megan poczuła łzy w oczach, gdy pani Black weszła na mały stołeczek, by złożyć ostatni pocałunek na czole męża.

W tej chwili ciszę przerywały jedynie kobiece westchnienia. Pochodnie przygasły.

Niebieskawe płomienie wybuchły wokół ciała, wypełniając ciemny loch jaskrawym słonecznym światłem. Megan zmrużyła oczy, bo jasność raniła jej rogówki.

Demony zaczęły śpiewać, początkowo cicho, potem coraz głośniejsze. Ogień trawił zarówno Templetona, jak i podwyższenie jaśniejące w płomieniach. Dym unosił się w kierunku sufitu, wił się, początkowo powoli, by potem zamienić się w grubą czarną kolumnę. Wirowała nad ciałem, mknęła w dół, przez pomieszczenie, wypełniała gardło i nozdrza Megan dziwnie ostrym, a zarazem słodkim smakiem. Jej drugie serce przyspieszyło. Śpiew stał się jeszcze głośniejszy.

Miała wrażenie, że płynie. Jej stopy pozostały na ziemi, ale głowa była pełna powietrza, pełna tego mięsnego, pikantnego zapachu. Wiedziała, co to jest, i ta świadomość ją przerażała, ale nie zmieniała faktu, że jej usta napełniły się śliną. Nie chodziło tylko o zapach, ale o związane z nim uczucie, o potęgę mocy w powietrzu. Chodziło o zew w słowach starszych niż najstarszy język, który wzywał równie wiekową cząstkę jej duszy.

Płomienie wypełniły jej pole widzenia. Dusza Templetona lub coś, co miał zamiast niej, opuszczała ciało, wznosiła się, i ona też mogłaby, gdyby tylko zechciała i...

- Przepraszam, Megan. - Słowa Nicka, które nie dotarły do niej, zanim nie ogarnął jej swoją tarczą, stały się zrozumiałe, gdy jej ciało stanęło w ogniu. Podstawą jego moc/był seks; czuła, jak nabrzmiewają jej sutki, plecy wyginają się w łuk. Ale pod seksem wyczuła krew i gniew, coś, co pozwoliło jej wrócić do rzeczywistości. Powiedzmy, że rzeczywistości. Ochronił ją, zmusił, by została we własnym ciele.

Kolejny powód, dla którego jej towarzyszył. Ile właściwie Greyson wie o tym, co się z nią dzieje? Nie może w nieskończoność odkładać tej rozmowy. Na tę myśl coś w niej - czyste emocje, nie ciało - skrzywiło się boleśnie.

Stali tam, gdy ciało Blacka płonęło, czekali, zawodząc rytmicznie, aż została z niego tylko garstka popiołu na rozżarzonej metalowej płycie. Trwało to zaledwie moment i całą wieczność zarazem.

Megan była rozpalona, podniecona, zamroczona seksem i władzą, przenikającymi grocie. Niemal nie zauważyła, kiedy płomienie w końcu zgasły i rozgorzały pochodnie.

Kapłan zrobił krok w przód i skinął ręką. Za plecami Megan metal zazgrzytał o metal. Odwróciła się na chwiejnych nogach i zobaczyła, że Malleus i Spud unoszą pokrywę ogromnej urny.

Maleficarum i pozostali żałobnicy po raz ostatni dźwignęli katafalk, nieśli go nawą, a za nimi kroczyli Greyson i wdowa po Templetonie. Drewniane nogi, choć poczerniałe od ognia, wyglądały stabilnie, metalowa płyta już ostygła. Żelazo, domyślała się, albo specjalnie hartowane, albo zaklęte, by nie ulegało mocy ognia.

Przez tłum przetoczyło się westchnienie, gdy wsypano prochy do urny. Płomienie strzeliły wysoko, niemal do sufitu. Migotliwe pomarańczowe światło mieniło się na twarzy Greysona, zmieniało jego oczy w wąskie iskry, podkreślało ostrość rysów.

Roc przycupnął na jej ramieniu.

- Kochasz go, prawda?

Nie uważała, by była to właściwa chwila na spory ani na zbywanie go półsłówkami, więc westchnęła tylko i odparła:

- Tak, Roc. Myślę, że tak.

Wszyscy stali i patrzyli, jak popioły zsuwały się do urny, aż nie zostało już nic, ogień zgasł, Malleus i Spud zamknęli wieko i ceremonia pogrzebowa dobiegła końca.

- A zatem to ty jesteś Megan Chase - odezwał się mężczyzna przed nią. Kolejna znajoma twarz, ale właściwie co w tym dziwnego? Wszyscy Gretneg tam byli, trzy miesiące temu patrzyli, jak powracają najgorsze wspomnienia jej życia.

- Tak.

Podał jej rękę.

- Winston Lawden.

- Dom Caedes Fultean - powiedziała i zmusiła się, by ją uścisnąć. Znała już tę twardość. Czy dłonie Greyso-na zmieniają się, gdy zostanie Gretneg? Miała nadzieję, że nie. Dłonie Templetona były bardzo suche. - Zwierzchnik Oriona Maldona.

Rumiana twarz Winstona pociemniała.

- Mam nadzieję, że wiesz, jak mi przykro z tego powodu. Orion przekroczył wszelkie granice.

- Orion próbował mnie zabić.

- Wiem. I uwierz mi, nasze jutrzejsze spotkanie to tylko formalność. Jestem gotowy ukarać go, jak tylko zechcesz, zapewniam.

Skinęła głową, jednocześnie zadowolona z jego słów i pełna wątpliwości. Demony szczyciły się, że zawsze dotrzymują słowa, ale też po mistrzowsku zostawiały sobie otwarte furtki.

- Chciałam jeszcze porozmawiać z tobą o moich demonach - powiedziała. Może to nieodpowiedni moment, ale obiecała. - Doszły do mnie słuchy, że twoje Yezer atakują moje.'

Brwi Lawdena dotknęły nasady włosów.

- Moje Yezer? Ojej. Moje Yezer są pod nadzorem. To niemożliwe.

- Mam tu listę imion. - Wyjęła ją z torebki, podała mu. - Chyba nie myślisz, że moje demony mnie okłamują?

Nie mogła tego nie docenić. Zerknął na spis, ale zaraz gwałtownie uniósł głowę.

- Dwa spośród nich nie żyją.

- Pewnie doszło do tego, zanim... Jak to: nie żyją? Jego niebieskie oczy wyczytały odpowiedź w jej spojrzeniu. Skinął głową.

- Wybuchły - dokończyła. - Prawda? Greyson mówił, że straciłeś dwa demony.

Winston złożył arkusik i wsunął do kieszeni marynarki na piersi.

- Owszem. Wiesz coś o tym?

To nie było żądanie, ale zrobiło jej się gorąco, jakby ją o to obwiniął.

- Niewiele. Jeśli jednak zabite demony nękały moje...

- Masz listy z innych domów?

Skinęła głową i ponownie otworzyła torebkę.

- Wszystkie straciły po kilka...

- Megan? Co się dzieje? Zmusiła się do uśmiechu.

- Nic, nic. O czym rozmawialiśmy?

Każdy dom stracił jakieś demony. Nawet Greyson. Czy to znaczyło, że jego Yezer atakowały jej podwładnych? Czy chciał podważyć jej pozycję, osłabić...



Powiedział, że stracił jednego demona, że dopóki nie wybuchł w zeszłym tygodniu, nie miał pojęcia, co się dzieje.

Na pewno istnieje jakieś wytłumaczenie, czuła to. Ale jak o ich stosunkach świadczy fakt, że po trzech miesiącach jej pierwszą myślą, zamiast zapytać wprost, było: jak go podejść?

- Myślisz, że te wybuchy łączą się jakoś z twoimi demonami? - Winston pokręcił głową. - Yezer nie mają takiej mocy.

- Ale to nie Yezer. To... - Ugryzła się w język. Skoro sam jeszcze nie wie, ona mu nie powie.

- *Leyak*? - zapytał. Wbił w nią błękitny wzrok. Skinęła głową.

- Tak myślałem. - Właściwie dlaczego jest dla niej taki miły? To zwierzchnik Maldona, a Maldon dobił targu z jej ojcem i Templetonem, co stanowiło wystarczający dowód, by mu nie ufać, nawet gdyby nie był tym, kim jest. Szef konkurencyjnego klanu to chyba nie najlepszy wybór na powiernika. - Po naszym jutrzejszym spotkaniu przyjdą inni Gretneg, żeby przedyskutować tę sprawę - ciągnął. - Może zostaniesz? Myślę, że będziesz mogła nam pomóc.

- Ja... Muszę sprawdzić...

- Nie, Megan. Musisz tam być. Wszyscy wiemy, że niełatwo jest ci się odnaleźć. Niektórzy z nas są gotowi dać ci tyle czasu, ile potrzebujesz. Ale musisz uczestniczyć w rozmowach, jeśli dotyczą twoich *rubenda*. Odmowa uczestnictwa mogłaby... rozgniewać niektórych z nas.

Spojrzała ostro, szukając groźby w jego oczach, ale znalazła jedynie dobroć.

- Czas zająć należne ci miejsce, Megan, nieważne, czy jesteś na to gotowa czy nie.

Poczuła głód.

Wokół niej dom był cichy, pusty, wszystkie żywe istoty poza nią wróciły do lochu, gdzie Greyson stawał się Gretneg.

Chyba może zajrzeć do kuchni po małą przekąskę? Nie pójdzie do długiego, mrocznego holu. Nie miała na to specjalnej ochoty, a nawet gdyby, nie byłoby to właściwe. Zawiodłaby zaufanie. Była tu teraz, ponieważ uwierzyli, że będzie się trzymała z dala od uroczystości.

Tylko że nagle nie była taka pewna, czy słusznie zrobili.

- Najważniejszym obowiązkiem Gretneg jest zadbać

o dobro Meegra - powiedział Greyson tamtej nocy, gdy połączyła się z demonami i wszystko się zaczęło. Czy raczej zaczął się nowy etap tej całej historii. Najwyraźniej wszystko zaczęło się jeszcze wcześniej, niż jej się zdawało, jeszcze zanim Oskarżyciel zjawił się w jej pokoju i opanował jej ciało.

Greyson jest teraz Gretneg, a nikt lepiej od Megan nie wiedział, jak poważnie traktował ten tytuł. Jeśli uznałby to za korzystne dla jego Meegra, zmiotłby jej demony jednym ruchem ręki, nie przejmując się bardziej niż ćmą, która wylądowała na parapecie.

Naprawdę? Czy już to robi?

Wiedziała, że to głupie. Gdyby go zapytała, powiedziałyby jej. Dałby jej słowo i uwierzyłyby mu. Ale ciężka atmosfera w tym domu, wrażenie, że powietrze wokół niej wiruje i tańczy, sprawiały, że czuła mrowienie na skórze i ucisk w żołądku. Coś się zmieniało, nie wiedziała tylko, jak poważne i daleko idące są te zmiany.

Wstała, przechadzała się niespokojnie, a meble i ściany obserwowały ją w milczeniu. Bose stopy zagłębiły się w dywan z cichym szelestem.

- To głupie - powiedziała głośno. Była głodna. Na dole jest jedzenie. Zejdzie tam, weźmie coś i zaraz wróci na

**215**

górze, na długo przed końcem ceremonii. Musi coś zrobić. Książka jej nie wciągnęła, w telewizji nie było nic ciekawego. Weźmie sobie coś do jedzenia, wróci na górę i przemyśli wszystko, zanim zjawi się Greyson. Ułoży plan.

Palce u nóg zdrętwiały jej na lodowatym marmurze, gdy schodziła po schodach, a nieliczne orientalne dywany w holu niewiele pomogły. Pochodnie zgasły po wyjściu gości i jedynym źródłem światła były małe świetliki. Roc także musiał wyjść. Skomplikowane procedury, na podstawie których demony z różnych klanów mogły wchodzić do siedzib innych, nadal przerastały jej możliwości poznawcze, ale i tak nie było powodu, by tu został.

Nie zapalając światła, szła po zimnych kafelkach posadzki w stronę lodówki. Hm... Ser, resztki bardzo krwistej pieczeni w kałuży krwi... żołądek Megan fiknął salto, nie wiedziała, z obrzydzenia czy z głodu, i wolała się nad tym nie zastanawiać. Wzięła ser i zamknęła lodówkę.

W spiżarni są krakersy. To dopuszczalna przekąska. Garstka ciastek, kawałek sera i żadnych śladów, które musiałaby ukryć w sypialni.

Otworzyła pudło krakersów, gdy usłyszała śpiew. Rozlegał się, odkąd weszła do kuchni, ale dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę.

Przez chwilę jej serce biło panicznie, ale zaraz się uspokoiła. Nie byli na górze. Dźwięk nie narastał, więc jeszcze nie wracali z podziemi. To pewnie echo albo cieńsze ściany. A może jest bezpośrednio nad katakumbami?

Obok spiżarni dostrzegła małe, prawie niewidoczne drzwiczki w gładkiej ścianie. Nie powinna ich otwierać. Nadużyłaby ich zaufania, choć przecież właściwie nie obiecała, że nie będzie patrzeć.

Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Jej stopy poruszyły się samowolnie, jej palce znalazły prawie niewidoczną klamkę w drzwiach.

Prawdopodob-

nie to i tak tylko składzik. Albo winda do transportu dań z kuchni do sali jadalnej.

Ale nie. Okazało się, że to malutki pomost, ogrodzony balustradą, nad schodami wykutymi w skale. Bezpośrednio pod nią był Greyson. Nagi, stał na podium u szczytu długiego drewnianego stołu. Jego ciało od stóp do głów pokrywały rysunki, czarny i czerwony atrament wił się na jego skórze. Rozpoznawała greckie litery, słowa przecinały jego ramiona, narysowane pędy winorośli oplatały jego barki, widziała płomienie, zdobienia, dziwne wzory. Nagi zawsze wydawał jej się bogiem. Teraz wyglądał na to, czym był: demonem, nie z tego świata istotą, która być może wcale do niego nie należy.

Chciała się odwrócić, oddać naruszoną prywatność, ale właśnie wtedy Greyson stanął w płomieniach. Uniósł ramiona ku niebu jak feniks i zaczął mówić. Jego głos wypełniał całą salę i uszy Megan; mówił w języku demonów, ale słyszała w jego słowach obietnice i przysięgi. Przykucnęła, bojąc się wyjść i bojąc się zostać, zagryzając usta, by nie krzyczeć. Nie chodziło o ogień. To moc, czysta, żywa moc, która wypełniała pódziemia, owijała ją, chciała się dostać do środka.

*Rubenda* zaczęli nucić. Bęben wybijał rytm, głośny i szybki. Płomienie z Greysona rozpełzły się dokoła, dosięgły wszystkich przy stole, wędrowały po posadzce, po ścianach. *Rubenda* zapalali własne, mniejsze ognie i łączyli się z Greysonem, aż sala przypominała piekło, a płomień wspinał się w stronę sklepienia. Po twarzy Megan spływał pot.

Kapłan wystąpił naprzód z morza ognia, położył rękę na głowie Greysona. Płomienie zgasły natychmiast. Pełna wyczekiwania cisza zawładnęła pomieszczeniem.

- Greyson Plantagenet Dante - zaintonował kapłan. Jego głos niósł się echem po kamiennej czeluści.  
- *Achen* Salomon Plantagenet Dante, *achen* Greyson Plantagenet Dante, *achen* Luchior Plantagenet Dante, *achen* Aradios Plantagenet Dante...

Lista imion recytowana monotonię grobowym głosem, opary dymu w powietrzu, zapach kadzidła - smocza krew, o ile się nie myliła - zdecydowanie owocowy i pikantny... to wszystko przyprawiało Megan o szybsze bicie serca. Była wysoko, z dala od nich. Tylko instynkt, odruch myszy w wilczym legowisku powstrzymywał ją przed opuszczeniem barier i dołączeniem do nich, tam, na dole.

Wystarczy, że rozchyli dłoń, a i ona rozпали ogień z niczego, i ona stanie się jedną z nich. Przecież była nimi, była nimi wszystkimi... Przycisnęła rękę do ust tak mocno, że zabolalo.

Z prawej strony nadszedł jeden z braci - wydawało jej się, że to Maleficarum. Niósł przykryty półmisk, lśniący złotym blaskiem w świetle pochodni.

*Rubenda* wznosili okrzyki, klaskali, walili dłońmi w stół.

Jedni krzyczeli:

- Greyson Dante! Inni im wtórowali:

- Tempelton Black!

Ryki stały się głośniejsze, bardziej zwarte, aż zmieniły się w jedno słowo, które odbijało się od ścian i przepełniało duszę Megan:

- Gretneg! Gretneg! Gretneg!

Maleficarum podniósł pokrywę. Nawet z tej odległości wiedziała, co tam jest, wiedziała, co się zdarzy. Rytuał starszy niż czas - gest szacunku i ciągłości, forma wspólnoty zawłaszczona przez współczesne zinstytucjonalizowane religie. Czytała o tym, studiowała to,

ale nigdy nie myślała, że będzie tego świadkiem. Chciała zamknąć oczy, ale jej powieki za żadne skarby nie chciały opaść. To był błąd, to był wielki błąd, nie powinno jej tu być...

Greyson wyjął serce Templetona Blacka z kałuży krwi. Dźwięk jego zębów wbijających się w krwawy mięsień niósł się głośnym echem przez jaskinię, niķł dopiero w uszach Megan, gdzie zagłuszało go walenie jej serca.

Chciała się wycofać, gdy Greyson wyciągnął rękę, chciała wstać, ale potknęła się, gdy kapłan przeciął głęboko jego skórę srebrnym ostrzem. Złapała równowagę, gdy jego krew płynęła do złotej czary w dłoniach Malleusa.

Ale nie zdążyła uciec, zanim *rubenda* nie podeszli z pucharami w dłoniach.

## Rozdział 20

Płukała usta, raz za razem, spluwała do zlewu, za wszelką cenę starała się nie patrzeć na swoją twarz w lustrze. Nie miała na to czasu, nawet gdyby chciała. Nie wiedziała, jak długo jeszcze może potrwać ceremonia.

Odgarnęła spocone włosy z czoła, wyszła z łazienki, wzięła torebkę i buty, otworzyła gwałtownie drzwi i puściła się biggiem.

Marmurowe schody nigdy nie wydawały się tak śliskie, hol tak groźny. W mroku pod wiecznie ruchomym sklepieniem nie czaiły się duchy. Demony nie kryły się po kątach; wszystkie przebywały w lochach.

Niebezpieczeństwo było w niej, w tej części nakazującej jej podglądać ceremonię, z którą nie miała nic wspólnego. Jakaś jej część chciała to zobaczyć, część, która wiedziała, co to jest: przekaz mocy, kontynuacja rytuałów istniejących od tysięcy lat, starszych nawet niż obrządek pogrzebowy, i ta część jej duszy chciała brać w tym udział. Część, która wiedziała, że to nie jest rytuał ludzi, że Greyson nie jest człowiekiem i ona też nie, nie do końca.

Część, która widziała, jak krew tryska z serca Templetona Blacka w ostatnim wymuszonym zrywie, by po chwili spłynąć po brodzie Greysona.

I pragnęła zedrzeć z siebie ubranie, zbiec z kamiennych schodów do niego, objąć go tak, by atrament na jego skórze przeniknął na nią. Chciała zlizywać z niego krew, czuć jej smak, surowy, metaliczny, czuć, jak jej ciało wypełnia się mocą, którą on jej daje, wbija w nią, wypełnia, aż krzyczy w ekstazie, a wszyscy zebrani patrzą.

Ta pokusa wkradła się podstępnie do jej umysłu; musiała wyjść, zostawić to za sobą, zanim jej ulegnie.

Poślizgnęła się na podłodze u podnóża schodów. Skręciła kostkę, usiłując utrzymać równowagę, ale zmusiła się, by ni to biec, ni to skakać do drzwi przez ciemne prostokąty światła przenikającego przez okna, odkryta i bezbronna, jak ranna ofiara polowania przemykająca wśród rzadkiego listowia.

Nacisnęła klamkę. Ani drgnęła. Szarpała się z drzwiami, aż rozbolała ją ręka. Na nic.

Bez pozwolenia Gretneg nikt nie wejdzie ani nie wyjdzie z Iureanlier. Znalazła się w pułapce.

Gdy po raz pierwszy usłyszała walenie, w panice pomyślała, że to ona. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że stoi ze zwieszonymi ramionami, zaciskając pięści.

Ktoś był na zewnątrz, walił w drewnianą bramę, która oddzielała dom od ulicy. Odskokzyła od drzwi. Policja. To na pewno policja, dowiedzieli się o ceremonii, wiedzieli o wszystkim, byli...

Uspokój się, do cholery! Policja prawdopodobnie nawet nie wie o tym, że Templeton Black nie żyje, a co dopiero o rytuałach demonów i czymkolwiek więcej. Pomysł, że są na zewnątrz, gotowi aresztować każdego, za... za co właściwie, za zbezczeszczenie szczątków demona, był niedorzeczny.

Zacisnęła palce na jednej z ciężkich czerwonych aksamitnych kotar i szarpnęła, ale reflektory na trawniku były zbyt jasne, by cokolwiek zobaczyć. Przez jedną krótką chwilę dziękowała losowi, że nie udało jej się wyjść na zewnątrz, zanim w holu nie rozległy się głosy i nie rozbłysły światła.

- Pani? Co się dzieje? - Maleficarum stał za nią, jego potężne dłonie zawisły w powietrzu kilka centymetrów od jej ramienia.

- To Maldon - warknął Malleus, odsuwając zasłonę. - Co ten drań sobie myśli? Straszy naszą panią! Urządza awanturę!

- Uważaj, jak się wyrażasz, Mai!

- No - sapnął Spud.

- Zdaje się, że błaga o życie.

Odwrócili się jednocześnie, słysząc głos Greysona. Megan bała się na niego spojrzeć, przerażona, że będzie nadal nagi, pomalowany, z krwią spływającą mu na pierś, na..

Nie myśl o tym!

Ale wyglądał zupełnie tak samo jak dawniej, zanim udał się na ceremonię, poza tym, że miał wilgotne, czyste włosy i zwykłe ubranie. Czarne spodnie, czarny sweter.



Greyson na luzie. W lewej dłoni trzymał oszronioną butelkę szampana.

Dławiący strach opadł. Nie zmienił się w dzikiego potwora przez tę godzinę. Zachowywał się jak zawsze, w jedną z wielu nocy, gdy witał ją schłodzonym trunkiem i gorącym pocałunkiem. Gdyby nie paniczne bicie jej serca, uwierzyłaby prawie, że to taki zwykły dzień.

Odzyskała głos.

- O życie?

- Wie, że jutro spotykamy się z Winstonem. Tak.

- Ale jego życie nie jest w niebezpieczeństwie.

- Nie jest? - Butelka z brzękiem stanęła na stoliku.

- Nie. To znaczy... Och.

- Usiłował cię zabić. Usiłował zabić nas oboje.

- Ja nie mogę... Nie mogę po prostu żądać jego śmierci, Greyson. Nie mogę.

- Ja tak.

- A jeśli cię poproszę, żebyś tego nie robił? Cofnął się, wsunął dłonie do kieszeni.

- Jeśli mnie poprosisz... porozmawiamy o tym. - Teraz?

- Nie. Teraz stoi na ulicy, gotowy urządzić awanturę. Nie chcę, żeby tam tkwił dłużej niż to konieczne.

- Spojrzał na buty i torebkę, które nadal kurczowo ścisnęła w dłoni. - Mai, przynieś płaszczyz pannę Chase. Lepiej włóż te buty, Meg.

- Wyjdziemy na dwór?

- Powinniśmy rzucić na niego okiem, zanim go wypuścimy, nie sądzisz?

Och. Ktana Leyak.

- Ale to nie Yezer, więc chyba nic mu nie grozi?

- Tak myślę, ale wolałbym nie ryzykować. Zwłaszcza że jest bardzo... No cóż, poruszony, i tym razem podatny, a nie mamy pewności, że...

Skinęła głową, gdy Malleus narzucił jej płaszcz na ramiona. Stopy nie chciały wejść w zimne, sztywne buty. Schyliła się, by je włożyć i niemal upadła.

Greyson nie zażartował z jej niezdarności, choć zazwyczaj to robił. Zerknęła na niego, ledwie odzyskała równowagę, i napotkała jego wzrok. Zobaczył ją pod drzwiami, szykującą się do ucieczki. Chciał coś powiedzieć? I czy ona chce, żeby coś powiedział?

Problem z sekretami polega na tym, że w miarę upływu czasu coraz trudniej je zachować. Przelotne rozmowy, proste pytania wymykały się spod kontroli. Im bardziej je odsuwała, tym stawały się mniej proste, bardziej skomplikowane i pełne pułapek.

- Otwórzcie drzwi - nakazał.

Zimne powietrze wtargnęło do holu. Pachniało drzewnym dymem i śniegiem. Białe niebo wisiało nisko i ciężko. Megan zapomniała, że do Bożego Narodzenia zostało już tylko kilka dni.

Wyszli, zostawiając ślady w białej warstewce śniegu na schodach i alejce, aż stanęli przy bramie.

Chłopcy byli tuż za nimi.

- Greyson, Megan - zaczął Orion. Stwierdzenie, że demon krwi miał przekrwione oczy wydawało się tandetne, ale ich różowawy odcień z pewnością nie był skutkiem pożądania czy gniewu, a drżenie w ochryłym głosie przyprawiało ją o dreszcze. Greyson miał rację. Orion przyszedł błagać.

- Czego chcesz, Orion?

- Porozmawiać z tobą. Mam informacje. Przyszliście do mnie, żeby je zdobyć. Teraz wam powiem. Za darmo. Nie będziecie mi winni nawet jednej przysługi.

- Nie.

Rzuciła okiem na Greysona, już otwierała usta, ale jego ostrzegawcze spojrzenie sprawiło, że znowu je zamknęła.

- Megan? Nie chcesz wiedzieć, jak do tego doszło? Co zrobił twój ojciec, co powiedział? Dlaczego zostawił ci ten szpital?

- Jestem zmęczona, Orion. I znudzona - skłamała, ale jego słowa rozbrzmiewały echem w jej głowie. Chciała wiedzieć, dlaczego ojciec zostawił jej szpital. Czy to ostatnie upomnienie z za grobu? A może przeprosiny, na które nie mógł się zdobyć za życia?

- Mogę ci powiedzieć - ciągnął Maldon. - Byłem tam, wiem wszystko. Chcę tylko jednego - dajcie mi żyć. Zostawię cię w spokoju. To zresztą nie był mój pomysł, tam u mnie. Wiecie, że nie. - Jego różowe oczy powędrowały do Greysona. - Wiesz, że nie ja za tym stoję, prawda?

- Podobnie jak wiem, że skwapliwie skorzystałaś z okazji - odpowiedział Greyson.

- Pieprzyłeś moją żonę! Co miałem... - Orion ucichł. Jego wąskie palce zacisnęły się na bramie. - Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, ale to nie jest sprawa osobista. Greyson wzruszył ramionami.

- Nic z tego nie jest. Chodźmy, Meg, zimno tutaj. Chwycił ją za rękę i zaczął się odwracać, ale następne słowa Oriona zatrzymały ich oboje.

- Powiem wam, jak powstrzymać *leyak*! Wiem, czego ona chce!

Przez chwilę Megan myślała, że jakoś udało mu się wyważyć bramę i runęła z hukiem podobnym do grzmotu. Potem usłyszała jego krzyk. Już rzucała się na ziemię, gdy Greyson złapał ją za kark i pociągnął za sobą.

To nie wybuch. Coś czarnego, błyszczącego, jak obsydianowa kula z ogonem czerwonych iskier. Wymierzona nie w nią, ale w Oriona, który wrzeszczał:

- Wpuśćcie mnie! *D'sham tergan, chresh! Chresh!* Krucha zamarznięta trawa raniła jej dłonie jak żyłki, gdy usuwała się na bok. Greyson objął ją w pa

się, chciał odciągnąć dalej przez oblodzony trawnik, ale nie uległa mu. Front domu był nagi, pozbawiony drzew i krzewów. Musieliby pokonać schody, by znaleźć schronienie. Poniewczasie zdała sobie sprawę, że on też to wie i ciągnie ją w stronę sosnowego zagajnika koło domu. Razem ruszyli w tamtym kierunku.

Kolejny huk. I krzyk Oriona. A także inne głosy, niskie, szorstkie, ciche:

- Dostał. Brać go!

- Greyson, musimy mu pomóc - wysapała Megan. - Nie możemy go tak zostawić!

- Dlaczego nie? Jutro i tak umrze. Maleficarum dołączył do nich, popychając między drzewa. Zapach sosen wypełnił jej nos i przez jedną absurdalną chwilę poczuła bliskość Bożego Narodzenia.

Dopóki sucha sosnowa igła, ostra jak skalpel, nie wbiła się w jej policzek, gdy padała na ziemię.

- O cholera!

- Nic ci nie jest?

Na ulicy rozległy się ciche kroki, najpierw dalekie, potem coraz bliższe.

- Ratunku! *Chresh!* - Histeria w głosie Oriona sprawiła, że zacisnęła zęby. Rozejrzała się i widziała, jak kolejny pocisk trafia w ogrodzenie i wybucha deszczem czarnych iskier, niczym cekiny na sukience Justine.

- Musimy mu pomóc!

- To nas nie dotyczy, to...

- Greyson! *Ak vend retchia! Ak vend retchia!* Maleficarum mruknął pod nosem coś, czego, o czym Megan była święcie przekonana, nie powiedziała w jej obecności w żadnym innym momencie, ale jego słowa zagłuszył bardziej dosadny komentarz Greysona.

- *Ak vend retchia* - aaaaa!

- Niech to szlag trafi! - Greyson przerwał na moment, a potem krzyknął: - *Retchia a capt.* - Megan usłyszała, że kroki się zbliżają. Brama zaskrzypiała i zatrzasnęła się.

Greyson chwycił ją za rękę i pociągnął w kierunku niewielkich bocznych drzwi, których do tej pory nie widziała.

- Cholera.

- Co...

Jego twarz spowijał cień.

- Mai i Spud mają go. Udzieliłem łajdakowi azylu.

- Zadzwoń do Tery.

Potknęła się z wrażenia. Nigdy się nie spodziewała, że usłyszy te słowa z jego ust.

- Co?

- Zadzwoń do niej, zaraz. Powiedz, że mamy Oriona, że jest ranny, ale przekonaj ją, że nie pomożemy mu uciec ani zrobić nic równie głupiego. - Urwał, znowu zmierzył wzrokiem jej torebkę i buty, skrzyżował ręce na piersi. - Proszę, Meg.

Ogień w kominku ją rozgrzewał, ale słuchawka i tak była zimna w jej dłoni. Tera odebrała po pierwszym sygnale.

- Megan, czy Orion Maldon jest w tym domu? Musicie go nam wydać, ma być nieuzbrojony...

- Spokojnie, Tero. Tak, jest tutaj. Jest ranny. Nie pomożemy mu w ucieczce ani w niczym równie głupim, ale...

- Posłuchaj, to nie ma nic wspólnego z tobą czy Greysonem. To nie jest nawet moja decyzja, nie ja wydałam ten rozkaz. To sprawa Vergadering i nie zawaham się wyważyć tej pieprzonej bramy, jeśli...

- Tero, proszę. Posłuchaj mnie przez chwilę, dobrze?

Nie wiedziała, czy milczenie oznaczało, że może mówić, czy Tera była po prostu zbyt wkurzona, by odpowiedzieć. Z nadzieją na to pierwsze, zaczęła:

- Maldon ma informacje, których potrzebuję. O moim ojcu, pamiętasz, mówiłam ci o tym? O szpitalu? Przyszedł tu, żeby mi wszystko opowiedzieć. Muszę to usłyszeć. Proszę. Nie wyważaj bramy.

Greyson prychnął. Chłodna bryza muskała jej skórę, rozpraszała uwagę. Mieli teraz świętować. Tulić się w jego dużym łóżku z butelką szampana.

A tymczasem tkwią tu, w jego gabinecie, a ten, który usiłował ich zabić, szłocha i krwawi za drzwiami, na ulicy czeka oddział czarownic - prawdopodobnie z taranem - a na dodatek Greyson wiedział, że chciała od niego uciec, gdy wrócił z lochów po ceremonii.

W końcu Tera westchnęła.

- Daj mi Greysona. Megan usłuchała.

- Cześć, Tero. Nie. Musiałem, nie chciałem. Odwołał się do... Nie, nie... Nie. Nie pozwolę na to, masz moje słowo. Tak. Przysięgam. Hej, nienawidzę faceta, nie chcę pomagać mu w... dobrze. Tak, już ci ją daję.

Podał Megan telefon i pochylił się, jakby chciał ją pocałować, ale powstrzymał się. No dobrze, zdecydowanie muszą porozmawiać o tym, co się stało. Poczucie winy kazało jej schylić głowę i odwrócić wzrok, gdy unosiła słuchawkę do ucha.

Rzecz nie w tym, że już go nie pragnęła. Nadal go pożądała. Nawet nie postrzegła go jakoś inaczej. Przecież to, co widziała, nie dzieje się na co dzień.

Nie, problem dotyczył jej samej; zobaczyła siebie w innym świetle, sama sobie wydawała się potworem, i nie miała pojęcia, jak mu to powiedzieć. Jemu czy komukolwiek innemu.

- Zgoda - oświadczyła Tera. - Wykonam kilka telefonów i powinniście mieć spokój w nocy. Ale rano musicie nam go wydać.

Megan zwiesiła ramiona. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, że są napięte.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy. Zadzwoń jutro.

- Dobrze. Cześć. - Rozległo się kliknięcie, gdy Tera się rozłączyła. - Co się dzieje? Jaki azyl? I co Vergadering robi pod bramą?

Podał jej szklanekę do połowy wypełnioną bourbo-nem.

- Co się dzieje? - zaczął. - Właśnie przeszkodziliśmy Vergadering w aresztowaniu Maldona. Azyl - *retchia* -to pradawny zwyczaj demonów; zasadniczo trzeba go udzielić, jeśli ktoś o niego prosi. A Vergadering jest na zewnątrz, bo, jak przypuszczam, myślą, że Orion zabił te czarownice, które Temp nasłał na mnie. Jeszcze jakieś pytania?

- Dlaczego myślą, że to on? - Whisky paliła ją w gardle i sprawiała, że oczy nabiegły jej łzami, ale i tak poczuła się lepiej, silniej. Fałszywa siła, ale zawsze siła.

Wzruszył ramionami.

- Pewnie dlatego, że w strategicznych miejscach podrzucono odpowiednie tropy.

- Więc nie zamierzałeś kazać go zabić, tylko aresztować? Jak... T-Templetona? - To krwawiące serce...

- Och, nie. Oczywiście, że chciałem go zabić. Ale tym sposobem, gdy znajdą jego ciało, Vergadering zamknie sprawę. - Nie dodał: co oznacza, że dadzą nam spokój, ale Megan wiedziała, że te słowa kryją się w podtekście.

Cholera, jakim cudem mu się to udaje? Przedstawia wszystko tak, że jego sposób postępowania wydaje się

jedynym rozsądnym wyjściem z sytuacji, rozgrywką - albo ich życie, albo czyjeś inne.

I przy okazji robi wrażenie wyjątkowo wielkodusznego.

- Co mi przypomina, że muszę zadzwonić do Winstona - powiedział i wyjął komórkę. - Nie ma sensu odkładać czegoś, co możemy zrobić dzisiaj.

- Nie! To znaczy... Nie moglibyśmy najpierw... powiedziałaś, że o tym porozmawiamy.

- I porozmawiamy. Ale Win musi wiedzieć, że on tu jest, tak żeby mógł wpaść, jeśli zechce. Możemy się z nim zaraz spotkać.

Skinęła głową. Przecież i tak nie uda jej się szybko zasnąć. Nawet jeśli tu zostanie.

Co do tego była w rozterce. Czy raczej w rozterce był jej umysł, jej oba serca były jednogłośne i chciały zostać. Umysł podpowiadał, że to kiepski pomysł.

Może kiepskim pomysłem jest dalsze angażowanie się w to wszystko. Mimo tego, co Winston powiedział jej wcześniej, że już czas, by wzięła sprawy w swoje ręce, czuła, że choć demonom to by się pewnie spodobało, dla niej byłoby to najgorsze wyjście. Gdy myśli, że morderstwo to niezły plan, gdy postrzega ludzi - choćby przez chwilę - jako problemy, z którymi trzeba się uporać, a nie jako osoby, coś jest nie tak.

Ale czy przez lata sama nie zmuszała się, by tak o nich myśleć? Postrzegać ich przez pryzmat ich problemów, traktować ich życie jako tło, na którym rozgrywają się elementy terapii?

Czy jej praca nie była niczym innym, jak sposobem, by zachować dystans, by poczuć się lepszą niż pozostali? Czy te zmiany to efekt przebudzenia cząstki demona w jej sercu, czy też to jej prawdziwe uczucia - nieważne, że niskie i mroczne - które w końcu doszły do głosu?



Jakkolwiek by było, nie miała własnego osobistego demona. Wszystkie świństwa, które przez minionych szesnaście lat zrobiła innym, zrodziły się tylko i wyłącznie w jej ludzkim sercu. Greyson patrzył na nią dziwnie i zdała sobie sprawę, że stoi na środku pokoju ze zmarszczonym czołem i zagryza usta.

- Ja... Zamyśliłam się i...

- Nie wpadłbym na to. Win już tu jedzie, więc zajmijmy się Orionem. Chcę mieć to z głowy.

- Co z... Kiedy zdecydujemy, co z nim będzie? To znaczy, co powiemy Winstonowi?

Dopił swojego drinka.

- Najpierw posłuchamy, co ma nam do powiedzenia. Może zmienisz zdanie, gdy wysłuchasz jego historii.

## Rozdział 21

Orion, drżący i owinięty w koc, wpadł z impetem do pokoju. Powód jego dramatycznego wejścia szybko się wyjaśnił - Malleus stał za nim z uśmiechem rozbawienia na twarzy.

- Cześć, Orion - powiedział Greyson. Kontrast między nimi - on schludny, czysty, dobrze ubrany i Orion w kocu, z krwawą skorupą na włosach i twarzy - nie mógł być bardziej wyrazisty.

A jednak Orion budził jej podziw. Stał wyprostowany jak struna. Skinął głową jak udzielny książę.

- Greyson. *Cal eptari retchia*.

- *Retchia senshar*.

Gdy formalnościom stało się zadość, Orion chciał opaść na miękki fotel za jego plecami.

- Nie przypominam sobie, bym pozwolił ci usiąść -zauważył Greyson.

Megan spojrzała na niego, potem wróciła wzrokiem do Oriona. Maldon poczerwieniał.

- Przepraszam, Gretneg Dante. Mogę usiąść? Greyson skinął głową. Osiągnął swój cel: podkreślił, że Orion jest w jego domu. I w poważnych tarapatach.

Do tego stopnia skupiła się na wcześniejszym rytuale, że nie do końca uświadamiała sobie, co oznaczał, nie zwróciła uwagi na zmianę w Greysonie. Moc wypełniała pokój; ta sama siła, którą wyczuwała w Templetonie Bla-cku i innych Gretneg. Teraz Greyson był jednym z nich.

Oczywiście, ona także, ale tylko teoretycznie. Jej moc nie wzrosła, nie mieszkała w Iureantier klanu Yezer, nie odbyła rytuału i nikt tego od niej nie oczekiwał, poza rytuałem Haikken Kra. Co do którego wciąż nie miała pewności.

Może ten rytuał pomógłby jej, ułatwił zaakceptowanie i zwalczenie szalonych zachcianek. Może dzięki niemu stałaby się na nie bardziej odporna. Żałowała, że nie dowiedziała się więcej na ten temat, tylko od razu stanęła okoniem, ale wtedy nie wydawało jej się to skomplikowaną decyzją. Chcieli, by wzmocniła w sobie demona, dała mu wolną rękę, by mówiąc w skrócie, stała się demonem. Nie podobało jej się to. Prosta sprawa - przynajmniej tak wtedy myślała.

- Przyszedłeś udzielić nam informacji, Orion. Mów. Orion pblizał usta.

- Chce mi się pić.

Greyson zerknął na Spuda, który nalał mu drinka. Orion wziął kieliszek w obie podrapane dłonie, jak dziecko. Demoniczne serce Megan drgnęło. Odwróciła wzrok.

- Winston już tu jedzie. Przyszedłeś prosić doktor Chase i mnie o łaskę. Może spróbujesz nas przekonać, dlaczego mielibyśmy ci ją okazać.

Cisza wibrowała jej w uszach. Czyli Orion nie zamierzał mówić. Przyszedł z niej drzwi, drażnić tym, co wiedział, w nadziei, że półsłówka uratują mu życie. Jak mogłaby mieć pewność, że mówi prawdę? Wierzyła w słowo Greysona. W Oriona Maldona - nie.

- Poszedłem do jej ojca - odezwał się w końcu. - Znalazłem ją. Zamieszkałem w Grant Falls i obserwowałem.

- Jak? - zaczęła Megan, ale Greyson uciszył ją szybkim ruchem głowy.

Orion mówił dalej, jakby niczego nie zauważył.

- Szukaliśmy odpowiedniej osoby, by przez jakiś czas pomóc Oskarżycielowi, ja i Temp. Nie wiedziałeś, że się przyjaźniliśmy, ale tak było. Dorastaliśmy razem... Był ode mnie o kilka lat starszy, ale znaleźliśmy się. Zacząłem szukać. W wolnym czasie. Nie byłem wtedy *lakń*, tylko zwykłym żołnierzem. Miałem czas. Zwiedziłem prawie każde miasto i wieś w trzech stanach, zanim cię znalazłem. - Jego niebieskie spojrzenie powędrowało do Megan i na okamgnienie pokorny przegrany zniknął, wrócił dumny demon, którego widziała pamiętnej nocy w Grant Falls. - Gdybyś ją wtedy zobaczył, Greyson...

- Malleus - powiedział Greyson płynnie i zanim Megan albo Orion zdążyli zareagować, Malleus zrobił krok w przód i uderzył Oriona w twarz muskularną ręką.

Wyglądało niegroźnie, jakby tylko odganiał komara, ale ciszę przerwał głośny policzek i głowa Oriona odskoczyła w bok. Z jego ust i nosa buchnęła krew. Serce Megan podeszło do gardła. Gdzieś w głębi jej duszy nadal trwało wspomnienie tego, co widziała, wciąż wrzało

w niej pragnienie. Nie chciała patrzeć na przemoc, nie chciała czuć zapachu krwi.

Orion kurczowo trzymał się za usta, piorunując Greysona wzrokiem. Ten patrzył na niego obojętnie.

Orion pierwszy odwrócił oczy.

- Znalazłem ją - powtórzył w końcu ochryple. -I zwróciłem się do jej ojca, by zawrzeć umowę.

Megan widziała to w głowie; to nie była wizja, ale ciąg wydarzeń, tak jak przedstawiał go Orion.

Pewnego dnia wszedł do biura jej ojca i powiedział, że jest klientem szukającym doradcy podatkowego. Stan jego konta na pewno zainteresował jej ojca i narodziła się swoista przyjaźń.

Niedługo trwało, a przeszli do tematu Megan.

- Mówił, że sprawiasz kłopoty - opowiadał Orion. -Że jesteś krnąbrna, że nie wiesz, co z tobą robić. Wszczyłaś awantury z ich znajomymi. Dzieci w szkole cię nie cierpiały. I do tego...

- Dość - przerwał mu Greyson. Megan spojrzała na niego, ale patrzył na Maldona. - Co to dokładnie była za umowa?

Megan miała zostać nosicielką Oskarżyciela. W zamian za to księgowy David Chase mógł liczyć na rozwój firmy, wysoką pozycję w mieście i gwarancję, że nikt nie zwróci uwagi na jego problemy z dziećmi - do tego czasu Dave'a już raz aresztowano za posiadanie marihuany, co dla Megan było nowiną. Maldon miał potężnych przyjaciół, którzy mogli zatrzeć złe wspomnienia mieszkańców i usunąć niewygodne raporty policyjne.

- Czy, on... - Gardło Megan ścisnęło się. Pokręciła głową.

- Czy wiedział, co robi? - dokończył za nią Greyson. - Co z nią będzie?

Orion skinął głową.

- Miała przebywać w szpitalu. Oskarżyciel mógł tam rosnąć w siłę, wykorzystując jej ciało. A w odpowiedniej chwili... - Maldon wzruszył ramionami - ujawniłby się.

- A Megan umarłaby.

- I tak miałyby kiepskie życie. Opętana przez Oskarżyciela, uwięziona w szpitalu... Zabolały ją dłonie. Opuściła wzrok i zobaczyła, że krew sączy się między jej zaciśniętymi palcami. Orion też to zauważył. Jego nozdrza się rozszerzyły.

- Jestem bardzo słaby - oznajmił, wpatrując się w jej rękę. - Nie wiem, czy bez czegoś mocniejszego dam radę mówić dalej.

- Dasz - mruknął Greyson.

- *Retchia* mówi, że masz mi dać wszystko, czego zażądam.

- Malleus - powiedział Greyson jeszcze raz. Malleus zrobił krok w przód, podciągnął rękaw czarnego swetra. Spud wyjął groźnie wyglądający nóż.

- Nie. - Orion podniósł dłoń. - Nie jego. Jego krew jest zbyt słaba. Znasz zasady, Greyson. Gretneg musi okazać największą gościnność tym, których zobowiązał się chronić.

Greyson wpatrywał się w niego. Tak jak wszyscy inni w pomieszczeniu.

- Inaczej naruszysz *retchia* - dodał Orion. O, nie.

Greyson westchnął i podciągnął rękaw. Rana zadana podczas ceremonii jeszcze się nie zagoiła, długie nacięcie przecinało jego przedramię. Megan odwróciła wzrok, ale ten obraz został w jej pamięci, przypominał wszystko, co działo się wcześniej, każdą sekundę wszechogarniającej paniki.

- Orion, chyba zdajesz sobie sprawę, że to kiepski sposób, by zdobyć moją przychylność.

Orion wyprostował się na krześle. Śmiało patrzył mu w oczy. Po raz pierwszy nie wyglądał na małego, irtującego psa, który ma większą władzę, niż na to zasłużył.

- Nie bawmy się w gierki, Greyson. Obaj wiemy, że nie darujesz mi życia. Gdybym nie poprosił o azyl, zostawiłbyś mnie pod płotem na pastwę czarownic i żałowałbyś jedynie tego, że nie zginąłem na twój rozkaz.

Obaj mężczyźni przyglądali się sobie przez dłuższą chwilę. W końcu Greyson skinął głową.

- Dobrze - powiedział. - Dobrze. Spud?

Spud nie otworzył starej rany. Zrobił nowe, mniejsze nacięcie na żyle. Krew płynęła do kryształowego kielicha w rytm uderzeń serca Greysona.

Pod powiekami Megan zapłonęły czerwone ognie. Były w nich krew i ból, i wspomnienie serca Templetona, płomienie wypełniające loch i nagie ciało Greysona, jego uniesione ramiona; oto Pan Piekieł w swojej najczystszej, najpotężniejszej formie. Cięcie na jego skórze szydziło z niej i znowu zobaczyła jego plecy, poranione jej namiętnością, jak wtedy, w starej sypialni.

Jej serce waliło mocno. Demon w niej wił się i krzyczał, gdy krew płynęła do kielicha, niemal do samej krawędzi, zanim Greyson wyjął chustkę, a Spud podał naczynie Orionowi. Maldon uniósł je do ust, wychylił, opuścił, odsłonił poplamione czerwienią usta i tego było już dla Megan za wiele. Nie była już sobą, była czystym pragnieniem, pożądaniem, czymś tak niepohamowanym, że mogła zrobić tylko jedno, by się temu oprzeć.

Uciec.

Jej kroki niosły się echem na białym marmurze, jakby do drzwi biegła cała armia zdesperowanych kobiet, a tuż za nimi pędził jeden zdecydowany mężczyzna. Jeden, ale

szybszy, niż ona kiedykolwiek będzie. Wiedziała, że to on, a jednak krzyczała, gdy złapał ją za ramię. Usiłowała się wyrwać, ale tylko straciła równowagę i mało brakowało, a upadłaby. Podłoga była coraz bliżej, póki nie zamknął jej w ramionach i nie przyciągnął do swojej ciepłej piersi.

- Rany, Meg - wysapał ochryple. - Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jest aż tak źle?

Słowa nie docierały do świadomości. Chyba nic nie zdoła przedrzeć się przez szkarłatną mgłę w jej mózgu, duszącą potrzebę w klatce piersiowej. Walczyła, walczyła w jego ramionach, aż z całej siły nadepnęła mu na stopę.

- O cholera! - Rozluźnił chwyt, ale trwało to zbyt krótko, by skorzystała z okazji.

Wilgoć powoli przesiąkała przez jej sukienkę na wysokości talii. Greyson nie zatamował jeszcze krwawienia. Jej żołądek zawirował. Wdychała ten zapach, widziała to, na pościeli, na wargach Oriona... niemal czuła ten smak.

Krzyknęła krótko, jej głos niósł się echem po sali, aż jej ciało dało za wygraną i zwymiotowała na podłogę.

Paliło ją gardło, bolał żołądek. Miała wrażenie, że nie spała od lat, że ten dzień nigdy się nie skończy.

Greyson cały czas obejmował ją w talii.

- A niech to, ależ to seksowne - odezwał się w końcu. - I do tego chyba amputowałaś mi kawałek stopy.

Jej żołądek znowu się poruszył. Jeśli jest coś gorszego niż wymiotowanie na oczach faceta to powtórka z rozrywki, gdy zażartował.

- Nie...

- Malleus.

Megan powoli odwróciła się i w drzwiach zobaczyła chłopców. Patrzyli na nich z niepokojem. Spud zaciskał

dłonie przy piersi, jak wiktoriańska dama w ataku waporów.

Nie żeby ona wyglądała lepiej. Demony w szklanych domach...

- Panna Chase nie czuje się dobrze - poinformował niepotrzebnie Greyson. - Zabierz ją do pokoju i daj coś do picia. Maleficarum, przynieś jej coś do ubrania i ręcznik, niech pokojówka jej pomoże. Spud, jedź do niej do domu i przywieź czyste ubranie. Winston będzie tu lada chwila i chyba nie chcemy, żeby go powitała w mojej koszuli. Ja posiedzę z Orionem i postaram się wyciągnąć z niego coś więcej, zanim zjawi się Win.

Zawsze ją zaskakiwało, jak szybko chłopcy się poruszają. Ich krępe sylwetki były obliczone na zastraszenie, emanowały brutalną siłą. Tymczasem nie zdążyła mrugnąć, a poczuła na sobie pełne szacunku ręce Malleusa, który ni to ją niósł, ni to prowadził. Pozostali już zniknęli.

Powitały ją złociste ściany saloniku, w którym, nie licząc sypialni, spędzała najwięcej czasu w Iureanlier. Nie był to duży pokój, przynajmniej według standardów tego domu, ale bardzo wygodny, z głęboką, przytulną brązową zamszową kanapą, akurat dla dwóch osób. Telewizor i wieża stereo stały ciche i milczące i tylko tym ten wieczór różnił się od innych.

- Zaraz poczujesz się lepiej, pani. - Czułość w jego szorstkim głosie sprawiła, że jej oczy ponownie nabiegły łzami. - Pozwól, że to rozepnę, będzie ci wygodniej.

Stała jak lalka, a on rozpiął jej sukienkę, zsunął z jej ramion. Skrzywiła się, gdy poczuła na gołej skórze lepki materiał. Krew i wymiociny...

- Przytrzymaj się mnie, pani, i zdejmij też buty. Kiedyś myślała o Malleusie, Maleficarum i Spudzie jak o dziwacznych dziadkach ze świata przestępczego.



Ta myśl niosła pocieszenie, nawet w tej chwili, gdy tusz do rzęs spływał po policzkach, a Malleus zdejmował jej buty i pończochy, czuły i troskliwy jak ojciec wobec małej córeczki.

Jej ojciec nie żyje, naprawdę nie żyje, a zanim umarł, sprzedał ją demonowi. Oddał ją, chciał się jej pozbyć, przehandlował jej życie za sukces w zakochanym miasteczku, o którym nikt nigdy nie słyszał. Swoją jedyną córkę. Dziewczynkę, której kiedyś czytał bajki do poduszki.

Ledwie widziała na oczy i nie wiadomo, dlaczego tak było lepiej. Opuściła powieki i udawała, że Malleus jej nie widzi, udawała, że nie było jej tam, gdy wrócił Maleficarum z ciepłą gąbką i ścierał krew z jej ciała.

Gdy poprosił, by zamknęła oczy i dotknął gąbką jej twarzy, oddech uwiązał jej w gardle. Czuła, jak dwa demony wymieniają nad jej głową zatroskane spojrzenia. Nie wiedzieli, co robić. Kobięcy płacz powodował dyskomfort u większości mężczyzn. Kilkusetletnie demony, które o ile wiedziała, nigdy nie miały kobiety, nie stanowiły wyjątku. Razem włożyli jej jedwabne piżamowe spodnie Greysona, zawiązali troczki w pasie, naciągnęli przez głowę czystą białą koszulkę, posadzili na kanapie.

Maleficarum podał jej szklanekę. Jej chłodna zawartość pachniała bourbonem i colą i domyślała się, że to właśnie w niej jest.

- Cukier ci pomoże, pani - wyjaśnił.

Jakby musiał jej to tłumaczyć. Wypiła połowę jednym haustem, nabrała tchu i chciała wychylić wszystko do dna. Upić się? Jeszcze nigdy nie była to równie kusząca perspektywa. Chciała zemdleć i obudzić się rano. Bez żadnych wspomnień.

Ale to niemożliwe. Nigdy tego nie zapomni.

- Ostrożnie, pani. Nie powinnaś pić zbyt wiele na pusty żołądek.

Ależ owszem.

- Powinam.

- Nie, zaraz tu będzie lord Lawden, a chyba nie chcesz powitać go pijana? To nie wypada.

- A kogo to obchodzi? - Nikomu na niej nie zależy. No dobra, nie powinna tak mówić, są tacy, którym zależy. Ale w tej chwili miała ochotę tak myśleć, wolała zwalić swoje fatalne samopoczucie na samotność, nie na rzeczywistość. Użała się nad sobą, bo dziwnym zrządzeniem losu wygrała główną nagrodę na loterii pecha -przy jej sercu zagnieździł się pasożytniczy demon. Głowa bolała ją od płaczu.

Ile jeszcze czasu upłynie, zanim przestanie się opierać i pozwoli, by demon zwyciężył, brał krew, energię, żywił się ludzką rozpaczą...

- Panowie. - Głos Greysona, gładki i spokojny. -Orion ma kłopoty z pamięcią, a obiecał, że powie nam, jak pokonać *leyak*. Może moglibyście mu pomóc?

Maleficarum poklepał ją po głowie, zanim odszedł. Ten gest spowodował, że znowu zaczęła płakać. Greyson wziął od niej pustą szklankę. Zamknęła oczy i pochyliła się, przywarła czołem do gładkiego zamszu, wsłuchana w grzechot lodu i syk wody gazowanej.

Rozbłysło światło. Greyson zapalił ogień. Miły gest, ale wątpiła, że jeszcze kiedyś będzie jej ciepło. W końcu poduszki ugięły się pod jego ciężarem, gdy usiadł obok niej ze szklanką w dłoni. Drugą rękę położył na jej plecach i grzał je swoim ciepłem.

- Wiem, co się dzieje, Meg - powiedział cicho. -Chcesz o tym porozmawiać?

- To nie w porządku. - Gruby materiał tłumił jej słowa.

- Zależy dla kogo. Dla ciebie? Dla mnie? Może nie dla Tery i Briana, i tej żalosnej bandy hipokrytów, którzy cię wychowali. Nie, *bryaela*. Jesteś silniejsza niż to.

**239**

- Nieprawda.
  - Ależ tak. A teraz wstań i przestań zachowywać się jak dziecko.
  - O Boże. - Odwróciła się, by na niego spojrzeć. -W życiu nie znałam równie niewrażliwego faceta. Ja... zresztą nieważne.
  - Część mojego czaru. - Ale jego uśmiech nie sięgał oczu. Dostrzegła pod nimi cienie, których nie było wcześniej. Głęboko nabrała tchu.
  - Ja... widziałam.
  - Wiem.
  - Przepraszam. Bardzo przepraszam. Nie zrobiłam tego celowo. To znaczy, zrobiłam, ale nie chciałam, byłam głodna, poszłam do kuchni i...
  - I znalazłaś schody - dokończył.
  - Przepraszam. - Nie wiedziała już, czy przeprosza jego, czy siebie, czy... Ale tylko te słowa wydawały się odpowiednie. Wzruszył ramionami.
  - Stało się.
  - Chwileczkę, ty... wiedziałeś? - Oczywiście, że wiedział, idiotko. Praktycznie zawiesiłaś sobie reflektor na szyi.
  - Oczywiście. Poczulem cię tam. A poza tym zazwyczaj nie wędrujesz po domu z butami i torebką pod pachą jak niedoświadczony włamywacz.
  - Spanikowałam.
  - Nie jesteś sobą.
  - Nie jestem pewna, czy to komplement, czy obelga.
  - I o to chodzi.
- Miała wielką ochotę uderzyć go i było to całkiem przyjemne uczucie, zwłaszcza w porównaniu z pełnymi udręki ostatnimi dwudziestoma minutami. Kiedy Grey

son tak się zachowywał, wszystkie jej problemy wydawały się nieważne.

- Chcesz mnie wkurzyć?

- Może.

Megan patrzyła na niego przez dłuższą chwilę. Odpowiedział takim samym spojrzeniem, z powagą w ciemnych oczach. Dziwnie się poczuła, że... no cóż, prowadzą tak intymną rozmowę, a nie robią nic intymnego. Rozmawiali często, częściej nawet niż łądownali w łóżku, ale teraz było inaczej. Problem nie zniknie, choćby bardzo tego chciała. Równie dobrze może mieć tę rozmowę już za sobą. Załatwić to.

Chyba myślał o tym samym.

- Megan, nie sądziłaś chyba, że zdołasz to przede mną ukryć?

- Najwyraźniej sądziłam, skoro próbowałam. Przez jego twarz przemknął uśmiech i trafił prosto do jej serca.

- Jestem czujny, kochanie. I zauważyłbym, nawet gdybyś nie żywiła się mną.

- Nie, ja nie... o rany, naprawdę? Skinął głową.

Dlaczego nie może się upić? Żaden z argumentów, by tego nie robić, nie jest na tyle ważny, prawda? Winston to miły facet, a ona nie musi uczestniczyć w spotkaniu...

Chyba że zachowa się jak... no cóż, jak osoba, za którą uznał ją Orion.

Klatka piersiowa Greysona wyglądała niemal równie kusząco, jak drink. Oparła się o niego, przywarła policzkiem do ciepłej skóry poniżej obojczyka. Rozluźnił się, objął ją.

- Dlaczego nic nie powiedziałeś?

- Proszę cię, Meg.

No tak. Nie chciał naruszyć jej prywatności, podobnie jak ona nie wypytywała jego.

- Ale... oprócz tego... Dlaczego...

- Bo było dla mnie oczywiste, że nie wiedziałaś, że to robisz. Tak jak nie uświadamiałaś sobie, że twój stek nie był przypalony. Albo że tego samego dnia... nie widziałaś swoich oczu.

Uniosła dłonie do twarzy.

- O Boże, zmieniły się?

- Tak. Przedtem takie nie były, przynajmniej ja niczego nie widziałem.

- Nie rozumiem...

- Twój demon rośnie. Nabiera sił, chce coraz więcej. Być może dlatego, że straciłaś część twego klanu, o czym rozmawialiśmy po pogrzebie twojego ojca. A może po prostu tak jest bez żadnej szczególnej przyczyny. Ale daje o sobie znać, a twoja siła nie ulega. Więc demon szuka pożywienia gdzie indziej. Twoja siła nie ulega...

- Żywił się mną?

- Przynajmniej początkowo, tak.

- I dlatego nie działa już to, czego nauczyła mnie Tera.

Poczuła jego baczne spojrzenie. Nie mówiła mu o tym.

- Pewnie tak.

- Więc jeśli... jeśli demon będzie syty, te umiejętności powrócą? Znowu będę mogła czytać ludzi?

- A nie możesz?

- Nie bardzo. Odkąd siostra Geralda przyszła w poniedziałek rano do biura. Chciałam ją pocieszyć, ale... - Pokręciła głową. - Nic z tego nie wyszło.

- To dlatego zrezygnowałaś. Bardzo mnie to zaskoczyło.

**242**

- Nieprawda.
- Nieprawda. Przez chwilę myślałem, że może schyliłaś czoło przed moją ponadprzeciętną mądrością, ale chyba oczekiwałem zbyt wiele. Pomyślałem więc, że to ma coś wspólnego z demonem. To wszystko wyglądało tak racjonalnie, tak rozsądnie, gdy siedzieli, popijając bourbona przy rozpalonym kominku. Mogła sobie wyobrazić, że snują plany wspólnego wyjścia do kina czy do restauracji, ale cały czas było jej zimno, a to coś w jej piersi ciągle było niespokojne. Inaczej. Było spokojniejsze, ale nie spokojne. Do pokoju wszedł Spud z naręczem jej ubrań i jednocześnie rozległ się dzwonek do drzwi. Przybył Winston Lawden.

## Rozdział 22

Pociła się, zapinając żakiet. Niezawodny jak zawsze Spud wybrał spódnicę, którą zazwyczaj wkładała wieczorami - była za krótka do pracy - i letnią bluzkę z dekoltem. Nieważne. Przy jej bladości może to i lepiej, że coś odwróci uwagę od twarzy. Nie żeby jej dekolt stanowił na tyle ciekawy widok.

- Co mi radzisz? - zapytała, podciągając pończochy.

- Co? τ. Śledził ruchy jej dłoni. - Och. Nie przejmuj się. Jeśli nie będziesz panikować, wszystko będzie dobrze. Nie obawiaj się, to nie tak, że niepojęta szalona moc każe ci robić dziwne rzeczy w nieoczekiwanym momencie. Kiedy ułożą się sprawy z twoimi demonami,

wszystko będzie dobrze. To cię bardziej przeraziło, niż doskwierało fizycznie, prawda?  
Zabawne. Wcześniej nie postrzegała tego w ten sposób, ale miał rację. Najgorsza była świadomość, że ma takie zachcianki, a nie sam fakt, że ma ochotę na krew. Skinęła głową.

- To tylko pragnienie, nie przymus. Nie musisz ulegać. To pragnienie... uwalnia się w szczególnych sytuacjach, sama musisz stwierdzić, w jakich. Wystarczy, że będziesz ich unikać albo nauczysz się z nimi żyć i inaczej radzić sobie z tym problemem. Masz kłopoty tylko dlatego, że sama tak to postrzegasz. No i oczywiście zawsze jest seks. Nic tak dobrze nie odgania ponurych myśli.

Przewróciła oczami, ale nie zdołała opanować uśmiechu.

- Jesteś bardzo pomocny, nie ma co.

- Staram się.

Wyjęła puderniczkę z torebki, otworzyła ją. O rany. Plamy na skórze, podkrążone oczy... i tyle pytań bez odpowiedzi, aż obawiała się, że głowa jej pęknie, choć, miała nadzieję, nie dosłownie.

Oczywiście, jeśli dopadnie ją Ktana Leyak, wszystko się może zdarzyć.

Chyba że Orion Maldon naprawdę wiedział, jak ją pokonać.

- Później jeszcze porozmawiamy - zaproponował Greyson. - Chyba że wolisz wracać do domu po wyjściu Winstona.

- Możemy porozmawiać - mruknęła. Nadal go nie zapytała, czy jego demony prześladują jej... choć oczywiście jeden wybuch niewiele znaczy. I nawet jeszcze nie potwierdzili, że istnieje tu jakiś związek. Zbiegi okoliczności się zdarzają, choć nie powinny.

- Zobaczymy, czy... Co jest, do cholery?

Zza drzwi dobiegały wrzaski bólu, splatały się z krzykami Malleusa i Maleficarum. Greyson puścił się biegiem. Megan ruszyła za nim. Jej obcasy stuknęły na posadzce.

Wbiegła do gabinetu. Greyson zatrzymał się tak gwałtownie, że wpadła na niego. Nie zauważył tego. Ona też nie.

Orion Maldon siedział na krześle zlany potem i świecił jak dioda. Megan niemal widziała, jak powietrze nad nim drży, gdy jego krew wrzała, czerwieniała na twarzy, aż myślała, że jego łzy wyparują. Bijące od niego ciepło niwelowało chłód gniewu Winstona.

Ten ostatni opierał się o biurko Greysona z marsem na czole. Gdy weszli, podniósł wzrok.

- Witaj ponownie, Megan. - W życiu nie słyszała równie absurdalnego powitania.

- No... witaj.

- Winston - zaczął Greyson. - Nie powinienem się wtrącać, ale co ty wyprawiasz?

- Orion zasłużył na karę. Wy macie swoje sposoby, my swoje.

- Oczywiście, ale nadal mamy do niego sporo pytań. Jeśli nie masz nic przeciwko temu...

- Jakich pytań? Zdradził mnie. Zawarł umowę z Templetonem Blackiem i mało brakowało, a przez niego Oskarżyciel wtargnąłby do twojego domu. Zdradził swoich! Nie miałem pojęcia, że był w to zamieszany. Taka hańba... - Pokręcił głową. - Wiem, mieliśmy porozmawiać o jego karze, ale chyba mi wybaczyć, kiedy powiem, że już podjąłem decyzję.

Megan zerknęła na Oriona. Już nie wybałuszał oczu. Opuścił powieki, głowa opadła mu na bok.

Umierał, tu, na jej oczach, a ona nie mogła nic na to poradzić.

- Udzieliłem mu *retchia*, Win. Nie możesz go zabić pod moim dachem, nie za moją wiedzą.

**245**



- Wyjdziemy na zewnątrz.
  - Na zewnątrz jest Vergadering.
  - No tak. - Winston się zamyślił. - Zauważyłem. Zabiorą go rano, prawda?
  - Tak. Obiecałem im to.
  - Asterope Green? Greyson skinął głową. Winston westchnął.
  - Nigdy nie zrozumieję, czemu pozwalasz tej czarownicy na tak wiele. Wiesz, że nie powinniśmy się z nimi zadawać. - Spojrzał na Megan, która miała przykre uczucie, że obaj mężczyźni byli tego samego zdania, ale tylko jeden miał dość odwagi, by wypowiedzieć je na głos. Czy raczej, drugi wolał milczeć z obawy, że wyrzuci go z łóżka.
  - Orion twierdzi, że wie, jak pokonać *leyak* - powiedział Greyson.
  - Kłamie. Niby skąd miałby to wiedzieć?
  - Skoro my dostrzegliśmy związek między eksplodującymi Yezer, może on także - zauważyła Megan. Greyson spojrział na nią znacząco. Ojej. A może nie ojej. Właściwie nie mieli okazji o tym porozmawiać. Wymioty i kanibalizm za bardzo zaprzętały jej uwagę. Winston westchnął.
  - Chciałbym powiedzieć, że przeceniacie zdolności Oriona, ale po tym, co zrobił... co próbował zrobić z Oskarżycielem, nie wiem, czy sam uwierzyłbym we własne słowa.
  - Od dawna znali się z Tempem - stwierdził Greyson. - Kto wie, o czym rozmawiali? Milczeli przez moment, aż Winston skinął głową.
  - Chyba warto... Co, do cholery!
- Megan już miała odskoczyć, gdy Greyson złapał ją i odepchnął, chcąc jak najdalej odsunąć od Oriona, bo ten wyciągał do niej rękę.

Spomiędzy jego zaciśniętych warg płynęła różowa piana, spływała na brodę. Zsunął się z fotela na podłogę, z jego gardła wydobywał się przenikliwy dźwięk, skowyt. Demonicznie serce Megan drgnęło. Wbiła palce w dłoń Greysona.

- To ona - szepnęła. - Greyson, to ona, musisz coś zrobić, musisz ją powstrzymać!

Nie sprzeciwiał się, nie mówił, że to niemożliwe, chociaż wiedziała, że mógłby. Nie zapytał, skąd wiedziała. Pokonał pokój kilkoma krokami, podszedł do kominka i porwał pogrzebacz. Trzymał go przed sobą jak kij baseballowy.

Megan ukryła twarz w dłoniach, ale nie mogła się powstrzymać, by nie zerkać przez palce. Nie chciała na to patrzeć, to było jak koszmarne wypadek... Nie. Nie jak koszmarne wypadek. To był, czy raczej zaraz będzie, krwawy koszmar, który rozegra się tu, na orientalnym dywanie w saloniku Greysona, a ona, przerażona, nawet się tym nie przejmowała. Po prostu chciała, by zagrożenie minęło. Nie zniesie kolejnego spotkania z Ktana Leyak, nie w jej obecnym stanie. Może jej demoniczne serce bije radośnie, ale ludzkie już więcej nie wytrzyma.

Orion rósł, cienka granatowa koszula pękała, odsłaniała plecy, sinoniebieskie i fioletowe. Greyson uniósł pogrzebacz, ale Winston zablokował cios. Słyszając, jak metal uderza w ciało, Megan skrzywiła się boleśnie. Jak to możliwe, że nie pogruchotał mu wszystkich kości?

- To mój *rubenda* - przypomniał Winston.

- Przepraszam. - Greyson schylił głowę i podał mu pogrzebacz. Po skroniach Megan spływał pot. Zaciśnęła pięści, by nie wyrwać im metalowego narzędzia. Co się z nimi dzieje? Nie zdają sobie sprawy, jak jest blisko ... Nie wiedzą nawet, czy to się uda...

Winston uniósł pogrzebacz i opuścił go z całą siłą. Krew i kości rozprysły się na wszystkie strony, gdy głowa Oriona eksplodowała jak karaluch pod kamieniem.

Ktoś wrzasnął, długo, przeciągle, aż Megan poczuła, jak włosy na karku stają jej dęba. Przez chwilę myślała, że to ona krzyczy, ale nie. Wrzask pochodził skądinąd, obiegnął pokój, musnął ich i znikł z cichym trzaskiem.

- *Eshti raika* - wysapał Winston. Jego szare spodnie i biała koszula były zbryzgane krwią. Megan spojrzała na siebie - ona i Greyson wyglądali jak statyści z kiepskiego horroru. - Jak do tego doszło?

- Pewnie była tam cały czas - powiedział Greyson. Megan pomyślała, że trochę zbladł. Ona - na pewno. Zdrętwiała. - Pewnie to ona zadzwoniła i wydała go Vergadering, Meg, tak samo, jak ciebie policji w zeszłym tygodniu.

- Ona? - Megan znieruchomiała. Oczywiście, że to Ktana Leyak dała cynk gliniarzom. Powiedzieli, że to był kobiecy głos.

- I słyszała nasze rozmowy. - Greyson podniósł rękę i potarł nasadę nosa. - Teraz zna historię twojego ojca i Oriona, o ile nie słyszała jej wcześniej. Zna rozkład tego domu. Wie, że domyśliliście się, czemu niektóre demony wybuchają.

- Nie mamy co do tego pewności - zauważyła Megan. - To tylko teoria. Nie mamy żadnego dowodu, każdy dom stracił przynajmniej jednego demona i... Oni wszyscy nie mogli atakować moich Yezer, prawda?

Odwzajemnił jej spojrzenie.

- Wszystko jest możliwe. Moi mają zakaz drażnienia twoich, ale osobiste niesnaski są nie do uniknięcia.

Z jej ramion zdjęto ciężar, z którego istnienia nawet nie zdawała sobie sprawy. Niewielka to ulga, ale zawsze ulga. Skinęła głową i uśmiechnęła się lekko.

Winston odchrząknął.

- Megan, nie wydawałem rozkazu, by moi *rubenda* atakowali twoją Meegra.

- Wierni Dziękuję.

- Co nie oznacza, że nie zrobił tego inny Gretneg -stwierdził Greyson. - Chyba że... Chyba że wstępowała w te demony, żeby zaatakować twoje Yezer, a nie odwrotnie. Kogo zaatakowano?

Jej wieczorowa torebka leżała na biurku, za Winstonem. Poszedł wzrokiem za jej palcem i podał ją jej z tym charakterystycznym wstrętem, z jakim większość mężczyzn odnosi się do kobiecych torebek.

Jakby się bał, że wybuchnie mu w rękach i obsypie go deszczem tamponów i szminek.

Wyjęła listy, podała mu.

- Dobrze - mruknął, przebiegając je ciemnymi oczami. -Więc większość ofiar, z braku lepszego słowa, nadal jest przy tobie?

- Myślisz, że próbowała namówić ich, by odeszli? Greyson skinął głową.

- Ale i tak kilka straciłam.

- Może zgodziły się przejść do niej, ale coś poszło nie tak - włączył się Winston. - Może odstrasza ją łącząca was więź.

- Więc jakim cudem udaje im się odejść?

- Sami tego chcą. - Greyson wzruszył ramionami. - Jesteś z nimi połączona, tworzycie całość, jednak poszczególne więzi są słabe. Ona nie może ich przerwać, oni - tak.

- Prawdopodobnie masz rację - powiedział Winston - ale to nie tłumaczy, jakim cudem zdołała osiąść Oriona. To się nie powinno zdarzyć. Powinien być zbyt potężny dla niej, by to się udało.

- Chyba że ją zaprosił...

Obaj mężczyźni patrzyli na nią.

- Tak tylko głośno myślę - rzuciła trochę defensywnie. - Ale Orion lubił grać ostro, prawda? Skoro szesnaście lat temu próbował dobić targu z Oskarżycielem, czemu nie miałyby powtórzyć tego z nią?

- Żeby ją tu sprowadzić - dokończył Winston. Jego niebieskie oczy, tak podobne do oczu Oriona, a jednak tak inne, rozjaśniły się. - i znowu wracamy do ciebie, moja droga. Czyli to jednak twoja mała Meegra jest jej celem.

- Tak, to już wiemy. - W głosie Megan było wyraźne zniecierpliwienie. - Ale...

- Twój demon jest nieokreślony - przerwał jej Grey-son. - Może stać się wszystkim, póki nie dokonasz Haik-ken Kra. Może przedtem tego nie wiedziała.

- Musiała wiedzieć.

- Może nie wiedziała, co to oznacza. Winston prychnął.

- To chyba trochę naciągane, nie uważasz, Grey? Starożytni nie są głupi.

- Ale też nigdy nie było kogoś takiego jak Megan. Nawet nie próbowała jej opętać, prawda? - Zerknął na nią. - A może próbowała?

Megan pokręciła głową.

- A zatem boi się ciebie.

- W ciebie też nie próbowała wejść. Greyson wzruszył ramionami.

- Nie mogłaby. Nie może opętać innego demona, chyba że jest z nim związana - jak z Yezer - albo jeśli ją zaprosi. Orion pewnie nie wiedział, co mu zrobi, gdy się ujawni.

- Albo może obiecała mu, że do tego nie dojdzie. - Winston rozejrzał się, wziął szklanekę z biurka, upił łyk. - Może mu powiedziała, że chce tylko posłuchać, a Orion i tak wiedział, że rano zginie... czemu miałyby jej nie wpuścić?

**245**

- To tłumaczyłoby, dlaczego nie udało jej się tu zmaterializować. - Greyson usiadł i pociągnął Megan w swoją stronę. Bolały ją nogi. Nie zdawała sobie sprawy, jak były spiętej-'bo chciała ukryć ich drzenie. - Nie może czerpać mocy z innych demonów. Pamiętasz, co ci mówiłem u Mitchella? *Leyaki* są niebezpieczne szczególnie dla ludzi, nie dla innych demonów. Zabijają ludzi, czasami w nich wstępują, ale zazwyczaj tylko kradną energię. A ona próbuje dokonać czegoś, co jest niemożliwe.

- Tam, w restauracji, wstąpiła w człowieka.

- W starego mężczyznę - poprawił. - Słabego, schorowanego. Jego energii nie wystarczyłoby, by zapalić latarkę, a co dopiero wyżywić demona.

- Więc Orion ją znalazł. - Megan myślała na głos. - Wiedział, że mój demon jest... elastyczny, bo wtedy w jego domu... kiedy przekonałam się, że mogę skierować przeciwko niemu jego moc, on też to poczuł.

- To najlepsze wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy.

- Orion zawsze chciał więcej. - Winston westchnął ciężko. Nagle do Megan dotarło, że całkowicie zapomniała o ciele Oriona, nieruchomym i cichym na podłodze. Rozmawiali o nim, jakby był zwierzakiem, na którego nie zwraca się uwagi. - To dlatego nigdy nie zaszedł dalej. Był wystarczająco bystry. Gdy jednak mianowałem go *lakri*... zdałem sobie sprawę, że jego ambicje nie mają granic. Nie miał cierpliwości. Nie chciał czekać, poświęcić czasu. Więc nigdy nie zaszedł wyżej. Nie był... Nie był wystarczająco dobry, bym mu na to pozwolił.

To była jedna z najsmutniejszych mów pogrzebowych, jakie Megan kiedykolwiek słyszała.

- Czujesz się lepiej?

Obwiązała się paskiem szlafroka, podwinęła rękawy.

- Szczerze mówiąc, tak. Czy to w ogóle ma sens? Prysznic i jedzenie pomogły jej odzyskać panowanie nad sobą, ale nadal było tyle spraw do omówienia, tyle faktów, obaw i uczuć, z którymi trzeba się zmierzyć. Wszystko to, przed czym, jak powtarzała swoim pacjentom, nie można uciekać.

Ale już nie ma pacjentów. Czy w ogóle nadal jest te-rapeutką? Audycja radiowa chyba się nie liczy.

A zatem jako niemal eksterapeutka może sobie unikać, czego tylko chce.

Greyson podniósł głowę znad szklanek. Bez słów uznali, że szampan się nie nadaje w tych okolicznościach, więc szykował im whisky z colą.

- Po jedzeniu i kąpieli wszyscy czują się lepiej. To fakt udowodniony naukowo.

- O cholera. Zmarnowałam tyle lat na uniwersytecie, a mogłam ściągać z ludzi kasę za kanapkę i trochę ciepłej wody.

Uśmiechnął się.

- Tera powiedziała, że prawdopodobnie będą chcieli...

- Możemy o tym nie rozmawiać? To znaczy, nie teraz. Chyba miałam dość jak na jeden dzień.

- Oczywiście. Możemy porozmawiać, o czym tylko zechcesz. To poczeka do rana.

Sączyła drinka, rozglądając się po pokoju.

- Nic mi nie przychodzi do głowy.

- Wcale nie musimy rozmawiać - zasugerował, pogłaskał ją po plecach lewą ręką i pochylił się, by pocałować jej szyję. - Oczywiście możemy po prostu iść spać, ale... pomyślałem, że może to będzie lepsze...

Część Megan wzdrygnęła się na samą myśl. Gdy zamykała oczy, nawet po prysznicu i przekąsce, ciągle widziała, jak z głowy Oriona tryska strumień krwi, wsiąka

w skomplikowany wzór na dywanie. I loch, płomienie niemal liżące sklepienie, tuż przy jej kryjówce...

Niestety, inne części jej ciała nie miały takich oporów. Czyż jest lepszy sposób, by rozpędzić mroczne wspomnienia? By zastąpić te wizje innymi, miłszymi?

- Prześpisz się z Justine?

Znieruchomiał, ale został, gdzie był, ukrył twarz na jej ramieniu, objął ją w talii.

- Nie, *bryaela*, nie prześpię się z Justine.

- Ale jeśli ona...

- Zaakceptuje mojego zastępcę. Zawsze akceptowała za czasów Tempa. - Jego wargi podjęły leniwą wędrówkę.

- Czyli ciebie, tak?

- To stanowiło część moich obowiązków. - Silne palce odchyliły jej brodę do góry, aż spojrzała mu w oczy. Były przepastne, niezgłębione; ale patrząc w nie, zrozumiała, jak bardzo wstrząsnęła nim obecność Ktany Leyak, widziała, że podobnie jak ona chce o tym zapomnieć. - Ale teraz już nie. Starła się nie okazać ulgi.

- A co teraz należy do twoich obowiązków?

- O, to tajemnica. Gdybym ci powiedział, musiałbym cię zahipnotyzować, żebyś zapomniała.

- Chciałeś powiedzieć: musiałbym cię zabić.

- Nie. Gdybym cię zabił, nie mógłbym robić tego. - Zamknął płatek jej ucha w ustach. - A ty nie robiłabyś tego, co tak bardzo lubię...

Przełknęła. Przykre obrazy nadal wirowały w jej umyśle, ale trudno się było na nich koncentrować, gdy jego miękki głos szeptał wersy Johna Donne'a do jej wrażliwego ucha, a jego dłonie muskały rozpaloną skórę.

Co tam. Odrobina zapomnienia, zgodnie z radą pani terapeutki.



## Rozdział 23

Sam sobie rozwalil głowę? I ja mam w to uwierzyć?

- Nie. To sprawka twoich czarownic. - Greyson wzruszył ramionami. - Usiłowaliśmy go uratować, żeby rano wam go przekazać, ale niestety już nic się nie dało zrobić.

- Nasza broń tego nie zrobiła, Grey. Popatrz tylko! - Wskazała palcem rozchwiane nosze na kółkach, na których leżało ciało Oriona Maldona przykryte białym prześcieradłem. Rany były oczywiste. Jego twarz zapadła się jak balon, z którego uszło powietrze.

- Już widziałem, dziękuję.

- Wysłaliśmy za nim dym, to wszystko.

- Chwileczkę; to nie było wszystko. Widziałaś moje ogrodzenie? Brama niemal nie istnieje!

Megan odezwała się po raz pierwszy. Nie wiadomo dlaczego z trudem śledziła przebieg tej rozmowy. Nie pomogły trzy filiżanki kawy - właśnie piła czwartą. Chyba ciężki tydzień w końcu dawał się jej we znaki. Nie pamiętała, kiedy ostatnio spokojnie przespała noc.

- Strzelali do niego, Tero. To... wyglądało jak czarne kamienie, które wybuchały.

Czoło Tery pokryły zmarszczki. Wodziła wzrokiem od Megan do Greysona i z powrotem.

- Naprawdę? Megan skinęła głową.

- Byłam tam, widziałam. - Proszę, uwierz mi. Już i tak muszę cię okłamać, a jesteś moją przyjaciółką i wcale tego nie chcę, dodała w myślach.

- To... no dobrze. Nie widzę w jego włosach żadnych śladów. Moim zdaniem ktoś go uderzył.

- Podmuch odłamał konar z drzewa - wyjaśnił Greyson. - Spadł na niego.
- Cholera. Jeszcze tego mi brakowało - mruknęła Tera. - Uratowalibyśmy go, gdybyś go nam wczoraj przekazał.
- Nie mogłem i dobrze o tym wiesz. Nie mogłem zignorować jego prośby, zwłaszcza że nie miałem pojęcia, czemu go szukacie.
- Czy... będziesz mieć przez to kłopoty? - Megan zagryzła usta. Jeśli to ma kosztować Terę utratę jej pracy... przecież już prawie Boże Narodzenie. Mniejsza
- 0** to, że Tera go nie obchodzi. Nikt nie powinien tracić pracy cztery dni przed Gwiazdką, to zbrodnia przeciwko ludzkości - a czarownice są wystarczająco ludzkie, prawda?
- Zmęczona, zawsze stawiała się sentymentalna. Albo zrzędliva. Dziś akurat - sentymentalna.
- Nie, spokojnie. Chyba nie przestrzegano zasad, więc to żołnierze będą mieć kłopoty, a nie ja. Zresztą to i tak nie moja sprawa, włączyłam się jedynie ze względu na was. Nic się nie stało. Tylko że teraz już się nie dowiemy, dlaczego zabił tamte czarownice. '
- Czarownice? - Greyson oparł się o biurko i skrzyżował nogi w kostkach. Najwyraźniej szykował się na dobrą zabawę.
- Tera poczerwieniała.
- No... tak. Te czarownice, wiecie, wspominałam o nich na pogrzebie. Wygląda na to, że to on je zabił, więc... przepraszam za tamto. No, że cię podejrzewałam.
- Nie ma sprawy.
- Ale musisz przyznać, że byłeś dobrym podejrzanym. Mądrze kombinowałam, zakładając, że ty za tym stoisz.

- Oczywiście. - W jego głosie nie było nawet krzty ironii.  
- No cóż. - Megan klasnęła w dłonie, chcąc pobudzić krążenie krwi. Rękawy koszuli Greysona zwisały niechlujnie z jej ramion. - Tero, napijesz się kawy czy czegoś innego?  
- Wody. Winston Lawden tu będzie? Bo był wczoraj wieczorem, prawda?  
- Lada chwila - potwierdził Greyson. - Mówił, że już jest w drodze.  
I był. Przybył tuż po tym, jak Tera usiadła na krześle ze szklanką wody.  
- Panna Green. Co za miła niespodzianka. Tera uniosła brwi.  
- Pan Lawden. Mam do pana kilka pytań. Pokręcił głową.  
- Doprawdy nie wiem, co mógłbym pani powiedzieć. Greyson zadzwonił wczoraj wieczorem z informacją, że pani czarownice poważnie zraniły Oriona. Nie żył, gdy tu dotarłem.  
- Jest pan pewny?  
- Sugeruje coś pani, panno Green?  
- Tylko to, że gdyby jeden z pańskich ludzi zabił moje czarownice, mógłby pan coś o tym wiedzieć. Megan zachłysnęła się kawą, ale Winston tylko z pobłażaniem się uśmiechnął.  
- Panno Green, zapewniam, że nic mi o tym nie wiadomo. Ostatnio odkryłem, że Orion - cóż, powiedzmy, że działał na własną rękę. To nie miało nic wspólnego ze mną. Greyson pewnie zadzwonił do niego, gdy była pod prysznicem albo gdy tylko wstał. Albo może, co bardzo prawdopodobne, demony miały po prostu duże doświadczenie w takich sprawach. Wiedziała, jak szybko działa umysł Greysona. Zazwyczaj ona także nieźle sobie ra-

działa, ale tego ranka jakoś nie mogła się pozbierać. Nawet kawa nie pomagała, a raczej szkodziła - zrobiło jej się niedobrze.

Dwie czarownice przyszły po ciało Oriona. Skrzywione pogardliwie, przykryły go prześcieradłem i wyprowadziły wózek, który skrzypiał przeraźliwie.

- Oczywiście przeprowadzimy dochodzenie - oświadczyła Tera. - To, że nie możemy przesłuchać Oriona Maldona, nie oznacza, że zrezygnujemy ze śledztwa.

- Nie mam żadnych tajemnic - powiedział Winston. Megan owionął zimny powiew. Jego głos niósł się dziwnym echem w jej głowie. Przeciągał słowa czy to tylko ona...? Mówił jakby w zwolnionym tempie. - Proszę się umówić na spotkanie, jeśli to konieczne.

- Może teraz?

- A jestem podejrzany? Tak? Jeśli nie, proszę się umówić, a jeśli tak, mam prawo przedstawić własnych świadków. Bezstronnych.

Filizanka Megan wypadła z jej ręki. Kanapa jest taka miękka... mogłaby się położyć i zasnąć...

- Megan! Megan!

Ręce Greysona na jej ramionach, szarpią nią. Może trochę zbyt brutalnie, niż potrzeba. Jest po prostu zmęczona, to wszystko. To chyba nic dziwnego po tym, co się ostatnio działo? Położyli się dopiero o trzeciej. Tyle do zrobienia, tyle do omówienia...

- Daj mi spokój... - Z trudem odpychała jego ręce, zatroskane głosy Tery i Winstona ledwo do niej docierały. Gdzieś w oddali słyszała walenie. Ktoś gdzieś puka... dlaczego nie. może otworzyć oczu? Kolejne głosy. Jeden z nich brzmiał jak Roc, ale to bez sensu, jego tu nie ma. Jest z pozostałymi Yezer, w swoim małym pokoiku, który wyglądał, jakby Currier & Ives puścili w nim pawia.

- Wszystkie... zabrała... zniszczone... wszędzie... -Głosy były jak odległe szepty, jak telewizor przefiltrowany przez schody i drzwi do komórki. Gdy była mała, lubiła bawić się w schowku, było tam ciemno, tajemniczo i bezpiecznie. Jak teraz.

- Cholera! Meg, obudź się, wstawaj!

- Boże, jaka ona blada. - Delikatne ręce klepały jej policzki.

- Oddycha?

- Cholera, sprowadźcie...

Ręce na jej ramionach, podnoszą ją z kanapy, podsuwają jej filiżankę. Mamrotała cicho, usiłowała ją odepchnąć. Typowy facet, nie widzi, że jest zmęczona?

Jego wargi napierały na jej usta, zmuszały, by przyjęła pocałunek.

- Odejdź - zaczęła, ale gdy rozchyliła wargi, wsunął w nie język, a wraz z nim - moc. Przenikała ją, rozgrzewała od wewnątrz, ponaglała ospałą krew, pobudzała płuca.

Uniosła powieki i zaraz je opuściła, pochyliła się, złapała go, przyciągnęła bliżej. Gdzieś w głębi serca widziała, że w pomieszczeniu są inni, ale to nie miało znaczenia. Budziła się, rozwijała jak motyl i tak od wyczerpania przeszła do pożądania w ciągu kilku sekund.

Nagle się odsunął. Wyciągała do niego ręce, otworzyła szeroko oczy, widząc jego spiętą, pobladłą twarz, i wtedy kątem oka dostrzegła ruch.

Tera i Winston uprzejmie odwrócili się tyłem, ale wiedziała jak przez mgłę, że jęczała. Jej twarz płonęła. Paliły ją policzki. Ile widzieli?

Ale najgorsze było małe ciało obok Tery. Roc. A jeśli Roc tu jest, stało się coś bardzo złego.

Szczątki.

Tylko tyle zostało.

**258**

Megan powstrzymywała łzy, widząc małe drzwiczki smętnie zwisające z zawiasów, rozbite meble porzucane po lśniącej podłodze. Przynajmniej dawniej lśniła. Teraz krew, lepka i ciemna, pokrywała posadzkę i ściany.

Roc przysunął sobie krzesło i opadł na nie ciężko.

- Zabrała wszystkich - powiedział już chyba po raz dziesiąty. Powtarzał te słowa w kółko, jakby przez to mógł je lepiej zrozumieć. - Ja uciekłem... nie wiem, jak...

- Prawdopodobnie ci pozwoliła - zauważył Greyson. Stał obok Megan, trzymał ją za rękę i rozglądał się dokoła. Wiedziała, że przed oczami ma własny Iureanier i myśli, że do podobnych zniszczeń mogło dojść tam poprzedniej nocy, gdyby nie zareagowali dość szybko.

Ktana Leyak przybyła przed świtem, udało jej się pozostać w jednym z demonów Megan na tyle długo, by wrócił tutaj, do jedyne miejsce, w którym czuł się bezpieczny.

Do domu.

Gdy zabrzmiał alarm, te Yezer, które przebywały na zewnątrz ze swoimi ludźmi, wróciły. Tylko po to, by zginąć. Ci, wierni Megan, zginęli. Pozostali szybko ucichli.

Zabrała je, Roc nie wiedział dokąd. I nie przeżył nikt, kto mógłby im to powiedzieć.

Megan zajrzała w siebie, szukała drzwi, szukała więzi z demonami. Jej demoniczne serce leżało w piersi jak bryła ołowiu, nieruchome, martwe. Nacisnęła klamkę, przygotowana na prawdę. Nie buchnął ogień. Nie powiało mocą. Demon odszedł. Została sama.

Energia Greysona wciąż buzowała w jej ciele, dawała werwę i ciepło, ale na jak długo?

Roc skłaniał głowę.

- Chciała, żeby Megan wiedziała, co zrobiła. Pragnie zemsty.

Pod Megan ugięły się kolana. Greyson objął ją w pasie i podsunął jej krzesło, ale nie było na nim wiele wygodniej,

zwłaszcza że chustka, którą położył na siedzeniu, przesiąkła lepłą krwią. Przez całe życie nie myślała o krwi tyle co teraz i nigdy nie widziała jej w takiej ilości.

Gdyby demon w niej wciąż żył, nie posiadałby się z radości, prawda? Szalałby, gryzł, kąsał, spragniony...

A jeśli nie żyje, co z nią będzie? Pewnie Greyson nadal może napełniać ją swoją mocą. I nadal miała zdolności paranormalne, nadal mogła czerpać jego energię. Ale ile to może potrwać? Kiedy stanie się dla niego ciężarem, kamieniem u szyi?

Wypita wcześniej kawa napełniła jej usta goryczą.

- To jej nie wystarczy? - Nawet nie starała się ukryć rozzalenia. - Czego jeszcze chce?

W uszach dzwoniła cisza. I nagle dźwięk. Wysoki, jaki słyszą tylko dzieci. To pewnie skutek szoku.

Albo kłopoty ze słuchem. Jeszcze tego jej brakowało. Zapalenia ucha.

Może stwierdzą u niej poważną chorobę, dostanie leki...

Jęk narastał, potem ucichł i po chwili znowu się pojawił.

- Co to? - zapytał Greyson.

- Co? Też to słyszysz?

- Oczywiście, że to słyszę. - Ścisnął jej rękę i zaraz puścił, przedarł się przez rumowisko do odwróconej kanapy. Podniósł ją.

Kulił się tam demon o niewiarygodnie wielkich oczach. Krew spływała mu po czole i plamiła nos wyglądający jak świński ryj. Otwierał i zamykał usta, szukał słów, które nie przychodziły.

- Ashtenorze! - Roc rzucił się do niego, objął go. - Ashtenorze, jak ci się udało przeżyć?

- Ukryłem się. Udawałem... - Ashtenor zadrżał.

- Wiesz, dokąd ich zabrała? - zapytał Greyson. Roc spiorunował go wzrokiem, ale Gretneg tylko wzruszył

ramionami. - Nie mamy dużo czasu, a musimy się sporo dowiedzieć.

- *Tul azar* - szepnął Ashtenor. - *Tul azar Akuzi*. Greyson i Roc wymienili szybkie spojrzenia.

- *Tul azar Akuzi?* - upewnił się Roc. - *Tresh tena?* Ashtenor skinął głową. Megan patrzyła, jak po jego szorstkim pomarszczonym policzku spływa łza. Zawiodła go, Boże, zawiodła je wszystkie, nie uchroniła ich i teraz... Teraz nie wiedziała, czy ma dość energii, by chronić siebie, a co dopiero tysiąc małych demonów. Jej demoniczne serce umarło i nie ma skąd...

Ale jeśli umarło, albo przynajmniej zapadło w letarg, czy nadal blokuje te umiejętności, które pomagała jej opanować Tera?

Nie mogła spróbować tego tutaj, bez jej Yezer... Podejrzewała zresztą, że Ktana Leyak używa łączącej ją z nimi więzi, by pozbawiać Megan energii. Że też dopiero teraz na to wpadła! Nie miała źródła mocy. Oprócz Greysona. Skrzywiła się na myśl, że potraktuje go jako osobisty akumulator.

Ale Ashtenor leżał na podłodze, wpatrywał się w nią tymi cholernymi ślepiami jak z obrazu Margaret Keane i słowa padły, zanim zdążyła ugryźć się w język.

- Greyson, musisz mi pomóc.

Niech go Bóg - czy kto tam zajmuje się demonami -błogosławi; nie pytał dlaczego, nawet się nie zdziwił. Po prostu dał jej to, czego potrzebowała; podniósł też Ashtenora, ułożył go na jej kolanach. Więż była nadal, słaba, ale wyczuwalna. Megan zamknęła oęzy i odnalazła ją. Energia Greysona należała teraz do niej i oto dawała ją Ashtenorowi, przesyłała ją łączącą ich nicią.

Otworzył szeroko małe oczka, ale zaraz je zmrużył i przytulił się do niej. Do tej pory nigdy nie postrzegala



ich jako swoich dzieci. No cóż, to nie bobasy. Dzieci są dobre i niewinne. Dzieci niosą nadzieję. Yezer Ha-Ra żyły, by ranić.

Ale to jej mali krzywdziciele. Teraz jeszcze bardziej niż przedtem, gdy kazała ukarać Halarvusa i zmusiła się, by na to patrzeć, czuła, jak wiele im zawdzięcza.

Nie są do końca złe. Stanowią część życia. Czy nie to zawsze powtarzała swoim pacjentom? Że bez złych emocji nie doceniamy dobrych?

Stojąc na czele Yezer Ha-Ra, nawet jeśli to mała Meegra, ma obowiązki wobec ludzkości, nie tylko wobec demonów. Ich zadaniem jest kusić. Zadaniem człowieka - oprzeć się pokusie. Czym byłoby życie bez tej walki?

I dlatego Megan tuliła Ashtenora, wlewała w niego swoją moc, aż przestał płakać i odzyskał dawny kolor -paskudny odcień pomarańczowego. Zajęła się nim.

Jak prawdziwa Gretneg.

## Rozdział 24

Przecież nawet nie wiemy, gdzie był dom Oskarżyciela!

Powrót do rezydencji Greysona niespecjalnie poprawił jej humor, natomiast świadomość, że może czerpać energię z ziemi dokoła - owszem. Przynajmniej nie będzie jej musiał cały czas całować, żeby nie zasnęła. To trochę krepujące.

Oczy wciąż piekły ją bardzo ze zmęczenia, ale wytrzyma to.

- Dlatego wpadnie Brian - powiedział Greyson.

- Dzwoniłeś do Briana?

- Tak. Właśnie dlatego wpadnie, rozumiesz? To proste.
  - Ale... Pokręcił głową.
  - I chyba wiem, gdzie jest dom Oskarżyciela. Ale mam nadzieję, że Brian to potwierdzi, bo jeśli się mylę, zmarnujemy cenny czas. Może przeczytać dokumenty. Papiery twojego ojca. Może coś wyczuje.
  - Mamy tylko fotokopie.
  - Nie. Kopie ma żmija, która dała ci życie. Zabrałem oryginały.
  - Ukradłeś?
  - Dziwi cię to?
- Opadła na oparcie kanapy.
- Chyba nie.
  - Jediną osobą poza nami, która musi je zobaczyć, jest Tucker. Oddam mu oryginały przy najbliższym spotkaniu.
  - Czyli kiedy?
  - Gdy zdecydujesz, co chcesz zrobić ze spadkiem, i zaczniemy działać, kochanie. - Usiadł obok niej i podał jej colę, a ona wzięła ją z wdzięcznością psa, któremu dają resztki ze stołu. Jej gardło przypominało papier ścierny; jej żołądek był pustą kulą nerwów.
- Napój smakował jak ambrozja, czysta siła witalna.
- Czyli wiedziałeś, że będziemy musieli to zrobić. To znaczy, poprosić Briana o pomoc.
  - Oczywiście, że wiedziałem. Przecież nie planowałem zapraszać Oriona na pogawędkę, zanim... No cóż. Nie chciałem z nim o tym rozmawiać.
- Ani ona, ani on nie mieli wpływu na rozwój wydarzeń. Orion musiał zginąć. Czy Greyson był zadowolony? Nie wiedziała nawet, co sama czuje. Z jednej strony była wstrząśnięta, przerażona tym, że patrzyła, jak Winston Lawden popełnia morderstwo. Z drugiej strony -

Maldon zginąłby i tak: wpuszczając do swego ciała Ktanę Leyak, sam podpisał na siebie wyrok śmierci. Zabity przez Lawdena, nie zabrał nikogo ze sobą.

Ale czy Greyson wysłuchałby jej, czy zrezygnowałby z zamiaru uśmiercenia Oriona? Powiedział, że o tym porozmawiają. To nie znaczy, że przychyliłby się do jej prośby.

- Greyson, jeśli chodzi o Oriona...

- Przyszedł Brian.

- Co? Skąd wiesz?

- Nikt nie wchodzi ani nie wychodzi z domu Gret-neg bez jego wiedzy, zapomniałaś już? Z wyjątkiem czarownic, niestety. Potrafią przełamać nasze osłony.

Wstał, przełożył akta na biurku, aż znalazł, czego szukał. Dokumenty, które zabrali z jej dawnego pokoju. Wszedł Brian. Pachniał mrozem, gdy pochylił się, by pocałować ją w policzek.

- Jezu, Megan, co ci się stało?

- Moje... jestem po prostu zmęczona. Mało spałam.

- Powinnaś wracać do łóżka.

Ha. Nie miał pojęcia, jak dobrze to brzmiało. Najbardziej na świecie chciała skulić się pod kołdrą naciągniętą na głowę, mając w tle cichy szum telewizora.

- Nic mi nie będzie.

- Napijesz się, Brianie?

Brian poprosił o colę i usiadł na przeciwległym końcu kanapy.

- No dobra, co mam przeczytać?

- To. To... dotyczy ojca Megan. Liczymy, że zobaczysz coś z jego rozmowy z demonami.

- Wiesz, że demony są nieprzeniknione.

- Tak, ale ojciec Megan był człowiekiem, więc może zobaczysz coś jego oczyma.

Brian skinął głową i rzucił okiem na zegarek.

- Dobrze, jasne. Ale za czterdzieści pięć minut mam zaplanowany wywiad, więc...

- To nie zajmie ci tyle czasu. - Greyson podał mu papiery. Brian zamknął oczy.

I natychmiast je otworzył, czerwony jak burak.

- O rany! Słuchajcie... czy naprawdę chcecie, żebym to oglądał?

Niech to szlag. Czy już do końca jest skazana na to, że Brian widzi, jak uprawia seks? Tej nocy, gdy się spotkali, zobaczył w jej wspomnieniach, jak kochała się z chłopakiem w college'u, a teraz... Potarła czoło. Po prostu świetnie.

- Próbuj wcześniej - powiedział Greyson spokojnie.

- Dobrze. - Brian podniósł dokumenty kciukiem i palcem wskazującym z podłogi, na którą je upuścił.

-Spróbuję jeszcze raz.

Tym razem zaczekał.

- Okay, twój ojciec... myślę, że to twój ojciec, jest młodszy niż na zdjęciu na pogrzebie... chowa te dokumenty, cieszy się, że zawarł świetną umowę... hm... Templeton Black i ten facet z pogrzebu...

Orion? Są tutaj. Ple-ple-ple, szpital będzie doskonałym miejscem dla twojej córki, jest tam wszystko, czego potrzebuje, będzie jej dobrze, podpisz tutaj... Uśmiechają się jakby z wyższością, ale on nie zwraca na to uwagi... - Brian otworzył oczy, podniósł wzrok. - Wystarczy czy chcecie więcej?

Słowa z trudem przechodziły jej przez gardło.

- Nie. Myślę, że mamy wszystko.

„Pikap”, jak określał go Greyson, był w rzeczywistości mercedesem terenowym z miękkimi skórzanymi siedzeniami na tyle obszernymi, że można się było na nich położyć, i przyciemnionymi oknami. W rzeczywistości miał się tak do ciężarówki, jak liniowiec „Queen

Elizabeth II" do rybackiej łajby, ale świetnie spełniał swoje zadanie.

Kłopot w tym, że nie taką wyprawę tym wozem sobie wyobrażała. Liczyła, że gdy następnym razem w nim usiadzie, pojedą razem na romantyczny tydzień wśród lasów, na krótkie wakacje, a nie do siedziby bestii - dosłownie - do Grant Falls.

Do szpitala.

Poprawiła się, naciągnęła koc. Z głową na kolanach Greysona, na miękkiej podgrzewanej skórze, mogła sobie wyobrazić, że nadal leży w łóżku. Oczywiście gdyby nie głosy ludzi i dźwięki muzyki z odtwarzacza CD, raz cichszej, raz głośniejszej, w zależności od tego, czy zasypiała, czy się budziła. Nick i bracia jechali z nimi, jako moralne... No cóż, jako wsparcie. Ale mając Malleusa i Spuda przed sobą, a Ma-leficarum i Nicka za plecami, czuła się jak na scenie.

- Pomyśl tylko, Nick - powiedział Greyson nad nią. -Naprawdę mógłbyś mi się tu przydać.

- Podoba mi się w Miami.

- Wiem. Ale potrzebny mi ktoś, kto...

Megan odpłynęła. Prowadzili tę rozmowę przez cały dzień, a sądząc po ich głosach, nie był to pierwszy raz, gdy o tym rozmawiali...

Znowu była w swoim domu, leżała na kanapie, oglądała telewizję, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Jej stopy zdawały się zapadać w podłogę, gdy szła przez pokój, wiedząc, że to nierozsądne, ale nie mogąc się opanować.

Wspólnicy z pracy, z butelkami szampana, przyszli oblać śmierć jej ojca.

Otworzyła oczy. Tylko łagodna poświata systemu GPS na tablicy rozdzielczej rozjaśniała wnętrze samochodu; byli już daleko za miastem, księżyc zapewne schował się za chmurami.

Znowu zamknęła oczy. Nie zauważyli, że się obudziła. Spać... tak trudno nie spać...

Wróciła do domu, w którym umarł jej demon, ale gdy znowu przyszli policjanci, tym razem przynieśli kwiaty.

- Już mi dała do zrozumienia, że zaakceptuje cię jako zastępcę, jeśli się zgodzisz.

Pauza.

- Nie masz nikogo innego?

- Niespecjalnie, a ja... Nie mogę. Nie chcę. Powiedziałem, że ja nie.

- Dobrze, zrobię to dla ciebie. Ale właśnie dlatego nie chcę się w to pakować, człowieku. W Miami nie mam tego gówna, nikt mnie tam nie rusza.

- Wiesz, że nie prosiłbym, gdyby...

Brian Stone zabrał ją na kolację, ale przed restauracją był wielki pies i nie mogli wyjść. Nie wiadomo dlaczego uznali, że to zabawne i śmiali się tak, że upadła na zimny beton, który okazał się miękki jak puchowy materac. Tym razem, gdy uniosła powieki, uśmiechnęła się. Poczowała ciepłą rękę Greysona opartą na jej biodrze. Przywarła do niego i wtedy usłyszała głos Nicka:

- Odprawi rytuał?

- Nie wiem. - Greyson westchnął. Jego udo naprężyło się pod jej głową, ale nie poruszył się. - Sama chyba tego nie wie.

- Nie rozmawiałeś z nią o tym?

- To jej decyzja.

- Ale myślałem...

- To jej decyzja. Nie mogę się w to mieszać. Cisza.

- Chyba rozumiem. Ale... Myślałem... - Nick był speszony, jakby przed chwilą zaproponował Greysonowi rundkę w łóżku i dostał kosza.

- Do cholery, Nick. Wiesz, że ja... Co jest, kurwa!

Samochód zderzył się z czymś, wpadł w poślizg, zarzuciło nim na bok, aż Megan spadła na podłogę. Przez jedną koszmarną chwilę była pewna, że umrze wśród zgrzytu metalu na opustoszałej wiejskiej drodze. Malleus krzyczał z siedzenia kierowcy.

I cisza. SUV podskoczył jeszcze raz i stanął. Jaskrawe światło zalało wnętrze samochodu, gdy drzwi otworzyły się, a Greyson wyciągnął ją i stanęła na niepewnych nogach.

- Nic mi nie jest, nic mi nie jest. - Otuliła się ramionami. Nocne powietrze było mroźne, a jej płaszcz został w samochodzie. Ktoś okrył ją kocem; nie odwróciła się, by sprawdzić, kto to był. - Co się stało? Greyson wskazał za siebie.

Na poboczu rósł dąb, wyciągał sękate konary, jakby chciał nimi schwytać księżyc. Z jednej z gałęzi zwisała lina, a na niej - ludzkie ciało z czarnymi dziurami oczu w spuchniętej twarzy. Krzesło, czy raczej jego szczątki po zderzeniu z SUV-em, leżało kilka metrów dalej.

Zabił się. Kawałek papieru przypięty do jego koszuli to potwierdzał. Samobójstwo, tuż przy drodze. To nie autostrada, jak sądziła. Byli o wiele dalej. W ciemności jaśniał neon witający podróżnych w Grant Falls, migał zza rozkołysanych nóg wisielca w pierwszych płatkach śniegu.

Dalszy sen nie wchodził w rachubę, nawet gdyby zdołała zasnąć. Wspomnienie makabrycznego powitania nie dawało jej spokoju.

Poza kilkoma wgnieceniami na bocznych drzwiach SUV nie ucierpiał. Wsiedli z powrotem i jechali powoli, wszyscy czujni. Greyson dał jej swój pistolet, wziął inny od Maleficarum. Miał wrażenie, że trzyma w ręce kobrę gotową do ataku. Nick też miał broń palną, a do tego, nie do wiary, miecz. Może rozbawiłby ją ten widok - w koń-

cu nieczęsto spotyka się w dzisiejszych czasach mężczyznę wymachującego mieczem - gdyby nie posługiwał się nim z taką zabójczą swobodą.

Malleus\* Maleficarum i Spud byli oczywiście uzbrojeni, jakby chcieli szturmem zdobyć Fort Knox. Megan modliłaby się, by nie zaczepiła ich policja, gdyby nie to, że wątpiła, by akurat dzisiaj mieli ten problem. Coś jej mówiło, że tego wieczoru policja w Grant Falls będzie miała inne sprawy na głowie. Minęli hotel, cichy i ciemny, i jechali dalej. Przez mgiełkę śniegu widziała światła migające na niektórych budynkach i sklepach w mieście. Zegar wskazywał dwudziestą trzecią. Czy sklepy nie powinny być już zamknięte, a światła zgaszone?

Ruch z prawej strony przykuł jej uwagę. Z lasu wyszła kobieta w brudnej, podartej bluzce. Przez strzępy szarawego materiału widzieli jej zakrwawiony stanik i nagą, upiornie bladą skórę pokrytą smugami, co nadawało jej wygląd dziwacznej zebry. Nawet w ciemnościach jej oczy wydawały się wyjątkowo blade, poszerzone strachem albo demencją. Coś jeszcze było nie tak, ale Megan nie mogła tego uchwycić. Zresztą to nieważne.

- Zjedź na bok - zaczęła, ale Greyson jej przerwał.

- Nie.

- Co? Popatrz na nią, na pewno przemarzła, to...

- Gdzie cmentarz?

- Co? Malleus, powiedziałam: zjedź na bok!

- Panie Dante? - Malleus zerknął do tyłu. W jasnozielonej poświacie z tablicy rozdzielczej jego rysy zdawały się wężsae, jakby mars na czole je zniekształcał.

- Meg, gdzie cmentarz?

Sporunowała go wzrokiem i sięgnęła do drzwi. Jechali dość wolno, gdyby tylko otworzyła drzwi, Malleus się zatrzyma. Na pewno.



- Nie mogę uwierzyć, że pozwolisz tej kobiecie umrzeć, ja...

- Ona już nie żyje.

- Pewnie, jeśli na to pozwalasz... Och. - Ucichła. Wiedziała już, co było nie w porządku. Śnieg piętrzył się na ramionach kobiety, formował na jej głowie staroświecki czepek pielęgniarki. - Och.

Gdzieś w głębi duszy hołubiła taką wizję: jadą do Grant Falls, gnają do szpitala, biorą coś, w czym jeszcze żyła cząstka Oskarżyciela - w jej wyobraźni był to kosmyk włosów albo coś równie niewinnego - pokonują Ktanę Leyak, odzyskują jej demony. Potem wstępują do restauracji na szarlotkę, a w drodze powrotnej śpiewają kolędy.

W jej wizji ani razu nie wystąpiły zombie, kierowane siłą demonów, ani razu.

Tyle, jeśli chodzi o fantazje.

Z drugiej strony, pomysł, by w SUV-ie pełnym demonów nucić kolędy, też nie był najmądrzejszy.

Więc dlaczego ją dziwi, że nie będzie to beztronski wypad, o jakim marzyła?

- Myślisz, że będzie ich więcej? - zapytała cicho. Była zbyt słaba, by mówić głośniej.

- Myślę, że to pewne, tak.

- Są dwa cmentarze w mieście - powiedziała. - Przynajmniej tak było, gdy tu mieszkałam. Jeden przy kościele Wszystkich Świętych, o tam... - Machnęła ręką w lewo. - A drugi to Harbor Lawn, gdzie pochowano mojego... O Jezu.

Mężczyźni wymienili szybkie spojrzenia.

- Może wcale nie spotkamy wielu zombie - rzucił Greyson. - Może uda nam się stąd zwać, zanim nas dopadną.

Megan tylko kiwała głową. Gdyby otworzyła usta, zaczęłaby krzyczeć, a wtedy mogłaby już nigdy nie przestać.

- Zombie nie będą problemem - odezwał się w końcu Nick. - Dzięki Greyowi nawet do nas nie podejda. Martwią mnie ludzie.

Megan wyrzała przez okno, chcąc za wszelką cenę patrzeć gdziekolwiek, byle nie na twarze mężczyzn, i zaraz tego pożałowała. Mijali akurat bar U Kelly. Za panoramicznym oknem toczyła się gigantyczna bójka. Mężczyzna wypadł przez szybę, wylądował niezdarnie na ośnieżonym asfalcie. Jego krew parowała na mrozie, a z wnętrza dobiegała kakofonia krzyków, wrzasków, aż padły strzały. Mężczyźni spięli się. Greyson i Nick podnieśli pistolety, czekali, ale już minęli bar, zostawili go za sobą.

Kolejne dowody na to, że w Grant Falls źle się dzieje, nie dały na siebie długo czekać. SUV z cichym warkotem silnika mijal ciemne wystawy sklepowe. Na szybie sklepu z zabawkami Tommy's Toys zobaczyli krwawy odcisk dłoni i krwawe plamy na ścianach, ale ciała nigdzie nie było widać.

Megan szczelniej otuliła się kocem.

- Szpital jest na prawo, bliżej centrum miasta. Sunęli ulicą, jedyne żywe istoty w kosmicznym obcym krajobrazie. Koc nie pomógł. Nawet ciepła ręka Greysona na jej nodze nie pomogła. Silne przeczucie, że coś jest nie tak, przenikało ją do kości. Nawet mając wzniesione bariery, czuła rozpacz, nieszczęście, wściekłość.

Szczególnie wściekłość. Zdała sobie sprawę, że choć zmęczona, nadal jest pełna energii, w jej żyłach buzuje adrenalina, przyprawia serce o szybsze bicie, zmusza do ruchu stopy\* Bolały ciągle zagryzane wargi, a gdy po jej policzku spłynęła łza, poczuła pod dłonią otartą skórę.

Może mogłaby z tego skorzystać. Jeśli to Yezer, jej Yezer, spowodowały to wszystko, co przecież było możliwe, wystarczy, by opuściła barierę i przyjęła tę moc.

Ale tym samym uprzedziłaby Ktanę Leyak o ich obecności, o ile jeszcze o tym nie wiedziała, a to zły pomysł. Tak, wcześniej czy później będzie musiała z nią walczyć, ale wolałaby później. Nie teraz i nie tutaj.

- Skręć w lewo - powiedziała cicho. Jej głos załamałby się, gdyby mówiła głośniejsze.

Malleus skręcił i zatrzymał się nagle. Cztery samochody tarasowały im drogę, ich przednie szyby ziały dziurami najeżonymi kawałkami szkła jak zębami. Ich deski rozdzielcze już pokrywał śnieg. W niewyraźnym świetle nocnego nieba widziała krwawe ślady stóp, ale nikogo w pobliżu.

- Jest inna droga, pani?

- Co... Tak. Zawracaj, pojedziemy w kierunku parku. Ominiemy to od drugiej strony.

Malleus skinął głową i wykonał manewr zawracania wzorowo, jak instruktor jazdy. Megan wpatrywała się we wraki samochodów.

Dotarli na skraj parku. Megan coraz bardziej piekła skóra, czuła na sobie wzrok niemych obserwatorów z mijanych budynków. Demony, zombie, a może zwykli ludzie, którzy wyzierają zza firanek, ciekawi, kto o tej porze, w tak zimną noc, tuż przed Bożym Narodzeniem, włóczy się po mieście, które zazwyczaj układało się do snu przed dziesiątą.

Malleus zahamował ostro. Gdyby nie był tak dobrym kierowcą, samochód runąłby w dziurę, ziejącą tam, gdzie dawniej była droga. Śnieg padał tak gęsto i szybko, że niemal nic nie widzieli.

Megan czekała w mercedesie z Nickiem i Greyso-nem, bracia wyszli obejrzyć jezdnię. Wrócili po chwili, kręcąc głowami.

- Sam lód - sapnął Maleficarum. - Za nic nie wjedziemy nawet na ten pagórek.

Park leżał na pagórku, niezbyt stromym, ale to wystarczyło przy gołoledzi. Po lewej stronie mieli sznur samochodów. Pierwszy zapadł się kołem do studzienki, zahaczył zderzakiem o krawężnik. SUV ani ich nie wyminie, ani nie wjedzie na wzgórze.

Greyson westchnął.

- No to idziemy na piechotę.

Miała na czubku języka: Dlaczego po prostu nie pojedziemy do domu? Nie mogła sobie przypomnieć, na co kiedykolwiek miała mniejszą ochotę, niż wysiąść z ciepłego wnętrza i wędrować przez zaśnieżony park na oczach mieszkańców Grant Falls doprowadzonych do szaleństwa przez Yezer. Bo były tu. Czują to. Tylko tak można wytłumaczyć to, co się tu działo. Ktana Leyak jest tu z *rubenda* Megan i małe dranie urządziły sobie wesołe Boże Narodzenie.

- Meg.

- Co? - Ciśniej otuliła się kocem, jakby chciała zabrać jego ciepło na wędrowkę przez martwy park. Nie, nie martwy. Czaiły się tam stwory, których wolałaby nigdy nie oglądać.

Greyson podał jej rękę.

- Chodź, *bryaela*, odbierzemy, co twoje.

## Rozdział 25

Malleus szedł na czele, Maleficarum i Spud oskrzydłali Greysona i Nicka po obu stronach Megan. Śnieg smagał jej twarz i ograniczał widoczność; spływał po policzkach Greysona, gdy się roztopił. Mogliby być jedynymi ludźmi

na świecie, pionierami zmierzającymi w kierunku starej chaty. Ale nie byli. I nie byli sami. W tej oślepiającej bieli musieli wyglądać jak czarne mrówki na torcie weselnym. To tylko kwestia czasu, zanim ktoś - albo coś - ich odnajdzie.

Nie oczekiwała tylko, że nadejdą tak szybko z naprzeciwka. Kształty poruszające się na śniegu wyglądały normalnie albo prawie normalnie - zwyczajni ludzie brnący do domu na skrót - i dopiero gdy znaleźli się bliżej, zobaczyli, że ci ludzie nie mają na sobie zimowych ubrań. Jedna kobieta nosiła letnią suknię bez ramiączek, która odsłaniała kości jej lewego ramienia prześwitujące spod skóry. Kreacja wieczorowa innej lśniłaby od cekinów, gdyby nie zgasił ich śnieg. Towarzyszyło im dwóch mężczyzn w identycznych ciemnych garniturach.

Megan nie zdążyła nawet zareagować, a tamci już stali w płomieniach, wydając upiorne dźwięki zaskoczenia z zamkniętych ust. Upadli, znacząc czernią białą połąć, gdy śnieg i lód topniały z gorąca. Wymachiwali rękami jak owady przewrócone na grzbiet. Ogień buchał coraz wyżej, niebiesko-biały, i wkrótce zombie w ogóle przestali się ruszać. Megan zerknęła na Nicka. Wzruszył ramionami.

- A nie mówiłem, że tam gdzie jest ogień, nie ma zombie? - mruknął. - Cholera - syknął.

Jeśli nawet bestie wydawały jakiś dźwięk, nikł na wietrze, więc Megan miała wrażenie, że ogromne ciemne kształty z czerwonym żarem w miejscu oczu fruną nad ośnieżoną trawą. Zamarła z otwartymi ustami, niezdolna się ruszyć, gdy się zbliżały.

Maleficarum uskoczył na bok, tak że Nick miał wolną linię strzału. Śnieżna kołderka tłumiła huk wystrzału. Jeden z psów podskoczył, ale nadal pędził ku nim.

Płomienie buchnęły wokół nich ruchomą aureolą, jednak piekielne ogary niemal nie zwracały na to uwa-

gi. Megan widziała, jakie są zaniedbane, z długich kłów spływała różowawa ślina. Ogień zgasł. Maleficarum skoczył, złapał jednego z nich za kark i runęli w śfleg. Wściekłe wycie kazało Megan zawtórować krzykiem, który zdawał się nie mieć końca. Miecz Nicka przeciął powietrze i z potwornym odgłosem spadł na kark drugiego psa. Bestia upadła, warcząc wściekle, kłapiąc kłami w powietrzu, zaledwie pół metra od nóg Megan.

Greyson złapał ją i odciągnął od zwierzęcia, a Spud dźwignął trzeciego psa, uniósł go nad głowę z wyrazem skupienia na twarzy, i cisnął daleko, na drogę, aż wpadł do wyrwy w jezdni i zaskomlał cicho.

Maleficarum wciąż krzyczał, walcząc z pierwszym psem, ale gdy Spud ruszał mu na odsiecz, coś trzasnęło makabrycznie, jak złamana gałązka i pies umilkł. Maleficarum był cały zakrwawiony, miał podartą koszulę, ale wstał i uśmiechnął się od ucha do ucha, jakby miał za sobą fantastyczną przejażdżkę na karuzeli.

- No dobra, kto następny?

Zaśmiewali się z tego z Malleusem przez dłuższą chwilę, a Megan starała się nie krzyczeć. To nie zabawa. To nie szalona noc na mieście. To z dużym prawdopodobieństwem zapowiedź jej śmierci i nie wierzyła, by zwycięska walka z piekielnymi ogarami mogła tu coś zmienić.

Przyjęli dawny szyk i ruszyli dalej, brnąc noga za nogą w coraz głębszym śniegu. Przez gwizdanie wiatru przebijały się dalekie wystrzały, ale umilkły, zanim się zorientowała, z której to strony. Przez cały czas miała dreszcze, czuła otaczającą ich rozpacz, która zaatakowała miasto. Czuła, jak ludzie szlochają, zamknięci w swoich domach, niemal słyszała, jak otwierają apteczki, szukają tabletek, sięgają po żyletki.

Czerwone światełka zamrugały odbite w oknach centrum handlowego znajdującego się niedaleko,  
gdy

boczną uliczką przejechała karetka pogotowia na sygnale. Nie powinno jej to pocieszać, ale jednak. Nawet w tym szaleństwie trwa normalność i życie toczy się po staremu.

Już prawie dotarli do środka parku, na plac zabaw. Kilka ławek przycupnęło od niechcienia dokoła placzyku z typowym zestawem - drewnianymi huśtawkami, zdewastowaną zjeżdżalnią, drabinkami... i tajemniczym szeptem.

Zatrzymali się, odwrócili, ale dopiero po chwili oczy Megan, oślepione bielą, zrozumiały, co widzą. Pełzły po wielkim wiązie przy ogrodzeniu, sunęły po białym podłożu, czarne ruchome plamy. Węże. Węże sunące ku nim z niepojętą dla Megan prędkością. Jest tak zimno, to nie temperatura dla nich, taki ziąb...

Greyson złapał ją za prawą rękę, Nick za lewą. Zobaczyła, że dokoła węży rozlewa się morze ognia, ale wiedziała, że to na nic już w tej chwili, gdy zaczęli biec, kierując się w najdalszy zakątek parku tak szybko, jak tylko pozwalała na to oblodzona ziemia.

Malleus i Spud skęcili gwałtownie. Megan chciała ruszyć za nimi, ale Greyson i Nick przytrzymali ją, zmuszając, by biegła przed siebie, nawet gdy po jej lewej stronie coś wyło i wrzeszczało. Ośmieliła się zerknąć i zobaczyła, że bracia walczą z bestią przypominającą nieco nepalskiego demona górskiego, który zaatakował ją w innym parku, trzy miesiące wcześniej. To było słoneczne jesienne popołudnie. Tej nocy wydawało się, że nawet zima wydała im wojnę.

Ale to nie był *yaksas*. Uświadomiła to sobie, gdy dotarli już do ogrodzenia i obejrzel się za siebie. Węże nadal pełzły, nadciągały nieubłaganie jak przyptyw, były coraz bliżej Spuda i Malleusa, którzy walczyli z dziwnym stworzeniem. Nie wiedziała, czy było czarne, zielone czy granatowe, ale na pewno było wielkie. Krzyknęła, gdy

zamachnęło się pięścią i Spud poszybował w powietrze. Upadł na ziemię i leżał nieruchomo. Serce Megan przestało bić. Greyson drgnął, gotów podbiec do Spuda, ale nocne powietrze przeciął inny krzyk. Odwrócili się w tamtą stronę i zobaczyli, jak z jednego z okien na rynku skacze kobieta. Przez jedną koszmarną chwilę Megan myślała, że unosi się w powietrzu, że jej ciało zawisło, aż runęło na ziemię i znieruchomiło na środku jezdni. Megan uniosła ręce do twarzy, zakryła oczy i usta. Greyson objął ją ramionami, jego płaszcz tłumił jej krzyki. Nie zauważyła nawet, kiedy przesunął rękę i chwycił ją za szyję dość mocno, by zostały siniaki, po czym pchnął silnie na ziemię i odskoczył. Skraj jego płaszcza musnął jej twarz, gdy upadła w śnieg. Greyson tymczasem wyciągnął broń, wycelował i wystrzelił, a potem zrobił to jeszcze raz. Spud nadal leżał nieruchomo. Malleus i Maleficarum wygrywali walkę z tym, co zraniło ich brata. Nie pojmowała, jakim cudem poczuła alkohol od mężczyzn, ale właśnie tak było, czuła go tak samo, jak widziała ich, kroczących przez park. Nawet rozpoznała jednego czy dwóch spośród nich. Widziała ich w barze U Kelly w noc pożaru w domu Maldona. Było jasne, że oni też rozpoznali Greysona i ją, a jeszcze jaśniejsze - że mieli do nich urazę, o ile strzelby w ich dłoniach o czymkolwiek świadczyły. A wraz z nimi nadciągało coś, czego nie czuła od miesięcy - powolna wrogość człowieka całkowicie poddanego woli Yezer. Wiedziała, że gdyby się ujawniły, zobaczyłaby tuziny osobistych demonów. Co ten Roc wyprawia, do cholery? Miał się wszystkim zająć, wrócić tutaj, odnaleźć jej *rubenda*, by mogła odzyskać choć część swojej mocy. A tymczasem widziała trzy strzelby wycelowane w nią, jej ochroniarze byli



ranni albo zajęci i tym samym między nią a śmiercią stali tylko Greyson i Nick. Szanse nie były małe, ale wolałaby większe.

Jeden z mężczyzn upadł. Krew wykwitła jak róża na jego piersi po prawej stronie, płynęła ciemną strugą z ust, plamiła biały śnieg. Drugi strzał Greysona urwał mu czubek głowy.

Nick odwrócił się, gdy podniosła się z ziemi, i obaj stali przed nią. W pewnym sensie to było gorsze - nie widzieć, co się dzieje, czy pozostali mężczyźni szykują się do strzału, czy uciekają.

Chyba celowali. Nick znowu się odwrócił, schylił się na moment i wyprostował z pistoletem w dłoni. Słyszała tylko strzały, głośniejsze niż poprzednio. Dopiero wspomnienie tamtego pościgu samochodowego, gdy uciekali z Greysonem przed czarownicami, przypomniało jej, że i ona ma pistolet.

Jej zimne, sztywne palce zamknęły się na rękojeści, mocowała się z bronią, ale udało jej się skupić na tyle, by wycelować. Nick ją trącił, więc pierwszy strzał oddała w niebo, ale cofnął się, zanim po raz drugi nacisnęła spust.

Ból eksplodował w jej lewym ramieniu, tak silny, że w pierwszej chwili nie wiedziała, co się stało.

Upadła z krzykiem i upuściła pistolet. Zahaczyła ramieniem o ogrodzenie z kutego żelaza.

W parku huknął jeszcze jeden, ostatni strzał, rozległy się krzyki, a potem zapadła cisza. Megan chciała coś powiedzieć, ale gardło odmówiło jej posłuszeństwa. Podobnie jak nogi, ręce, umysł. Najchętniej zwinęłaby się w kłębek. Może w takiej pozycji byłoby jej cieplej.

- Pani! Panie Dante!

Ktoś podniósł ją z ziemi. Była zbyt wyczerpana, by mu pomóc, zbyt zmarznięta, by się cieszyć. Jej ramię zdawało się płonąć.

Jeden z braci wziął ją na rękę. Zerknęła mu przez ramię i zobaczyła, że Maleficarum prowadzi Spuda, ciągnie go do bramy przez morze węży.

Gdy otworzyła oczy kolejny raz, byli na chodniku obok parku, stali przy ogrodzeniu. Za sztachetami czaił się szpital, szary i cichy jak stary duch.

W oknach zamiast szyb falowały fałdy plastikowej folii. Megan wydawało się, że to nierówne, upiorne bicie umierającego serca.

Odruchowo poszukała Greysona, ale najpierw zobaczyła węże. Wciąż się zbliżały, ale teraz wolniej, jakby po prostu chciały ich zmusić, by weszli do szpitala.

Maleficarum oparł Spuda o ogrodzenie, zacisnął dłonie na siatce. Pękła z trzaskiem. Podrapała się w policzek, gdy przeciskali się przez dziurę, ale nawet nie chciało jej się dotknąć rany. Gdzie Greyson i Nick? Gdzie Roc, do cholery?

Na odpowiedź na pierwsze pytanie nie musiała długo czekać. Oba demony przeszły przez dziurę, objęte ramionami. Nie widziała ich wyraźnie, i to mimo jasnego nieba. Tutaj wszystko wydawało się ciemne, jakby posępny budynek pochłaniał całą radość i światło, i ciepło.

Ale to, co widziała, wystarczyło, by nabrać przekonania, że coś jest nie tak. Gdy podeszli bliżej, już wiedziała, co się stało. Po raz drugi w ciągu tygodnia Greyson został ranny, chyba w nogę, bo utykał, jednak gdy przyjrzała mu się uważniej, zobaczyła, że nie ma kawałka ucha. Kula zapewne przeszła milimetry od jego głowy. Gdyby stała, upadłaby z wrażenia.

A tak wjdziła go jedynie przelotnie, zanim Malleus odszedł z nią dalej. Zatrzymał się na resztkach schodów do szpitala. Dokoła hulał wiatr, unosił jej włosy, trzepotał resztkami torby po cemencie.

Myliła się, myśląc, że szpital był jak duch. Duchem jest ona, wkracza do świata,

z którym nie ma nic wspólnego i który już dawno powinna porzucić.

Ustała sama, gdy Malleus postawił ją przed drzwiami. Dawniej widniał tu napis: „Ośrodek Zdrowia Psychicznego Trubank”. W holu, pomalowanym typową dla szpitali zieloną farbą, stały wygodne meble i rośliny, jakby mogły złagodzić nudę wyblakłego koloru, a światło ścieliło się na podłodze z lastriko.

Teraz ich stopy szurały wśród śmieci i rozbitego szkła. Otaczał ich smród, zapach zgnilizny, śmierci, a pod nimi, głębszy, trwalszy, zapach rozpacz. Ileż nieszczęść wchłonał ten budynek! Ściany nadal skrywały echo tamtych czasów. Miała wrażenie, że zbliżają się do niej niczym psy obwąchujące dłonie w poszukiwaniu smakołyków.

Ale tu nie było wyboru. To ona jest smakołykiem. I nie tylko budynek na nią czekał, nie tylko on chciał się nią pożywić, ale także coś w środku. Może więcej niż jedno coś. Może Ktana Leyak już tu jest. Cały hol zdawał się wzdychać, gdy wchodziła coraz dalej.

Po jej prawej stronie straszły szczątki recepcji. Była zabita deskami, pewnie dlatego nie rozszabrowano jej do końca jak pozostałych pomieszczeń. Na podłodze poniewierały się rozpadające się pudła; zważywszy, że dostrzegła też kości i strzępy bandaży, było to pewnie mysie gniazdo. W powietrzu unosił się jeszcze inny, niezidentyfikowany wcześniej zapach. Mysie bobki. Kichnęła. Wystarczył ten ruch, by jej ramię przeszył ból.

Głośne pociągnięcie nosem kazało jej się odwrócić. Maleficarum ocierał oczy i kręcił głową.

- Spud? - zapytała, zawstydzona, że nie zrobiła tego wcześniej. - Czy on...?

- Nic mu nie będzie, pani - zapewnił. Jego głos zabrzmiał cicho i niepewnie w pustej przestrzeni wokół nich. - Jest twardy, o tak. Ale ty, pani... jesteś ranna.

I pan Dante... I pan Chińczyk... - Ukrył twarz za muskularną prawą dłoń. Po chwili zaskoczenia - zazwyczaj to Spud reagował najbardziej emocjonalnie - Megan podeszła do mego i wzięła go za lewą rękę. Nadal dzieliła ich pozycja społeczna, ale dotyk wiele dla niego znaczył, wiedziała o tym.

Greyson odchrząknął.

- Meg, musimy wyjąć kulę z twojego ramienia.

Po ich lewej stronie widniały szerokie schody na piętro. Oprócz nich w górę prowadziły tylko schodki przeciwpożarowe, upiorne ciasne klatki schodowe w narożnikach budynku. Ale te schody, tutaj, zbudowano na pokaz, miał uspokoić krewnych, przekonać ich, że Trubank to dobry szpital, a nie piekło Oskarżyciela.

Greyson zsunął płaszcz z ramion i usiadł, ostrożnie posadził ją sobie na udzie i mocno objął w talii. Jego uszkodzone ucho było tuż przed jej oczami, nie chciała na nie patrzeć, skupiła się na jego oczach. Jego usta się poruszały, mówił coś, czego nie chciała słyszeć, kazał jej wyciągnąć ramię, zapewniał, że zaboli tylko przez chwilę.

Nick kucnął przy nich, wziął ją za rękę.

- Zaciskaj z całej siły, i tak nie zrobisz mi krzywdy, Megan.

- Chwileczkę, panowie, nie wydaje mi się, żeby to było konieczne - zaczęła, ale już było za późno.

Greyson obejmował ją tak mocno, że niemal nie mogła oddychać, Nick trzymał jej rękę, a Malleus nie wiadomo skąd wyciągnął srebrne szczypce i wsunął je w ranę na jej ręce.

Nie chciała krzyczeć, ale i tak wrzasnęła. Bolały ją dłonie od ściskania Nicka lewą ręką, Greysona prawą. Ukryła twarz na jego ramieniu i płakała, błagała, by już przestali. Gdzieś pod bólem krył się wstyd, świadomość, że powinna być twardsza, ale strach wszystko pogarszał. Wydawało jej się, że Malleus chce usunąć kość, że jego

srebrne szczypcy odnajdą i wyrwą także jej demoniczne serce.

Ból zniknął równie nagle, jak się pojawił. Po jej ręku spływała świeża krew, oplatała dłoń jej i Nicka. Malleus rozchylił pokrytą odciskami dłoń i pokazał jej trzy skrwawione kawałki metalu.

Nic dziwnego, że miała wrażenie, jakby przez ramię dobierał się do jej serca. Najwyraźniej kula roztrzaskała się, gdy się zderzyła z kością.

Chciało jej się śmiać. Domyślała się, że to adrenalina, buzuje w jej ciele i jak szampan uderza prosto do głowy. Teraz, gdy było już po wszystkim, czuła, że mogłaby nawet fruwać. Oby ten stan trwał jak najdłużej.

Tymczasem przechadzała się po lobby, a Malleus zajął się Greysonem i Nickiem. Obaj mężczyźni klęli i zgrzytali zębami jak prawdziwi macho; czuła na sobie ich spojrzenia i wiedziała, że to komedia specjalnie dla niej. Widziała, jak Greyson znosił o wiele gorszy ból bez jednego dźwięku, i domyślała się, że Nick jest równie twardy. Ale tym bardziej ceniła ich wysiłki. Przez chwilę - zanim Greyson zawołał:

- Na bramy piekieł! - Zapomniała nawet, gdzie są i dlaczego miała wrażenie, że to taka zabawa na Halloween.

Niestety, ani dobry humor, ani adrenalinowy odlot nie trwają wiecznie. Kiedy skończyli, jej ręce znowu drżały, a strach powracał falami. Musi coś tu znaleźć, a zagraża jej nie tylko Ktana Leyak, ale też sam budynek i wspomnienia nieszczęśliwej nastolatki, którą kiedyś była, koszmarne, niejasne przebiegi z pobytu tutaj w czasie, gdy dzielił z nią ciało Oskarżyciel.

I do tego świadomość, że zrobił to jej ojciec. Człowiek, który powinien kochać ją bardziej niż ktokolwiek, który powinien nauczyć ją relacji z mężczyznami i tego,

czego może się po nich spodziewać, ten człowiek zdradził ją bez wahania.

Czy to odbiło się na jej życiu uczuciowym? Czy teraz zakochała się w demonie bez uczuć właśnie dlatego, że nigdy nie mogła liczyć na ojca? Zdawała sobie sprawę, że to idiotyczne. Przecież to nie tak, że sama jest jak otwarta księga, też ma sekrety, także emocjonalne, a Greyson w niczym nie przypomina jej ojca.

A jednak... znalazł się tam, gdzie jest, także dzięki temu, że wspinał się po plecach tych, którzy mu pomogli. Przez całe życie dążył do tego, żeby zostać Gretneg, i wiedziała, że zabiłby, byle zachować stanowisko.

Czy porzuci ją jak ojciec, jeśli to rozstanie miałyby go umocnić, zaowocować nowym sojuszem, władzą, pieniędzmi? Nie tylko zimno przyprawiało ją o dreszcze. Zastygła w bezruchu, samotna jak jeszcze nigdy dotąd.

I wtedy stanął przy niej, poczuła jego ciepło i już jej nie obchodziło, co jest dobre, a co złe. Jeśli ostatnie miesiące czegoś ją nauczyły, to tego, że nieważne, jak bardzo starasz się uchronić przed nieoczekiwanym - i tak ci się to nie uda. A doświadczenie zawodowe podpowiadało jej, że nad emocjami i uczuciami można pracować, ale nie można ich powstrzymać. Upora się z ciosem, gdy nadejdzie. Jeśli nadejdzie.

Obejmował ją przez chwilę, a potem odsunął się i dotknął jej policzka.

- Gotowa?

- Ramię wciąż mnie boli. - Mówiła prawdę. Wziął ją za rękę i poczuła równy strumień jego mocy. Ból nieco zelżał. „

- Nie chcę zużywać zbyt dużo energii - powiedział. -Prawdopodobnie przyda nam się każda odrobina. Ale powinno być lepiej.

- Tak, dzięki. - Spojrzała mu w oczy i utonęła w nich.

Pozostali udawali, że na nich nie patrzą, ale wiedziała, że jest inaczej. Odchrząknęła i rozejrzała się dokoła.

- Co robimy? To znaczy... czujesz coś? Wiesz, gdzie to jest? Czego w ogóle szukamy?

- Nie. Cały ten szpital wydaje się jednym wielkim demonem.

- Zaczynamy od góry i schodzimy?

- Lepiej odwrotnie. Wolałbym nie wspinać się na więcej schodów niż to konieczne.

Już prawie zapomniała o jego nodze. Z westchnieniem schyliła się, ale dotknął jej ramienia i wyprostowała się.

- Nic mi nie jest, Meg. Posłuchaj...

- Tak?

Jego palce objęły jej dłoń, ciepłe, kojące. Czekwała, co powie. W końcu pokręcił głową.

- Nieważne. Czy to jest najniższa kondygnacja? Jej serce zabiło mocniej.

- Jest jeszcze piwnica.

## Rozdział 26

W dłoni Greysona rozgorzał ogień, gdy szli w dół schodów wśród cieni spowijających ich twarze. Greyson był wychudły, zmęczony; wołała sobie nie wyobrażać, jak sama wygląda, z włosami skreconymi od wilgoci i grymasem przerażenia na twarzy. Myślała, że nikogo tu nie było, odkąd zamknięto szpital, ale myliła się. Były tam pająki, szczury i karaluchy, umykały przez sterty porozrzucanych dokumentów, kurz i kości, ilekroć padło na nie światło. Ten widok przeszywał ją dreszczem. W holu

było wystarczająco strasznie, ale tutaj, gdzie nie docierało światło, gdzie nikt nie zaglądał, by choć pobieżnie posprzątać, panował chaos, a wieloletnie złogi brudu zalegały na podłodze jak osad na morskim dnie.

Pajęczyny, które pokrywały wilgotne, oślizgłe ściany, były grube i zakurzone jak zasłony. Pośrodku jednej z nich czaił się największy pająk, jakiego Megan kiedykolwiek widziała, prawie tak wielki jak jej dłoń. Jego okropne ślepia rozbłysły w świetle. Jęknęła, zacisnęła palce na dłoni Greysona. Nie wejdzie tam, po prostu nie wejdzie. I nie musi.

- To nie tu - powiedziała, świadoma po raz pierwszy, że jej demoniczne serce drgnęło lekko w holu, zaraz gdy weszli. Tutaj znowu spoczywało nieruchomo, choć jej drugie, ludzkie serce biło jak szalone.

- To nie tu, ja to... czuję. Wiem, że to nie tu.

- Dobrze. - Ale zatrzymał się i wskazał głową przeciwległą ścianę. - A jednak coś tu jest.

- Co? Och.

Akta. Cała ściana segregatorów za mgłą pajęczyn. Jedna z szuflad stała otworem. Widziała w niej dokumenty.

- Chcesz je obejrzyć? - Przysunął się bliżej, nadal trzymając ją za rękę. - Nie musisz, *bryaela*. Nie oglądaj tego, jeśli nie chcesz. Ale jeśli się zdecydujesz... są tutaj.

- Nie. - Zabrzmiało mocniej, niż chciała, jej głos odbijał się echem od ścian, płoszył szelesty na podłodze.

- Dobrze - powtórzył. - Więc wracajmy na górę.

- Poczekaj. Zatrzymał się.

- Ja... Tak - Chcę to zobaczyć. Może powinnam.

- Malleus?

Potężny demon przecisnął się ostrożnie obok niej i podszedł do szafy, przesuwał grubym palcem po wyblakłych etykietkach, otwierał kolejne szuflady, szukał.



Same dokumenty były zadziwiająco czyste i suche, co jednak wcale nie poprawiło jej nastroju, gdy odnalazł teczkę.

A zrobił to mniej więcej po minucie poszukiwań. Wyciągnął do niej rękę z papierami, ale cofnęła się. Jeszcze nie teraz, nie tutaj. Nie chciała tego nawet dotknąć.

Jednak sam widok akt sprawił, że coś w niej drgnęło. Minęło tyle cholernych lat i znowu tu wróciła.

Już prawie Boże Narodzenie, piątkowa noc przed świętami. Powinna być w domu i pakować się.

Ktana Leyak zepsuła jej pierwsze prawdziwe święta od lat i Megan poczuła, jak w jej piersi wzbiera fala wściekłości. A potem zrozumiała, że właśnie tego jej brakowało.

Co jest z nią nie tak? Miała wrażenie, że Ktana Leyak ukradła jej coś więcej niż demony. Razem z nimi odebrała jej... odebrała jej tożsamość, majstrowała przy niej ostrymi pazurami od ich pierwszego spotkania. W życiu nie miała tak ciężkiego tygodnia i czas skończyć z tym gównem. I to teraz.

Wyprostowała się i wyciągnęła rękę po akta.

- Daj mi to.

Malleus zerknął na Greysona i usłuchał.

- Dzięki. - Zwinęła folder, był zadziwiająco gruby, i wepchnęła do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

Później to przeczyta. Albo nie. Ale sam widok akt, ich dotyk, sprawił, że przypomniała sobie, kim jest.

I nie pozwoli, by jakaś demoniczna suka ją okradała.

Jej żelazną determinację odrobinę tylko zmniejszył fakt, że potknęła się na schodach i otarta kolano. O tak, znowu była sobą.

Inne schody, te dobrze jej znane. Szła już po nich, tamtego dnia, gdy tu przyjechała... wspomnienie było niewyraźne, mgliste, zabarwione zielenią. Wtedy były

czyste, a u jej boku szedł sanitariusz. A rodzice, choć udawali zatroskanych, ukradkiem zerkali na zegarki, gdy myśleli, że nikt nie widzi.

- Na każdym piętrze jest... była... sala terapeutyczna, do terapii grupowej. Pośrodku, dokoła niej, były pokoje pacjentów. Może powinniśmy poszukać...

- W którym byłaś pokoju? Wpatrywała się w niego, osłupiała.

- O Boże, oczywiście. To tam, prawda? Cokolwiek to jest, jest właśnie tam.

Greyson powoli skinął głową.

- To w każdym razie dobry pomysł.

- Miałam pokój na... niech pomyślę... piątym piętrze. W rogu. Nie pamiętam numeru...

Ale był w jej aktach, w jej kieszeni. Wyjęła teczkę, otworzyła drżącymi rękami.

- Tutaj. - Nick przytrzymał folder. Odwrócił wzrok, gdy przekładała kartki w świetle ognia Greysona.

Poszczególne zdania rzucały jej się w oczy: przyjęta do szpitala z zespołem halucynacji... Zakaz sznurowadeł i nożyczek... Nie je... Wdała się w bójkę z pacjentką... Nic z tego nie pamiętała.

- Byłam w 526.

Greyson zastanawiał się przez chwilę.

- Nadal wolałbym sprawdzić wszystkie piętra, na wszelki wypadek. Ale jeśli uważasz, że to tam jest, cokolwiek to jest, zróbmy to jak najszybciej.

- Chyba tak. Tak mi się przynajmniej zdaje.

- Mogę pomóc - odezwał się Nick. - Może też to wyczuję. Mój, mój ojciec to demon duszy.

- Demon duszy?

- Greyson jest demonem ognia, chłopcy to demony *herket* - ich przodkowie torturowali w piekle. To demony fizyczne, wiesz, co mam na myśli, z pewnymi zdolnościami

duchowymi. Ale demony duszy są jak Yezer, ich moc jest przede wszystkim duchowa, z dodatkiem siły fizycznej. Wyczuwam u ciebie pewne rzeczy, nie dotykając cię, możliwe więc, że wyczuję tego demona, jeśli się skupię.

Greyson popatrzył na przyjaciela. To było coś wyjątkowego, chwila, której znaczenia nie rozumiała.

- Dzięki, Nick.

Nick wzruszył ramionami.

- No, to chodźmy. Miejmy to już z głowy. Odwrócili się i weszli na schody. Megan czuła, że ma nogi jak z ołowiu. Zmuszała się, by wspinać się coraz wyżej, iść naprzód aż do celu.

Na szczycie schodów hol się rozgałęział w prawo i w lewo. Tu, wysoko, powietrze było czystsze, ale i zimniejsze, bo w powybijanych oknach i otwartych drzwiach hulał wiatr. Bywały tu dzieciaki - na imprezach, randkach, zabawach i zostawiły po sobie pamiątki w postaci graffiti na ścianach. CP + DK 4EVER, głosił krwiście czerwony napis. Litery wyglądały jak z czołówki horroru. Obok ktoś dorysował logo zespołu Motorhead. I jeszcze swastyka - żadna ściana nie wydaje się bez niej kompletna i zawsze znajdzie się jakiś dupek, który ją dorysuje, zwłaszcza w takim miasteczku jak Grant Falls. Ten widok ją martwił, niósł wspomnienia nienawiści miasta powracające falą jeszcze wyraźniejszą, niż już zasmakowała, ale nie spodziewała się reakcji Maleficaruma. Wydał dźwięk, który można było nazwać jedynie warkotem, i rzucił się na ścianę potężnym cielskiem, walił w nią pięściami, aż tynk odpadł i został goły mur. Odwrócił się i nawet w mdłym świetle zobaczyła, że jego oczy płoną czerwienią.

Nie było czasu, by go zapytać, zareagować, bo w przeciwnym końcu holu coś zajęczało, aż Megan przeszył dreszcz. Zombie... dwa zombie... Ogień zapłonął ja-

śniej i zobaczyła ich więcej. Wynurzały się zza rogu. Cała mała armia.

Nadeszła trudna chwila; mierzyli się wzrokiem: zombie, człowiek i demony w korytarzu na piętrze. A potem zombie zaatakowały.

Jak przez mgłę przypomniała sobie, co kiedyś mówił Greyson: że prędkość zombie zależy od mocy demona, który nimi kieruje. Ktana Leyak najwyraźniej brała od Yezer więcej niż Megan.

Hol zajaśniał jak solarium, gdy wypełniły go biało-niebieskie płomienie.

- Biegnij, Meg! Biegnij!

Nick już ruszył, złapał ją za ramię, odciągał od miejsca, w którym został Greyson z czołem zmarszczonym w skupieniu. Gorąco hulało w korytarzu, paliło jej brwi i wtedy zrozumiała, że zginęłyby, gdyby Nick i Malleus nie pociągnęli jej za róg, wszyscy by zginęli, spłonęliby żywcem pod ciałami żywych trupów. Ostatnie, co widziała, to Greyson, czarny na tle płomieni, z uniesionymi rękami.

Byli już niemal na końcu korytarza, gdy rozległ się huk wybuchu. Siła podmuchu rozwiała jej włosy. Po jej prawej stronie kusila czernią klatka schodowa. Wbiegli na nią, aż ich kroki niosły się echem po cementowej posadzce.

Kolejna eksplozja wstrząsnęła budynkiem i wyrwała krzyk z gardła Megan. Po omacku zawróciła, biegła z powrotem do podestu. Jeśli coś mu się stało, jeśli zginął...

- Nic mu nie jest! - Nick niemal wyrwał jej ramię ze stawu. - Nic mu nie jest! Megan, idziemy!

Zahaczyła o stopień i uderzyła się boleśnie, ale nie było czasu na postój, nie było nawet czasu, by usłyszeć własny krzyk bólu.

Poplamione ściany były smugami barw przed jej oczami. Coś runęło z głuchym łoskotem. Schody, gdzieś nad nimi. Budynek zadrżał. I znowu wybuch.

Byli na trzecim piętrze, biegli korytarzem, ślizgali się na suchych liściach i odpadkach. Jej demoniczne serce drgnęło, tym razem mocniej niż na parterze. Potknęła się, niemal upadła.

- Nick! Czy ty... Skinął głową.

- Nie tu. Ale coraz bliżej.

Odwróciła się w stronę schodów, ale Maleficarum ją odciągnął.

- Nie tędy, pani. Nie możemy tkwić w jednym miejscu. Nic ich nie atakowało z pustych pokoi, które mijali,

choć Megan czuła, że coś się tam czai, czyha wśród obskurnych ścian, kuca pod oknami. Biegła co sił, wczepiła się w pasek Nicka, tak że ciągnął ją za sobą, aż potknął się i upadł, a ona wraz z nim.

Jej ciało wiedziało, w co wpadli, zanim pojął to umysł. Krew, ciepła i lepka, rozlewała się po podłodze wielką kałużą. Wsiąkała w spodnie i płaszcz, a gdy drgnęło jej demoniczne serce, wiedziała, że to krew Yezer; jej demony były tu i cierpiały tak samo jak we własnym domu. Powinny być bezpieczne, a nie są, i ta suka, ta pieprzona suka, już ona jej...

Była pewna, że nigdy wcześniej nie doświadczyła takiej wściekłości - dzikiej furii, która ją zarazem przeraziła i zachwyciła. Sprawiała, że poczuła się potężna. Nie tylko potężna. Pobudzona. I wtedy zrozumiała, że trzymając się Nicka, czerpie jego energię, wsysa ją w siebie, i jeśli zaraz nie przestanie, eksploduje. Seks płynął z niego, tak, ale to gniew docierał do jej żołądka, to gniew wypełniał jej ciało. Jezu, jest taki zły, tak cholernie cierpi i jest wściekły...

Puściła jego rękę, jakby zmieniła się w tarantulę i odskoczyła, poślizgnęła się na krwi, zatoczyła na brudną ścianę. Jezioro u jej stóp wciąż rosło; obejrzała się, zobaczyła otwarte drzwi, a tam, w mdłym świetle płynącym

z okna zakrytego folią, kawałki jej demonów. Uszy, nogi, tułowie, ułożone w niezdarny stos pod ścianą, ciśnięte na ziemię. Nie wiedziała, ile ich tam jest, ale były tu, były wszędzie.

Gdzie Roc? Czy też tam jest? Boże, czy któraś z tych kończyn należy do niego? Miała wrażenie, że znalazła się w rzeźni.

Nie zdawała sobie sprawy, że mówi na głos, póki Malleus nie wziął jej za ramiona i nie wyprowadził stamtąd, w dół korytarza, w którym chlupała krew.

- Nie ma go tam, pani, nie martw się, wkrótce się zjawi, zobaczysz...

Na klatce schodowej nie było okien. Miała wrażenie, że wchodzi w otwartą paszczę, że daje się połknąć. Szli w górę po omacku, na tyle powoli, że zaczęła się zastanawiać, czemu nie słyszy dalszych eksplozji? I gdzie jest Greyson? Zabolało ją w piersi.

Powykręcana poręcz raniła dłonie, ale bała się ją puścić. Dlaczego przyszli uzbrojeni po zęby, ale bez choćby zapalniczki? Nie sądzili jednak, że będzie im potrzebna. Nigdy nawet nie przyszło jej do głowy, że Greysona nie będzie u jej boku. Obraz przed oczami jeszcze bardziej stracił na ostrości i nagle zdała sobie sprawę, że płacze, idąc.

Nawet tupot ich stóp tego nie zagłuszył, tego bełkotu, jakby ktoś z zapaleniem krtani uczył się jodłować. Coś na nich czekało na czwartym piętrze i miała wrażenie, że wie, co to będzie.

Wszędzie wokół niej brzęczała stal, gdy mężczyźni dobywali broni. Nadal miała pistolet wetknięty beztrąsko w kieszeń. Bała się, że nie utrzyma go w spoconych dłoniach, zresztą, jeśli się nie myliła, i tak nie na wiele im się zda.

Nie myliła się. Jej ojciec czekał przy drzwiach na korytarz.

Nie zmienił się, odkąd go pochowali, zaledwie dwa dni temu. Tylko dwa dni? Nie mogła uwierzyć, ile się wydarzyło przez te dwa dni. Ale tępa pustka w jego oczach i trud, z jakim trzymał się na nogach - to było coś nowego.

Nick zaatakował, uniósł miecz, ale Malleus złapał go za ramię i wyszeptał coś, czego Megan nie usłyszała. Spodziewała się tego, wiedziała, że do tego dojdzie, odkąd zobaczyła zombie wychodzące z lasu, ale teraz, gdy to się działo naprawdę, nie wiedziała, co robić.

Nie mogła iść. Nie mogła się ruszyć. Po prostu stała tam i wpatrywała się w niego, a po jej lodowatych policzkach płynęły łzy. Czy coś w nim jeszcze zostało? A jeśli tak, czy go to w ogóle obchodzi?

Ledwie to pomyślała, zaatakował. Mężczyźni rzucili się na niego, chcieli go powstrzymać, ale odtrącił ich z zadziwiającą siłą i dopadł jej. Jego lodowate palce wpiły się w jej gardło.

Upadli do tyłu, na cementową posadzkę. Nie mogła oddychać, wygięła się, rozpaczliwie szukając powietrza, ale jego palce zaciskały się coraz mocniej. To koniec, zabije ją, jak już kiedyś próbował, a ona go nie pokona, jest zbyt słaba...

Z całej siły wbiła mu kolano w podbrzusze. Może nie myśli, a jego zakończenia nerwowe obumierają, ale nawet martwy facet nie lubi, gdy się go wali w jaja. Zawył, ochryple, zwierzęco, i zwinął się w kłębek. Jego palce poluźniły uścisk. Zaczerpnęła haust powietrza i naprawdę poczuła, jak tlen dociera do komórek jej ciała.

Za późno zdała sobie sprawę, że pociągnął ją na bok, do krawędzi schodów. Jeszcze kilka centymetrów i runą w dół, w nieprzeniknioną czerń.

- Pomóżcie mi! - krzyknęła, ale jeszcze nie skończyła, a już jego ciało zabrano. Nick złapał ją za rękę i pociągnął w górę tak mocno, że na niego upadła.

Chłopcy wrzeszczeli, walcząc z trupem jej ojca. Megan dobrze pamiętała, jak mocne potrafią być zombie, jak koszmarne zdeterminowane.

Coś trzasnęło. Nie miała pojęcia, co to było, ale Malleus na chwilę poluźnił chwyt i ojciec ponownie rzucił się na nią.

Tym razem była gotowa, zebrała siły, jednak w ostatniej chwili stało się coś, co sprawiło, że jej serce - oba jej serca - drgnęły. Pojawił się Roc, a za nim - cztery - pięć Yezer. Tak niewielu, ale dość, by rozruszać demona w jej piersi, by dodać jej sił. Połączyła ją z energią, którą piętro niżej ukradła Nickowi, skoncentrowała się i skierowała całą tę siłę w zaciśniętą pięść. Zadała cios. Czuła wibracje w ramieniu, słyszała trzask łamanych knykci i paznokci.

Ojciec - powinna myśleć o nim jako o zombie, ale nie mogła, to nadal był jej ojciec, jego ciało - nawet się nie zachwiało. Znowu wyciągał do niej ręce. Nick zamachnął się mieczem i trupia ręka odpadła, ale zombie atakował dalej.

Megan odskoczyła na bok i podniosła pistolet, jednak jej dłonie były zbyt obolałe i niezdarne, by strzelać. Malleus i Maleficarum odciągnęli trupa nieco dalej. Nick znowu uderzył. Ostrze miecza spływało czarną krwią.

Jej ojciec zawył, w resztkach jego głosu były gniew i ból, i nagle Megan nie mogła już tego wytrzymać. Prawdopodobnie i tak się nie uda, i tak nie ma to znaczenia, ale była w tym okrutna, ironiczna sprawiedliwość po tym wszystkim, co jej zrobił. Podeszła do niego, przycisnęła mu lufę do czoła nad prawą brwią.

Wydawał jej się, że powinna coś powiedzieć, ale nic odpowiedniego nie przychodziło jej do głowy, więc po prostu nacisnęła spust i pistolet przemówił za nią.

Huk wystrzału rozchodził się echem tak długo, aż myślała, że nigdy nie ucichnie. Ciało ojca osunęło się na



ziemię. W jego oczach zgasło upiorne światło i znowu był tym, czym powinien. Trupem. Tylko trupem.

Wtedy zaczął się grzechot, metalowe poręcze klatki schodowej łomotały jak blacha na wietrze. Słysząc było drapanie, skrzypienie, suche szelesty i zgrzyty. Nadchodziły jej demony, z piątego piętra, a może z wyższych kondygnacji, wiedziały, gdzie jest, a ona tak szlochała nad niewyraźną postacią ojca, że nic jej to nie obchodziło. Dopiero gdy Roc dotknął jej ręki i przerwał ciszę, podniosła wzrok.

- ...iść. Szybko, Megan! Szybko!

Inne stały za nim, przerażone. Umrą, jeśli nie zabije Ktany Leyak, jeśli nie przechwyci tego czegoś przed nią. W tej chwili była tak zmęczona, że niemalże jej to nie obchodziło. Może tak byłoby najłatwiej, usiąść i poczekać, aż to wszystko się skończy.

Greyson nadal do nich nie dołączył.

- Szybko!

Maleficarum podniósł ją z podłogi i pobiegli do innych schodów.

## Rozdział 27

W końcu udało mi się przekonać Krantusa i Rentorana, a oni zabrali Varigona i Aberasa, i od razu tu przybiegliśmy - sapał Roc, gdy mijali kolejne puste pokoje. Nad nimi było piąte piętro. Tam wszystko się rozegra. Megan starała się wzbudzić w sobie zainteresowanie. Roc jej w tym pomagał. Podobnie jak silne ramiona Maleficaruma. Będzie im potrzebna, jeśli się okaże, że Greyson nie

żyje. Nie może umrzeć, ma za wiele spraw na głowie, do cholery.

- Myślę, że przyjdą też inni - ciągnął. - Kiedy zobaczą, że zwyciężasz, wrócą, a z nimi twoja moc...

- Nie wrócą, jeśli przegram?

- A jak myślisz?

No tak. Głupie pytanie.

Byli już na półpiętrze, gdy to poczuła. Jej demoniczne serce drgnęło, naprawdę drgnęło, ba, tańczyło w jej piersi.

- Czuję to, Megan - odezwał się Nick. - To musi być w twoim pokoju.

Zatrzymali się przy drzwiach na korytarz. Co ich czeka tym razem? Kolejne zombie? Krew? Kolesie z miasta uzbrojeni w strzelby i noże?

Ale powitała ich tylko cisza, cisza i coś jeszcze, jakby oczekiwanie. Jakby westchnienie, gdy ich kroki zadudniły na brudnej posadzce.

Maleficarum postawił Megan na ziemię. Jej nogi drżały jeszcze chwilę, zanim odzyskała równowagę. Wzięła Nicka za rękę, żeby poczuć się pewniej. Gdyby potrzebowała więcej energii, dostanie ją - Roc i inne demony szły tuż za nią.

Graffiti na ścianach były tu gorsze, bardziej bezwzględne, było ich więcej. Choć cały szpital padł ofiarą wandalów i szkodników, wydawało się, że ich wściekłość kumulowała się właśnie na tym piętrze - a może to piąte piętro wyzwalało w nich najgorsze instynkty.

Zerknęła w lewo, minęła wzrokiem odrażający wizerunek wypatroszonej nagiej kobiety i przez okno jednego z pomieszczeń dostrzegła niebo. Zapomniała, że pada śnieg, zapomniała, że na zewnątrz palą się świąteczne lampki, że widać stąd ratusz. Był to piękny widok, mimo wszystkiego, co tu się działo. Wzruszenie ścisnęło ją za gardło i przez chwilę tylko stała i patrzyła w dal.

A potem usłyszała, jak coś zaszeleściło w końcu korytarza i wiedziała, że Ktana Leyak czeka na nią w pokoju 526. Ktana Leyak i ostatni kawałek Oskarżyciela, który jeszcze żył poza jej ciałem.

- Chodźmy - powiedziała i ruszyła do drzwi.

Graffiti, straszne przy windach, stawały się coraz straszniejsze w miarę jak szła. Nienawiść i ból zalały ściany wymiocinami koszmarów. Czuła się jak w muzeum rasizmu z tendencją do mizoginii i szczyptą obłędu dla smaku.

Demon w niej wił się i szarpał jak swoisty licznik Geigera-Mullera, ale nie potrzebowała tego.

Niepokój, zło, przenikały przez jej bariery, ostrzegały, jak wtedy, podczas kolacji.

Drzwi do pokoju 526 wyrwano z futryną i w ścianie ziała czarna dziura. Megan zatrzymała się, zaczerpnęła głęboko tchu i weszła.

Latarnia za wybitym oknem sprawiała, że było to najjaśniejsze pomieszczenie, jakie widziała, odkąd weszła do szpitala, a wydawało jej się, że od tego czasu upłynęły godziny... miesiące. Ale nawet przy świetle minęła sekunda, zanim zobaczyła Ktanę Leyak, i ta sekunda drogo ją kosztowała.

Ktana zaatakowała z kryjówki na suficie, rzuciła się na Megan z wyciągniętymi szponami, z twarzą wykrzywioną wściekłością. Megan uchyliła się, ale za późno; co prawda uratowała aortę, ale nie lewy policzek, rozorany pazurami demona. Poczwała w oczach łyzy bólu.

Po omacku odpowiedziała ciosem, zamachnęła się obolałą prawą ręką. Bolało, och, jak bolało, ale udało jej się wymierzyć Ktanie solidny cios w podbródek.

Malleus i Maleficarum wpadli do pokoju, rzucili się na królową, ale Megan już wiedziała, że niewiele wskórają. Nasycona mocą demonów i chaosem w mieście, Me-

gan była dla nich zbyt silna. Jak powiedział Nick, chłopcy to nie demony duszy. Niewiarygodnie silni fizycznie, nie potrafili czerpać mocy jak ona.

Ale zapewnili Megan chwilę wytchnienia i za to była im wdzięczna. Gdzieś w tym pokoju jest ten ostatni skrawek, to coś, co musi odnaleźć, o ile Ktana już tego nie zrobiła.

Jej przeciwniczka uwolniła się od chłopców i zaatakowała Megan jeszcze raz, lecz tym razem zatrzymał ją Nick, któremu udało się zadać silny cios mieczem. Ktana zatoczyła się do tyłu, niemal komicznie zaskoczona, a potem rzuciła się na niego z wrzaskiem, młóćąc ramionami, gdy z rany w jej piersi płynęła krew.

To była szansa Megan, nieważne, że marna. Odważyła się na sekundę zamknąć oczy, szukała reliktu, ale w pokoju było tyle demonów, tyle przemocy, że nie mogła go namierzyć. Nie miała wątpliwości, że jest tutaj -i miała niejasną świadomość, że trafił tu, do niej, tamtej nocy, gdy umarł Harlan Trooper, że czeka na powrót Oskarżyciela... Ale gdzie jest?

Metalowe łóżko przymocowane do podłogi to dobre miejsce na początek, nawet jeśli odsłoni się, zaglądną pod nie. Dlaczego Ktana tego nie sprawdziła? A może już to zrobiła, ale Megan i tak musi spróbować, prawda?

Słyszała, jak miecz Nicka uderza w metal, wbija się w tynk. Odgłosy walki i okrzyki bólu były przerażające, ale przynajmniej świadczyły o tym, że Ktana ciągle jest zajęta.

Mysie bobki i brud zalegały pod łóżkiem jeszcze grubszą warstwą niż w piwnicy, piętrzyły się. Coś z małymi pazurkami przebiegło w poprzek jej dłoni, i jej krzyk przeszedł w kichnięcie. Martwe, obrzydliwe rzeczy... Jeszcze zanim zacisnęła na tym dłoń, wiedziała, że znalazła ostatnią część Oskarżyciela.

Silne ręce złapały ją za kostki i szarpnęły, wyciągały spod łóżka, jak okrutne dziecko, które wyrywa odnóża pajaka. Ktana kopnęła ją w tył głowy, aż Megan uderzyła o podłogę ze strasznym chrzęstem i przeszywającym bólem. Jeszcze zanim popłynęła krew, wiedziała, że ma złamany nos.

Próbowała wstać, ale noga Ktany jej na to nie pozwoliła. Tym razem odwróciła głowę w ostatniej chwili i nie zaryła nosem w podłogę.

Została na ziemi. Miała jedynie sekundy, by zdecydować co dalej, może nawet nie tyle, zanim padnie kolejny - być może śmiertelny - cios. Zaryzykowała. Otworzyła drzwi w sobie, najszerszej jak mogła, mając nadzieję, że postępuje słusznie.

Moc ją wypełniała. Jej demony, zaspokojone nieszczęściem miasta, dały Ktanie tyle, ile chciała, i nawet nie zauważyła, że Megan delikatnie nawiązuje więź i czerpie energię dla siebie. Nie wspominając\* o tym, co dali jej Rocturnus i inni. Nie było tego dużo, ale wystarczyło, by pchnęła Ktanę Leyak w stronę okna.

Megan usiłowała wstać. W dłoni trzymała kurczowo coś miękkiego i odrażająco ciepłego, coś, co mogłoby być ciałem myszy, gdyby nie było tak oślizgłe. Bez siły demona jej powszechnie znany ze słabości żołądek zbuntowałby się, ale teraz czuła jedynie ponurą determinację. Nie chciała tego, ale to zrobi.

Ktana uderzyła w ścianę, ale zaraz podbiegła do Megan, pchnęła ją na podłogę. Megan nie walczyła. Koncentrowała się na tym, by jak najszybciej unieść dłoń do ust. Jakim cudem Ktana nie wie, co ma w ręku?

Ledwie ta myśl przemknęła jej przez głowę, przeciwniczka zmieniła taktykę i zamiast za szyję, złapała Megan za rękę, chciała jej odebrać relik... Daj spokój, przyznaj, to serce, płuco albo coś równie obrzydliwego.

To był błąd. Malleus zamachnął się, kopnął Ktanę w twarz, aż upadła, a Megan skorzystała z okazji, by wbić zęby w to coś w jej dłoni.

Pierwsze^wrażenie? Smakowało niemal słodko, nie jak coś obrzydliwego, co przez wiele lat gniło pod brudnym łóżkiem w zakładzie dla obłąkanych, ale to wrażenie i wszelkie inne myśli zniknęły, gdy wypełniła ją moc. Obmywała ją, porywała, przepelniała jej ciało strumieniem emocji, ognia, siły. Krzyczała, wiedząc już w tej chwili, że to nie tylko Oskarżyciel; gdy wbiła zęby w relikwiec, dołączyły do niej jej demony i dały tyle siły, że w tę zimową noc mogłaby polecieć na Księżyc, nawet bez cząstki Oskarżyciela.

Po, jak jej się zdawało, całej wieczności w powietrzu, na opalizującej fali mocy, zacisnęła pięść na bezużytecznym strzępie mięsa, odrzuciła głowę do tyłu i jakimś cudem wróciła do swego ciała, do którego Ktana Leyak celowała z jej pistoletu.

Megan uchylila się, mając wrażenie, że to bardzo łatwe. Machnęła ręką, nie czując w niej bólu. W twarzy też nie.

Ktana odrzuciła pistolet, zaatakowała ją łokciem. Megan, pogrążona w ekstazie, niemal tego nie zauważyła, ale wiedziała, że tamta ją uderzyła, podobnie jak wiedziała, że bez mocy Yezer królowa wkrótce zniknie i nic się nie skończy. To się musi zakończyć dzisiaj, teraz, jeśli chce mieć spokój. I władzę nad swoimi demonami.

Zamachnęła się, uderzyła Ktanę w twarz, aż ta upadła. Nos, bij w nos, jak ona ciebie, odezwał się głos w jej głowie. Nie miała pojęcia, dlaczego miałyby to zrobić, ale usłuchała. Uniosła nogę i z całej siły opuściła ją na kark Ktany.

- Zabiję cię! Zabiję cię, wrócę i zabiję cię! - Zazwyczaj dźwięczny głos matki demonów ochrypl, obniżył się, przeszedł w nieprzyjemny charkot. Żołądek Megan

drgnął, ale nie przestawała, teraz wiedziała, że nie chodzi o nos, ale o szyję, o kark, który musi złamać, jeśli chce ochronić swoje demony, więc z krzykiem skakała, kopała, stapała, najciężej, jak umiała, wkładała w to całą swoją moc, aż poczuła, że coś pęka pod jej nogami i ciało Ktany Leyak opada bezwładne i ciche.

Megan cofała się, aż poczuła coś ciepłego i twardego za plecami. Maleficarum, oparty o ścianę, patrzył na nieruchome ciało na podłodze.

- Nie żyje? - szepnęła Megan.

- Jest jedyny sposób, by się przekonać - powiedział głos w drzwiach i ciało na podłodze stanęło w płomieniach.

Megan nie mogła mówić; zresztą i tak nie było wiele do powiedzenia. Po prostu rzuciła mu się w ramiona, przywarła zakrwawioną twarzą do jego piersi. Pod jego śliską od potu skórą wciąż biło serce. Nie pojmowała, jak to możliwe ani dlaczego, ale cieszyła się, że tak jest.

- Ty to umiesz efektownie wejść - mruknęła.

- Po tym, co przeszedłem, chyba na to zasłużyłem, nie uważasz? - Ale nie dał Megan odpowiedzieć, zamknął jej usta pocałunkiem i przez dłuższą chwilę tulił do siebie, aż zapomniała o wszystkim i wszystkich dokoła.

W końcu się odsunął.

- Wiedziałem, że ci się uda.

- Gdzie byłeś?

- Och, walczyłem z watahą zombie, bandą rozjuszonych tubylców, policjantami i psami. Psy nie lubią demonów. Myślałem, że nigdy się ich nie pozbędę.

Rozejrzał się po pokoju, szacował straty, zobaczył pozostałości reliktu na podłodze.

- A więc znalazłaś to. I odzyskałaś demony. Skinęła głową, zadrżała, oparła się o niego i po raz pierwszy poczuła zimno.

- Powinniśmy stąd iść - stwierdził. Musnął jej włosy wargami. - Musimy się spakować. Wykąpać. Zjeść coś. Iść spać.

Nick się Uśmiechnął.

- Naprawdę w tej kolejności?

Wyszli z pokoju, a płomienie z ciała Ktany rozprzestrzeniały się szybko wśród śmieci i papierów na podłodze. Megan odwróciła się, gdy stali przy schodach. Pomarańczowe światło pulsowało w drzwiach, ogień przemykał chyłkiem wzdłuż ścian i listew przypodłogowych. Niech to spłonie, pomyślała. Niech to wszystko strawi ogień.

Na szczęście nie szli tymi schodami, na których leżało ciało jej ojca. Na szczęście nic nie zakłóciło ich wędrówki do holu i dalej, do drzwi. Podniosła wzrok i zobaczyła płomienie w martwych oknach piątego piętra.

Greyson objął ją ramieniem.

- Zdajesz sobie sprawę, że płonie twoja fortuna. - Teraz, na zewnątrz, widziała jego obrażenia, zadrapania na twarzy i na piersi, nadpalone, obszarpane spodnie. Był bez koszuli - dopiero teraz to do niej dotarło. Pewnie spłonęła.

- Nadal tego nie chcę.

- A ja nadal myślę, że możesz zmienić zdanie. Przecież teraz, gdy Orion i Temp nie żyją... ta ziemia może być tylko twoja. Mogłabyś ją sprzedać, zwłaszcza gdy zniknie to okropieństwo.

Przez chwilę wyobraziła sobie inny park, park imienia Harlana Troopera. Przyzwoity ośrodek rehabilitacji? Czemu nie. Ta wizja pojawiła się i zgasła. Tutejsi odebraliby to jako przyznanie się do winy. To, że szpitala już nie ma, a ona w końcu uporała się z przeszłością, nie znaczy, że Grant Falls zmieni się mały raj.

- Nie wiem. - Położyła głowę na jego piersi. - Pomyślę o tym, dobrze?



Mężczyźni rozmawiali jeszcze chwilę, a tymczasem jej Yezer zaczęły wracać, jedne skruszone, inne dumne, jeszcze inne - pełne pokory. Nieważne, czy ją przeproszą. Może wcale na to nie zasłużyła. Była zła na los za to, co ją spotkało, i ta uraza przekładała się na jej stosunek do nich do tego stopnia, że nie mogła winić tych, które odeszły do Ktany Leyak. Zasługują na troskliwą opiekę, nieważne, czy w końcu zdecyduje się na rytuał Haikken Kra, czy nie. To najważniejsze w Meegra; jest ktoś odpowiedzialny, ktoś, kto dba o innych, troszczy się o nich. Oto chodziło w rytuale, który widziała. Nie tylko o ciągłość i szacunek, ale o wszystko naraz. Teraz to zrozumiała. A także o dowód, namacalny dowód, że Gretneg robi wszystko dla swojej Meegra.

Od tej pory będzie lepsza, silniejsza, bardziej władczą. Zabawne, jak ważne się dla niej stały.

Zabawne, ile rzeczy nabrało wagi. Czeka ją dużo pracy przed wyjazdem do chaty. Jest dopiero sobotni ranek, czeka ich Boże Narodzenie i Nowy Rok. Nowy początek.

- Zimno tu. - Nick zacierał ręce. - Skoro nie urządzamy grilla, to może wrócimy do samochodu?

Greyson zwrócił się do niej.

- Co ty na to, *bryaela*, jesteś gotowa? Uśmiechnęła się do niego.

- Tak.